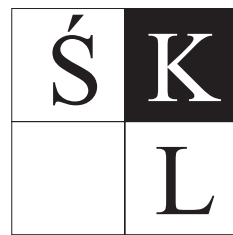


# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2014 NR 3-4 (45-46)

ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Elżbieta Musiał: *Martwa natura IV*, technika własna, papier, 28 x 40 cm



**ELŻBIETA MUSIAŁ**, poetka, eseistka, malarka, publicystka. Należy do Związku Literatów Polskich oraz Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików. Stypendystka Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wydała tomiki poetyckie: „Miejsce na niebo” (1996), „Tatuaż z obłoków” (nagrodzony Świętokrzyską Premierą Literacką za 2001 r.), „Cień rzeki” (2004), „Płacz czajki. Wiersze i poemat” (2009), „Ja, o jednym imieniu” (2014) oraz poematy: „na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód” (2008), „Na zdjęciu wciąż żyjemy” (2012; wyróżnienie w konkursie na najlepszą poetycką książkę XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego), „Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych” (2013), a ostatnio „3 poematy” (2014).

Autorka zbioru esejów „Poeta patrzy na kobietę” (2006) wzbogaconych reprodukcjami prac malarskich.

Wiersze tłumaczone były na rosyjski (*antologia „Wykonano w Polsce, wiek – XX*), angielski, niemiecki („Płacz czajki. Wiersze i poemat”), litewski („Poezijos pavasaris” – Wilno 2008, „W dłoniach Królów” – Wilno 2008, „Słowa i kolory” – Wilno, 2008), ukraiński, białoruski, słowacki (Litteriada 2010) i serbski („Między Ochrydą a Bugiem”, Krosno 2011).

Poetycką i malarską twórczość prezentowała w wielu krajowych i zagranicznych antologiach.

W dorobku ma ponad 20 malarskich wystaw indywidualnych, m.in. w Warszawie, w Sofii, Warnie, Moskwie, St. Petersburgu, Lubece. Uczestniczyła w pokazach zbiorowych, plenerach plastycznych oraz międzynarodowych projektach interdyscyplinarnych, w tym również zagranicznych: Moskwa – Petersburg, Sztokholm, Czechy (Trzyniec), Litwa (Wilno, Nida, Druskienniki). Obrazy znalazły się w zbiorach Instytutu Polskiego w Moskwie, w Sofii, w merostwie St. Petersburga oraz w kolekcjach prywatnych w kraju, a także za daleką granicą, np. w Tybecie. Reprodukcjami prac jej autorstwa opatrzone ponad 35 poetyckich książek, m.in. rosyjskie wydanie (tłumaczenie) dzieł zebranych K. I. Gałczyńskiego „Farlandia, czyli podróż do ciemnogrodu” (pod redakcją A. Bazylewskiego, 2004 r.).

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X

KIELCE 2014 NR 3-4 (45-46)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego  
przy współdziałaniu Oficyny Wydawniczej „STON 2”  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP  
STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny  
BOGUSŁAW PASTERNAK – członek Zarządu, KAZIMIERA SZCZYKUTOWICZ – skarbnik,  
ANDRZEJ PISKULAK – sekretarz, WŁADYSŁAWA SZPROCH – wiceprezes  
oraz KRYSZYNA CEL, JAN LECHICKI

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,  
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „ŚKL”.

## OD REDAKCJI

W 150-lecie urodzin Stefana Żeromskiego .....	5
Stefan Żeromski – kim był, kim jest? .....	7

## Z TRADYCJI

S. Nyczaj: Świat poetycki Stanisława Piętaka .....	9
--	---

## WSPOMNIENIA

J.A. Barzęcki: Wspomnienie o Julianie Kawalcu .....	21
S. Nyczaj: Wspomnienie o H. Jachimowskim .....	24
Sz. Wroński: W DRODZE (o Henryku Jachimowskim) .....	29
S. Nyczaj: Wspomnienie o Zbysławie Śmigielskim .....	33

## WYDARZENIA

B. Gumowski: Sprawa biskupa Kaczmarka .....	38
Anatomia śledztwa... 41	
S. Nyczaj: Szóste Staszowskie Lato Literackie – 2014 .....	49
W. Szproch: Kielecka Biesiada Poetycka w Warszawie .....	52
E. Musiał: Warszawska Jesień również w Oborach .....	54
Wiesław Myśliwski i Stanisław Żak wśród zaszczyconych nową Odznaką Honorową Województwa Świętokrzyskiego .....	57

## TWÓRCZOŚĆ

S. Bartos: Wiersze .....	60
B. Białowąs: Wiersze .....	61
R. Bielenda: Wiersze .....	62
A. Błachucka: Opowiadanie .....	63
M. S.J. Bolesławski: Wiersze .....	66
S. Grabowski: Wiersze .....	67
M. Kaspróicz: Wiersze .....	68
J. Kłaczyńska: Wiersze .....	69
B. Kozieł: Wiersze .....	70
J. Lechicki: Wiersze .....	71

Fraszki .....	72
L. Lewandowska-Nayar: Wiersze .....	73
H. Morawski: Opowiadanie .....	74
S. Nyczaj o H. Morawskim .....	78
E. Musiał: Wiersze .....	79
I. Nyczaj: Haiku .....	80
S. Nyczaj: Wiersz .....	81
A. Ochwanowski: Wiersze .....	82
B. Pasternak: Wiersze .....	84
I. Paździerz: Opowiadanie .....	85
U. Przyboś: Wiersze .....	87
W.M. Rak: Haiku .....	88
J. Rzdokiewicz: Wiersze .....	89
E. Serafin: Opowiadanie .....	90
K. Szczykutowicz: Wiersze .....	92
W. Szproch: Wiersze .....	94
A. Zielińska-Brudek: Opowiadanie .....	96

## ESEJE – SZKICE – RECENZJE

K. Cel o dramatach B. Sierakowskiej .....	97
Dwugłos K. Cel i W. Kłaczyńskiego o poezji B. Białowąs .....	98
J. Chruśliński: Marek Grechuta – genialny poeta i piosenkarz .....	100
E. Biela: Odkrywanie tajemnic codzienności .....	102
S. Nyczaj: Znaki i moc pamięci .....	103
R. Orlewski: Pytania i pragnienia .....	104
A. Piskulak: Dojrzałość poetycka .....	106
W. Szproch o Grupach Literackich .....	107
J. Termer: Znaleźć iskrę w skale .....	109
J. Tulik: Pod siódmym żebrem .....	110

## NOTY

Spotkanie w Zespole Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie ...	113
---	-----



## Gratulacje dla Jacka Wiatrowskiego

Jackowi Wiatrowskiemu, przyjacielowi twórców oświaty i kultury – w tym literatów i muzyków, których szczerze obdarza swym sercem – gratulujemy zaszczytnego wyróżnienia Medalem Edukacji Narodowej.

## Podziękowania Basi i Marianowi Jedleckim

Dziękujemy Basi i Marianowi Jedleckim za wspaniałą organizację tegorocznych plenerów literackich w Kołobrzegu-Podczelu, Kazimierzu Dolnym i Międzywodziu. Każdy z nich był dla nas inspirującym przeżyciem artystycznym i zapisał się ciekawie na stronach naszego kwartalnika.



Stanisław Nyczaj

## W 150-lecie urodzin Stefana Żeromskiego

### Inspirujące spotkanie w Oleśnicy

\*

Programując tegoroczny, szósty już, plener literacki w Staszowie, pomyślałem o ponownym odwiedzeniu Oleśnicy. Przed dwoma laty, byliśmy w pobliżu miejsca, gdzie stał dworek Zaborowskich, w którym Stefan Żeromski pracował jako korepetytor i gdzie zapisał wiele kart swojego *Dziennika*, spożytkowanych potem artystycznie w nowelach i powieściach. Godziło się wybrać specjalnie po raz drugi, bo w okresie przypadających na ten czas obchodów 150-lecia urodzin Wielkiego Pisarza i z okazji ogłoszenia przez nasz świętokrzyski Oddział ZLP II Konkursu Literackiego Jego imienia (w 10 lat po pamiętnym pierwszym, jaki przyniósł nadspodziewany plon 27. nagrodzonych i wyróżnionych utworów książkowych, z których wydaliśmy autorom z regionu aż 20).

\*

Lata guwernerskie młodego Żeromskiego ukazała w dłuższej barwnej opowieści – zważywszy też rzeczywiste warunki i okoliczności historyczne – pani Teresa Romańska-Faściszewska, autorka książki *Oleśnica – dzieje i ludzie* (opublikowanej przez krakowskie Wydawnictwo „Alleluja” w roku 2012). Wybrała te opisy z *Dzienników*, które stały się – wspomnianą wyżej – kanwą do twórczości. Ileż z tymi opisami i sytuacyjnymi obrazkami związanych jest anegdot! Stał na nowo przed naszymi oczami Żeromski jako dociekający szczegółów obserwator swego najbliższego otoczenia (rejestrujący drobiazgowo, okiem wyćwiczonego studium weterynaryjnym, osobliwości przyrody, lasów, parków, zaś okiem inteligenta uwrażliwionego na sztukę własności architektury, wygląd rzeczy nawet tych codziennego użytku, swoiście przystrojonych czy ozdobionych). Pojawił się Żeromski jako miłośnik kobiet (panien i mężatek), szukający przygód,

łaknący nie tylko towarzyskiego, ale i erotycznego wyżycia się. Ekscytujące przeżyte momenty rozbudzały wyobraźnię późniejszego kreatora pikantnych epizodów, miłosnych wątków, także dłuższych historii zakochanych bohaterów z kilku powieści, próbujących ocalić walor intymnych doznań i uczuć w dramatycznych wirach kolei losu zrzędzanych przez historię.

Erudycja pani Teresy dostarczyła nam wiele prawdziwej estetycznej satysfakcji.

\*

Do zobaczenia w grudniu br. w Strawczynie na uroczystości podsumowania II Konkursu Literackiego im. Stefana Żeromskiego! – zapraszamy jako współorganizatorzy wraz z panem wójtem gminy Strawczyn Tadeuszem Tkaczykiem.

W imieniu Zarządu  
Kieleckiego Oddziału ZLP

Stanisław Nyczaj



# “STAWY MOJE OLEŚNICKIE”

„...słaby się wody stawów, daleko jak głębo jeziora, by szczać...  
Rafki leżał bezczynnie, szałali onów słow, leży ch...“  
(Stefan Żeromski, "Popioły"; rozdział "Wiosna")



“Trafia wody leży nieruchomo, siłowia schylają ku niej głowy, tataraki ją w usta celują...”  
(Stefan Żeromski, nowela “Zapomnienie”)



“Oleśnica leży wśród równin ogromnych podciągających się ku Wiśle. (...)  
Najbliższą leży... Boże odpuszc... Pacanów...”  
(“Dziennik”, 14 listopada 1888)  
Kościół w Oleśnicy, która była gniazdem przelastownego rodu Oleśnickich.  
Najpóźniej posadził do Zbigniew Oleśnicki - kardynał krakowski, wielki  
władca król Jagiełło; adresat dedykacji - kronikarz - Jan Długosz.  
W XVIII Oleśnica - biskupstwo - biskupstwo - biskupstwo - biskupstwo - biskupstwo  
warchał - Samuel, siostry na rozkaz Baroego, pochowany w Oleśnicy,  
urwałony przez Żeromskiego w “Dumie o hetmanie”.



Ojciec i syn. Dziedzic Oleśnicy - Gustaw  
Zaborowski - syn jego - Jan.  
Piękne, sarmackie twarze. Ale  
“Co ja mam wspólnego z panem  
Zaborowskim?” - pisze Żeromski - Kiedyś  
zapytał mnie uprzejmie - Czy serio uważa  
pan za słuszne wspominać z poszanowaniem  
uczestników buntów z 30 i 63 roku?”



Stawy w miejscowości Brody pod Oleśnicą były jedynym z ulubionych miejsc Żeromskiego. Wielokrotnie ich obraz powrócił w jego twórczości.

“Było to między Stopnicą a Staszowem, w pobliżu Rytwian i Oleśnicy...  
Nasuwala się przed oczy folkowa rozległość stawów... suche trzcinny  
graty nad nieruchomą toni...”



(Stefan Żeromski, “Walka z szatanem”, t. III “Charitas”)

Dwór w Oleśnicy, gdzie Stefan Żeromski pracował  
jako gubernier od listopada 1888 do września 1889.  
Dzisiaj nie istnieje. Opisany jako Debrze w ostatnim  
tomie “Walki z szatanem” - “Charitas”.



Syn Łucji - uczeźnik Żeromskiego  
- rotmistrz Jan Kandy Zbroński,  
walczył na całym szoku I Brygady  
Pancernej - od Szkoły przez Falaś  
po Wilhelmshaven.



Synowie Jana Zaborowskiego -  
uczni Żeromskiego - zrehabilitowali  
bohatersko brak patriotyzmu u ojca  
i dziada. Walczyli w obu wojnach.  
Karol (z prawej) w artylerii,  
Stanisław w 2 Pułku Szwoleżerów  
Rokimnińskich.

“Skoro walc dobrze o Brodach wspominał, a Oleśnicę znasz, z mojej  
strony jesteś...”  
(“Popioły”)

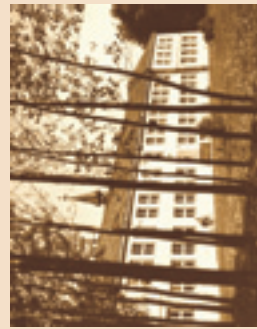


“Stawy moje oleśnickie!... Zwidziało mi się, że... oto wyjde...  
Patrzek na blask oleśnickich stawów... słuchać pokręku czajek...”  
(Samuel Zborowski w “Dumie o hetmanie”)

“Zwracam się tam, gdzie jest niezbadany jak  
przyroda świat - do ludu” - pisze Żeromski.  
Uczy tajemnie eblopskie dzieci. “Nie macie  
pojęcia, jak tu eblop, mądry i do nauki chętny”.  
Marzy o zabożeniu czytelni ludowej...



Isidor Kozłak - syn najbliższych obłopów ze wsi  
Sufczyce pod Oleśnicą, jak Rafk, wędrował  
później. Kiedy by wędrował, Samuel  
Naczerzobkowie. Przez pol wietu od roku 1923  
uczył w Oleśnicy...



Szkola imienia Stefana Żeromskiego w Oleśnicy ma  
wieloletnią, piękną tradycję. Do jej powstania przy czynili  
się dziecinie kobiety z Oleśnicy, które sprowadziły tam rzadki.  
Wśród nich - zosa lekarza, bibliolekarka i społecznica -  
Izabela Kądziedawa, zwana Joasią - jak bohaterka  
“Ludzi bezdomnych”.



Córka Jana Zaborowskiego -  
Jadwiga, ukrywała broń, jak  
stary konspirator.



Gustaw Zaborowski -  
inienimk dziada,  
krytykującego powstania,  
poległ we Wrześniu 1939,  
trzykrotnie odznaczony Krzyżem  
Walecznych.

Dworek myśliwski w Brodach, odwiedzany przez  
młodego Żeromskiego. Już nie istnieje.

Plansza z wystawy Barbary Wachowicz *REDUTA ŻEROMSKIEGO* zaprezentowanej na otwarciu Centrum Edukacyjnego „Szklany Dom – Dworek Stefana Żeromskiego”



## Stefan Żeromski – kim był, kim jest?

W dniach 2-4 października br. w kieleckiej Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. W. Gombrowicza odbyła się ogólnopolska konferencja naukowa na podany w tytule frapujący temat, zaproponowany przez prof. Zdzisława Jerzego Adamczyka – wybitnego badacza twórczości pisarza i zasłużonego (niestrudzonego) edytora jego dzieł. On też rozpoczął obrady plenarne wystąpieniem nt. „Żeromski w Polsce Ludowej – przymrozki, odwilże, manipulacje”, po czym „modyfikacje wizerunku Żeromskiego” ciekawie ukazała prof. Alina Kowalczykowska z Instytutu Badań Literackich PAN, natomiast prof. Franciszek Ziejka z Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawił go jako „spowiednika narodu polskiego”.

Kiedy słuchałem tych wypowiedzi, a zwłaszcza gdy ujawniano zdarzające się niekonsekwencje między faktycznym przebiegiem zdarzeń a ich projekcją w listach pisarza (np. do ukochanego syna Adasia), pomyślałem, ileż nie do wyjaśnienia intymnych determinant „miota” nadwrażliwą psychiką twórcy, niemogącego niekiedy pogodzić spontanicznie podejmowanych zamiarów z powinnościami. Pamiętajmy też, że pisarz borykał się przez całe życie z kłopotami zdrowotnymi, które miały wpływ na jego osobistą sytuację. Niemało mógłby powiedzieć o tym nasz redakcyjny kolega Jan Lechicki – literat i lekarz z zawodu – który na podstawie wnikliwej lektury głównie *Dzienników* i *Listów* sprostował mylne diagnozy samego pisarza (nazywanego już za jego życia przez lekarzy „hipochondrykiem”) i powtarzane potem w biografjach jako ustalenia – teraz można by orzec – raczej wątpliwe w niebłahej przeciwieństwie kwestii: na co tak naprawdę cierpiał? Sprostowania te podchwyciła prasa medyczna. W naszym „SKL” J. Lechicki pisał o tym w numerze 1–4 z roku 2012 (s. 67-69).

W programie zachęcały nadto do posłuchania tematy: „Dwie lekcje polskiego: Żeromski – Gombrowicz” (zaproponowany przez prof. Jerzego Snopka z IBL PAN) i „Chiazm Żeromskiego od niepoczytalnej popularności do niepopularnej niepoczytalności” (zgłoszony przez Jerzego Paszka z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach).

Prócz plenarnych odbywały się obrady w sekcjach, jak też toczył się panel dyskusyjny wokół problemu „Żeromski – nasz bliźni?”, który dodatkowo uatrakcyjniał pokaz filmów zrealizowanych na podstawie utworów pisarza.

Konferencję zorganizowały, prócz wspomnianej WBP, Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Jana Kochanowskiego, nasze Muzeum Narodowe, kielecki Zarząd Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza i Narodowe Centrum Kultury.

S.N.



# STEFAN ŻEROMSKI

## (14 X 1864 - 20 XI 1925)



*Stefan Żeromski*

Nazwano go “sercem Polski” i “sercem nienasyconym”, “sumieniem narodu” i “pochodnią w mroku”, wielkim poetą miłości i wielkim społecznym reformatorem.

Autor cyklu powieści, z których każda była wydarzeniem: “Syzyfowe prace” (1897), “Promień” (1898), “Ludzie bezdomni” (1899), “Popioły” (1902), “Dzieje grzechu” (1908), “Uroda życia” (1912), “Wierna rzeka” (1912), “Walka z szatanem” (1914-1918), trylogia: “Nawracanie Judasza”, “Zamieć”, “Charitas”), “Wiatr od morza” (1922), “Przedwiośnie” (1924).

Autor wielu nowel, m.in.: “Siłaczka” (1891), “Zapomnienie” (1891), “O żołnierzu tułaczem” (1893), “Zmierzch” (1895), “Doktor Piotr” (1895), “Rozdziobią nas kruki, wrony” (1894), “Mogła” (1894), “Echa leśne” (1905).

Autor rapsodów i impresji: “Aryman mści się” (1901), “Powieść o Udałym Walgierzu” (1904), “Sen o szpadzie” (1906), “Nokturn” (1907), “Duma o hetmanie” (1908), “Słowo o bandosie” (1908), “Sen o chlebie” (1915), “Wisła” (1918), “Międzymorze” (1923), „ Puszcza jodłowa” (1925).

Autor dramatów: “Grzech” (1897), “Róża” (1909), “Sulkowski” (1910), “Ponad śnieg bielszym się stanę” (1919), “Biała rękawiczka” (1921), “Uciekła mi przepióreczka” (1924).

Autor odezów i rozpraw, m.in.: “Literatura a życie polskie (1916), “Projekt Akademii Literatury Polskiej” (1918), “Początek świata pracy” (1918), “Organizacja inteligencji zawodowej” (1919), “Na broń” (1919), “Snobizm i postępek” (1923).

Rewelacją stały się “Dzienniki” obejmujące lata 1882-1892, epokę młodości pisarza. Stanowią wielką panoramę życia polskiego.

Prezes Związku Zawodowego Literatów, organizator polskiego PEN Clubu.

W plebiscycie z 1925 roku “Kogo wybraliśmy do Akademii Literatury Polskiej?” otrzymał Żeromski pierwsze miejsce.

W ankiecie z 1999 roku typującej najwybitniejszych pisarzy XX wieku zajął miejsce drugie - po Henryku Sienkiewiczu.



**“Obchodziło go wszystko, co polskie: polski ból, polskie zalety i wady, polska sztuka, polska nauka, polski język, polska przeszłość i przyszłość...”**

Józef Birkenmajer

**“Jego twórczość była chlebem duchowym dwóch pokoleń. Nikt prócz niego nie umiał nam kazać płakać. Nikt tak jak on nie umiał hartować naszych dusz żółcią i piołunem. Nikt tak jak on nie podnosił i nie targał naszych serc. Był tym, wobec którego niemożliwa była obojętność”**

Wacław Borowy

**“Polska jest główną bohaterką jego powieści i Polska cała jest jego czytelnicyką”.**

Krzysztof Kąkolewski

Plansza z wystawy Barbary Wachowicz *REDUTA ŻEROMSKIEGO*



Stanisław Nyczaj

## Świat poetycki Stanisława Piętaka

Minęło 50 lat od śmierci Stanisława Piętaka – poety i prozaika o bogatym dorobku, upamiętnionego w dowód uznania przez środowisko literackie utworzeniem nagrody jego imienia, która stała się znaczącą, prestiżową dzięki długiej liście znakomitych pisarzy-laureatów, takich jak np. Józef Baran, Ernest Bryll, Jerzy Harasymowicz, Urszula Kozioł, Wiesław Myśliwski czy Tadeusz Nowak.

Stanisław Piętak debiutował jako prozaik i w 1938 r. został nagrodzony przez Polską Akademię Literatury za autobiograficzną powieść *Młodość Jasia Kunefala*. Po latach wszelako wyżej ceni się jego poezję i częściej do niej powraca. Dwutomowy jej najpełniejszy zbiór, jaki przygotowałem z obszernym komentarzem – po kilkuletnim okresie żmudnej pracy nad rękopisami (pokreślonymi, z licznymi poprawkami, jak też odmiennymi wariantami) – otwierał edycję jego *Pism* z 1986, opublikowaną staraniem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

### W kręgu różnorodnych oddziaływań

Debiutancki *Alfabet oczu* i *Poezje zebrane* Stanisława Piętaka dzieli trzydzieści lat. *Alfabet* ukazał się pod koniec 1934 roku, z datą 1935, zaś tom *Poezje zebrane*, w całości przygotowany przez autora, wyszedł już pośmiertnie, w 1964.

W ciągu tych trzydziestu lat twórczość poetycka Stanisława Piętaka wielokrotnie zmieniała swoje oblicze. Były okresy jej wzlotów, którym towarzyszyło żywe zainteresowanie krytyki, i okresy erupcji słowa (w latach 1949-1956), kiedy – podobnie jak wielu innych pisarzy utrzymujących się z pióra – ulegał dyktatowi socrealizmu.

Poezja Piętaka od samego początku (pierwsze ciekawsze próby przypadają na rok 1932) rozwijała się na pograniczu tradycji i nowoczesności. Na jej tradycyjność wskazują nawiązania do romantyzmu, Młodej Polski i ludowości, natomiast jej nowoczesność określają silne związki bezpośrednie z awangardą krakowską i awan-

gardą czechoską oraz pośrednie – z przenikającymi do Polski tendencjami nadrealizmu i ekspresjonizmu.

Był więc autor *Alfabetu oczu*, *Legend dnia i nocy* (1935) *Ziemi odpływającej na zachód* (1936) oraz *Obłoków wiosennych* i *Arkusza poetyckiego* (1938) zafascynowany Mickiewiczem, Słowackim, Malczewskim, Kasprowiczem, Leśmianem i zarazem wiele zaczerpnął z doświadczeń Czuchnowskiego, Peipera, Przyboisia, Czechowicza, środowiska młodych poetów krakowskiego „Litartu” (tj. grupy literacko-artystycznej) i postawangardzistów warszawskich, z którymi w ciągu kilku lat młodszej burzy i naporu mieszkał i dyskutował na co dzień w głośnych, owianych legendą „wspólnych pokojach”. Przejął poza tym niemało z ludowo-literackiej tradycji rodzinnej: z wyobraźni i fantazji ojca



(barwnie, zajmująco opowiadającego przeżyte osobie i zmyślone historie), z tkliwej uczuciowości matki, powiązanej z rodzinną ludowego poety, Ferdynanda Kurasia, i co nieco z ducha na poły ro-

mantycznej, na poły agitacyjnej poezji młodo zmarłego stryja, Franciszka Piętaka, znanego czytelnikom „Naprzodu” i „Przyjaciela Ludu”.

Wszystko to splecione ze sobą w sposób trudny do rozszyfrowania kształtowało osobowość Stanisława Piętaka, warunkując jej specyfikę i niepowtarzalność.

Ludowo-wiejska tematyka wszystkich niemal wierszy i poematów z lat trzydziestych, czerpanie z podglebia stron rodzinnych i osobistych przeżyć dzieciństwa i młodości sytuuje Piętaka (wiele publikującego na łamach „Okolicy Poetów”) w kręgu niezaakceptowanego przezeń do końca, jako programu, Czernikowego autentyzmu, zaś skrajny wręcz indywidualizm (sensualizm i emocjonalny subiektywizm) – na rubieżach nadrealizmu i ekspresjonizmu.

### **Autobiografizm. Żywioł wyobraźni**

To co w poezji Piętaka jest najbardziej jednorodnym, mimo wielorakich nawarstwień i wewnętrznych sprzeczności, to bezsprzecznie jej autobiografizm. Ów autobiografizm konkretyzuje odautorskie „ja” wierszy lirycznych i narratora liryczno-epickich poematów, rytm przeżyć, zwłaszcza z dzieciństwa i młodości, odbijających się w rozbudzonej transem natchnienia psychice, „organizuje” żywiołowo sytuacje liryczne, akcje czy prawie fabuły poematów, nadając im kształt wewnętrznie zdeformowany, stąd ich amorficzna kompozycja.

Obrazy i zdarzenia w utworach Piętaka zdają się płynąć jak wzburzona rzeka, obfitująca w rozlewiska, sama sobie wyznaczająca bieg, niczym nieokiełznana. To rzeka wyobraźni z wirami sprzecznych wrażeń, skłóconych nastrojów i doznań uczuciowych.

Eksplozja poetyckiego natchnienia zaskoczyła samego poetę. Był zafascynowany siłą i spontanicznością własnej wyobraźni, nie umiał i nie chciał nad nią zapanować. *Alfabet oczu* to upust owych spiętrzonych, nieuładzonych jeszcze, lecz urzekających dynamizmem myśli, uczuć i wrażeń. Tak o tym tomie napisał w pięknym i wnikliwym wspomnieniu-eseju, zamieszczonym w tomie zbiorowym *Poeta ziemi rodzinnej* (1970), serdecznie bliski poecie przez długi czas Jan Śpiewak: „Odwaga, antyestetyzm, brutalne obrazowanie, wolny, swobodny wiersz Piętaka i czerpanie z języka potocznego każą widzieć tę

książkę jako prawdziwie nowatorską, polski odpowiednik okresu «burzy i naporu» futuryzmu europejsko-rosyjskiego. Jestem przekonany, że te tomy wierszy, które u nas nazywają futurystycznymi, nie dorównują sile swobodnej wyobraźni Piętaka ani jego autentycznej barbarzyńskości [o której] pisał Józef Czechowicz, łącząc go z południowymi Słowianami. I znowu nasuwa się porównanie z Chlebnikowem. U tych dwu tak różnych poetów można znaleźć wiele podobieństw, zwłaszcza pokrewieństw wyobraźni. Piętak wydobywa z pamięci płonące zdania jak lawę, które niemal samoczynnie tworzą wiersz. Ta lawa po latach nie krzepnie”.

### **Poskramianie żywiołu. W stronę poematu**

Od *Legend dnia i nocy* datuje się pewna zmiana. Żywioł zostaje jakby poskromiony. Zbiór ten otwiera nowy okres w poezji Stanisława Piętaka, w którym poeta narzuca sobie pewne rygory i zadania, by zadośćuczynić radom krytyków i przyjaciół, a wśród nich głównie Stefana Napierkiego i Józefa Czechowicza. Namawiano go właśnie do utemperowania liryzmu i podjęcia prób oczyszczonej z nadmiaru subiektywizmu epiki. Zamiast poddawać się jak do tej pory żywiołom przeżyć i słów, poeta stara się panować nad nimi. Dawniej – sam tak ocenia – nie wiedział, jak pogodzić w wierszu sprzeczność zachwyty i grozy, wynikającą z presji różnych, często jednoczesnych bodźców („nie można było złączyć słów – nazwy były mdłe”), teraz procesem wypowiedzi kieruje jego selekcyjna wola twórcza. Poezja nie jest upadkiem, lecz tryumfem („Jak masz podnoszę Cię nad siebie męko i chwałę młodości”). Słowem: pełna świadomość zmiennego potoku egzystencji przy – dodajmy za Józefem Czechowiczem – „oczyszczeniu, uspokojeniu, pełniejszym spojrzeniu” (*Ziemia i poezja*, „Pion”, 1938, nr 8). Podmiot nadal kreowany jest na samotnika, ale samotnika z wyboru, nie zaś – jak to było w *Alfabcie oczu* – z niepojętego przeznaczenia. Wiersze drugiego tomiku utrzymane są w tonie zadziwiająco jednorodnej melancholii. Przeżycia-zdarzenia układają się jakby w wątki-legendy, stąd tytuł całości *Legendy dnia i nocy*. Skłonne przedtem do żywiołowości „ja”, jakby dorośleje, nabiera dystansu. Jeśli pojawia się tu bunt, w poemacie *Zwycięstwo*, a następnie w poemacie *Ziemia odpywa na*

*zachód*, to jest już podbudowany wyraźną motywacją. Bunt Jana ze *Zwycięstwa* jest skierowany nie przeciw niewiadomemu, ale przeciw jawnej niesprawiedliwości społecznej, zaś bunt Stefana Galusa, bohatera utworu *Ziemia odpywa na zachód* – przeciw niesprawiedliwości, jaką niesie ze sobą wojna, wytrącająca życie wsi ze spokojnego rytmu, zsyłająca okrucieństwa, wzniesająca konflikty. W wielu partiach tekstu na plan pierwszy wysuwa się wiejska zbiorowość; zdeterminowana zewnętrznymi siłami (ruchami wojsk uwikłanych w wielką wojnę) reaguje na wydarzenia z równym niepokojem, jak przyroda na nadchodzącą burzę (poeta stara się to ukazać w sposób plastyczny i dynamiczny, wyposażając opisywane zjawiska przyrody we właściwości psychiki ludzkiej).

W próbach epickich Pięta, atakowany dotąd przez krytykę za skrajny egotyzm, chce udowodnić, że potrafi wyjść poza krąg przeżyć jednostkowo-osobistych. „Chodzi bowiem o to – notuje na marginesie *Ziemi...* – że po *Alfabcie...* ten poemat to jakby rezygnacja z samego siebie na rzecz przedmiotu, opisu.” (z *Notatnika poetyckiego*, 1966).

### **Symptomy ewolucji światopoglądowo-estetycznej. Liryka czy epika?**

Połączenie indywidualizmu z elementami społecznymi, znalezienie psychospołecznych racji dla jednostkowego buntu (zemsta reakcją na krzywdę), oderwanie wiejskiej zbiorowości od tła i nadanie jej rangi współbohatera, próba przyporządkowania niepojętemu dotąd losowi determinant historycznych, wreszcie uczynienie podmiotu lirycznego i narratora bardziej świadomym konstruktorem sytuacji i akcji – oto wymowne symptomy ewolucji światopoglądowo-estetycznej Pięta.

Poeta dąży do „określenia się w kręgu zbiorowości” – jak ujmuje to Józef Nowakowski w szkicu *Wokół „barbarzyństwa” w poezji autora „Zaklinań”* (Stanisław Pięta – poeta i prozaik, 1969), pragnie – jak później sam sformułuje w *Portretach i zapiskach* (1963) – stać się „rewelatorem życia duchowego”.

Sądzę, że w związku z poematami, powstałymi w 1935 r., zaczyna poetę trapić dylemat, który szczególnie da znać o sobie w latach powojennych: dezorientowany radami i ocenami, nie

mógł zdecydować się, czy pójść za wewnętrznym głosem sensualno-naturalistycznego subiektywizmu (jak radzili rówieśnicy ze środowiska literackiego, wyróżniający *Alfabet oczu*), czy w stronę archetypicznego obiektywizmu (za czym obstawali głównie Napierski i Czechowicz, których poeta traktował prawie jak nauczycieli). Wtedy też zaczyna wahać się co do rodzaju literackiego: zostać lirykiem czy epikiem, realizować awangardowy postulat skrótu czy ulec – dla pozyskania szerszego kręgu czytelników, co w rozmowie z Janem Śpiewakiem (prytoczony w tomie tegoż *Przyjaźnie i animozje*, 1965) ma na uwadze jako jeden z celów – poniekąd nieuchronnej przy narracji i opisie „manierze prozaicznej”, przed którą wcześniej przestrzegał go Stanisław Telega, adresat listu prytoczonego we wspomnieniu (*Poeta ziemi rodzinnej* 1970).

Na marginesie rękopisu *Ziemi odpywającej na zachód* z 1935 r. czytamy: „[...] zwątpienie, czy to [przedstawienie zdarzeń – S.N.] nie jest monotonne? Czy nie jest ułatwione? [...]. Chciałbym skończyć ten poemat wcześniej. Znalezienie wobec niego dystansu będzie dla mnie pracą najbliższych miesięcy.” (z *Notatnika poetyckiego*). Dylemat ten (liryka czy epika) ciąży także na wydanej pod koniec 1937 r. powieści *Młodość Jasia Kunefala*; wykazali to w recenzjach Hieronim Michalski („Kultura” 1938, nr 9) i Kazimierz Wyka („Nasz Wyraz” 1938, nr 4).

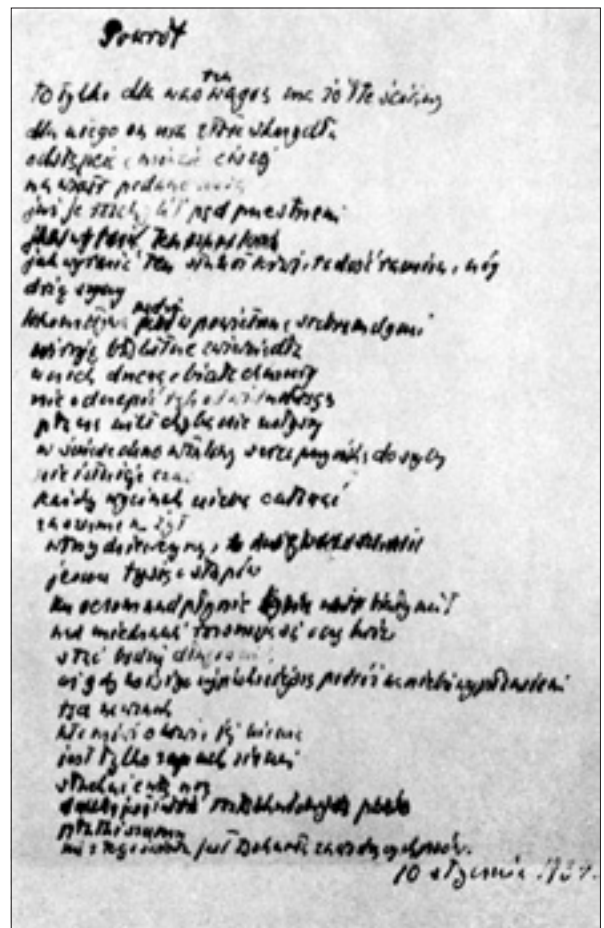
### **Powrót do liryki napięć egzystencjalnych**

Dość wysoka na ogół ocena pierwszych poematów przez krytykę (późniejsze próby w tym gatunku zawiodły) nie skłoniła Pięta na szczęście do rezygnacji z liryki. W *Obłokach wiosennych* i w *Arkuszu poetyckim* – ulegając niektórym wskazaniom teorii „poezji czystej”, jak również ogólnym tendencjom katastroficznym – powraca Pięta w rejony napięć egzystencjalnych. I to właśnie sprzyja nowej eksplozji liryzmu, jednak już nie tak żywiołowego, jak w okresie *Alfabetu oczu*, ale powściągliwie kontrolowanego: elementy konstytuujące poszczególne obrazy są kojarzone i dobierane pod kątem znaczeniowego pokrewieństwa, co korzystnie rzutuje na kompozycję wewnętrzną utworów. Smutek, żal, rozterka, osamotnienie w symbolicznych strofach tego okresu przenikają się niekiedy z radością, zachwytem, rozkoszą olśnienia – w sumie jednak tonacja jest





Stanisław Piętak i Józef Czechowicz



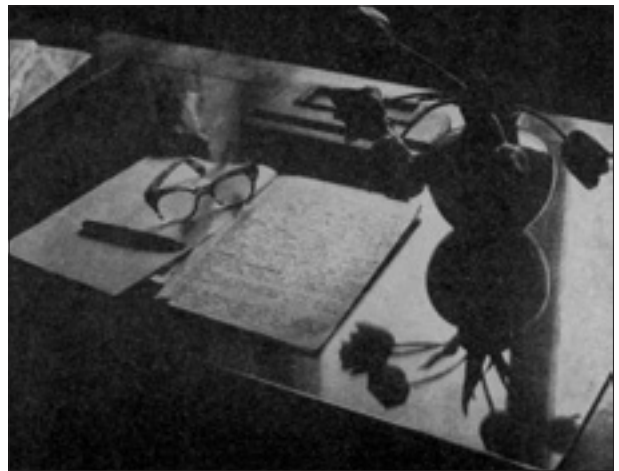
Rękopis wiersza Poety Powrót z 1934 r. Fot. J.S. Kuraliszwili



Rok 1938. Uroczystość wręczenia Stanisławowi Piętakowi Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury przez prezesa Akademii Wacława Sieroszewskiego. Obok stoi Leopold Staff. Siedzą od lewej: Franciszek Goetel, Kornel Makuszyński, Juliusz Kaden-Bandrowski



Poeta z żoną Aleksandrą (1950)



Biurko Poety

Jestem po 37 latach  
 w szkole i w moim domu  
 i w rodzinie i w rodzinie  
 patrzę na wszystko i widzę  
 wszystko. Sama mi widać  
 że w przyszłości nie do końca  
 widać do końca wspaniałym  
 a - jak w tym roku wszystkie  
 radzono i myślałem, że jest to  
 całkiem nowy dyktando  
 (niektórzy tłumaczą).  
 Byłoby to może przystępne  
 i inne pamiętali go mieć.  
 Dziękuję wszystkim rodzicom  
 za pomoc i ich kochanie  
 pomagają szkole.  
 Witania 8.10.2004  
 Aleksandra  
 Piętkowa



Aleksandra Piętkowa odwiedziła szkołę imienia Poety. Wyżej jej wpis do księgi pamiątkowej szkoły Fot. archiwum  
 Z wystawy w tarnobrzeszkiej Bibliotece Pedagogicznej, w której odbyło się spotkanie rocznicowe 19 lutego br.



minorowa. Wyczuwa się wielostronność nawiązań: do romantyzmu, nadrealizmu, ludowości.

### Głęboki impas twórczy w okresie wojny i okupacji

Okres wojny i okupacji nie sprzyjał twórczemu rozwojowi Piętaka. Przytłaczał go ogromem nowych problemów i doświadczeń, których nie mogły unieść wątłe strofy liryki. Lęk przed rewizją i aresztowaniem powstrzymywał od podejmowania aktualnej tematyki: walki z wrogiem oraz walki o wyzwolenie społeczne. Czas żądał wierszy-apelów, a takich Piętak dotąd w ogóle nie pisał. Dlatego unikał zasadniczych spraw, podejmując jedynie – z czystej potrzeby tworzenia jako wewnętrznej ucieczki – zagadnienia błahe, pisząc niekiedy nawet utwory wręcz przepojone ludowo-rubaszną nastrojowością; na przekór atmosferze totalnej śmierci i niewypowiedzianych cierpień ludzkich.

Jedną z tych błałych treściowo prób o małych także walorach artystycznych jest obszerny poemat pt. *Student Paweł*, napisany zresztą, na co wskazuje dokumentacja akcji „Wisła”, w celach zarobkowych (dysponuje nią Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie).

### W powojennym nurcie poezji publicystycznej

Lata powojenne przynoszą znaczne ożywienie twórcze. Poeta rychło otrząsnął się z koszmaru wojny i zaczął służyć swym piórem wielu sprawom, które absorbowały społeczeństwo i środowisko pisarskie. Podejmuje rozrachunek z „czasem pogardy”, opiewa radość rodzącego się na nowo życia w wyzwolonym kraju, wraca do subtelnej liryki pejzażowej, poświęconej głównie rodzinnej wsi. Jego tematyczne zainteresowania są nader wielostronne. Zmienna jest także forma wierszy: krótkie zapisy przeplatają się z utworami o rozmachu nieomal epickim.

Ilość jednak nie przechodzi w jakość; nadto poezja Piętaka z roku na rok zaczyna coraz wyraźniej zatracać swój rys indywidualny. O ile zbiór *Dom rodzinny* (1946, wydany z datą 1947) czy *Odnaleziony poemat* (będący przeróbką cyklu pochodzącego sprzed wojny, dokonaną w 1948) mają pewien walor oryginalności, to *Partyzant i dziewczyna* (poemat z 1947; przetworzony później, rozszerzony i wydany w 1952 oddzielnie

pt. *Stratowane ustronie*), cykl *Baśnie dla dzieci* z 1948 i późniejsze kolejne zbiory: *Lot dojrzałych dni* (1949), *Imię przyszłości* (1951), *Bohaterska kronika* (1953) oraz *Przymierze z nowymi laty* (1955) – powstałe w czasie, gdy wraz z tendencjami socrealistycznymi w poezji ogólny jej kryzys się pogłębił – poza nielicznymi pojedynczymi utworami nie odznaczają się arcyzmem. Narzucona metoda tendencyjnego, obowiązkowo optymistycznego w wymowie realizmu, była obca duchowi Piętaka, który przeżywszy chore i głodne dzieciństwo, pełną rozterek młodość, gorycz wegetacji w wielkich miastach i wszystko to, czym musiał okupić start literacki, miał trwałą skłonność do melancholii, pełnej rozpaczliwego buntu, pesymizmu.

Wiersz *Do krytyka*, zamykający tomik *Lot dojrzałych dni*, to iście dramatyczny rozrachunek poety z dawną twórczością; dramatyczny, bo z poczuciem winy piętnuje niedostatki, które właśnie w stosunku do obecnego etapu były *de facto* wyróżniającymi go zaletami.

Ze zwierzeń poety jednoznacznie wynika, że nie bez wewnętrznych oporów i głęboko przeżywanych artystycznych porażek przechodził od liryki osobistej do liryki społecznej. „Jak niełatwa, jak pełna walki, a nawet cierpienia była nasza droga do liryki społecznej, świadczą właśnie najlepiej te tu zapisane strofy” – wyjaśnia w rękopisach na końcu cyklu z roku 1950. Do tej pory nasycał swą poezję zwłaszcza wspomnieniami, intymnymi doznaniem bądź też obrazami z życia społeczności wiejskiej, z której się wywodził; teraz trzeba było otworzyć się na całokształt spraw ideologicznych, politycznych... Podstawową funkcją poezji stało się słuzenie polityce partii i państwa, miała ona niejako uczestniczyć w procesie przemian społecznych.

Nic więc dziwnego, że poezja Piętaka (i przecież nie tylko jego) nabiera cech zwersyfikowanej publicystyki. Jest jednoznaczna w wymowie, prosta, komunikatywna, ale też rozwlekła, pełna wielosłownia, obiegowych sloganów, hasel z przemówień. Ma agitować na rzecz odbudowy z wojennych zniszczeń, na rzecz walki z wrogiem klasowym, bumelanctwem w pracy, na rzecz rzetelnego wykonywania zadań planu sześcioletniego, zakładania spółdzielni produkcyjnych na wsi, przewodzenia we współzawodnictwie itp. Oto reprezentatywne dla tego okresu utwory (mówią wszystko już same tytuły): *Przemówienie*



wiejskiego aktywisty, *Nad 62 punktem Projektu Konstytucji, Ku nowemu, Społeczna służba, Przodownica Anna, Na otwarcie spółdzielni produkcyjnej w S., Wróg działa.*

### Ocalenie siebie w liryce szczerego wyznania

Po 1956 roku poezja Piętaka zaczęła stopniowo uwalniać się od publicystycznej tematyki i szampańskiej, uproszczonej stylistyki. „Podjąłem pisanie tych wierszy – czytamy w notatce z 21 marca 1957 roku – w atmosferze absolutnej wolności. Marzyłem o pisaniu wyzwolonym z doraźnej ideologii i z własnych już skostnień i nawyków. A więc powrót do skojarzeniowej metafory, do wyobraźni nie liczącej się z niczym, do wolnego, upajającego rytmu.” (z *Portretów i zapisków*).

W trzech ostatnich tomikach (*Szczęście i cierpienie* 1958, *Pośrodku żywiołów* 1960 i *Zaklinania* 1963) poeta staje się na powrót sobą. Zdumiewa w tych zbiorach jednorodność widzenia poetyckiego, odzwierciedlająca się w konsekwencji obrazowania. Plastyka wierszy harmonijnie łączy się z ich refleksyjnością. Są zarazem głębokie i wyraziste, mają klarowną kompozycję, niekłamana siłą ekspresji. Jest to poezja szczerego wyznania, psychicznego odsłonięcia się. Jawa i sen, jasność i ciemność, radość i przepastny smutek, nadzieja i głębokie przeżycie fatalizmu przemijania – oto pulsujące w niej sprzeczności, nierozdzierające, ale swoicie organizujące. Są w niej obecne wszystkie żywioły przestrzeni i czasu, a więc przyrody i osobiście przeżytej historii od dzieciństwa po dojrzałość, od naiwności pierwszego wzruszenia po wszechogarniającą i przenikającą wszystko dordzennie świadomość. Ta świadomość, poczucie wspólnoty losu skłoniły Stefana Lichańskiego (w przedmowie otwierającej *Poezje S. Piętaka* z roku 1966) do scharakteryzowania tej poezji jako „żywego świadectwa przełomu kulturowego o największej doniosłości, więcej! – jednego z konkretnych aktów tego przełomu”. Chodzi o przełom w mentalności inteligenta-plebejusza, „który swoim artystycznym «barbarzyństwem» wywalcza pełną nobilitację chłopskości zrywającej ze stanową wyłącznością, zapewniającej sobie czynny współdział w całości życia narodowego.” (z *Przedmowy* do tomu *Poezji* Stanisława Piętaka z roku 1966).

Choć w ostatnich zbiorach co krok wyczuwa się bolesne piętno osobistych wspomnień poety, słusznie sugeruje Mieczysław Dąbrowski w studium historycznoliterackim o twórczości Piętaka (1977), by zamiast o autobiografizmie mówić o „stężonych tendencjach do lirycznego kształtowania wypowiedzi”, bowiem „taka forma wypowiedzi poetyckiej pozwala nadać słowom pisarza ostateczny wymiar, przepoić je znaczeniami jedynymi i wyposażyć w osobisty ton. [...] Poeta jest medium ludzkich spraw i wypowiadając je nie używa żadnych kamuflaży”.

Dzięki owemu stopieniu się tego, co osobiste, intymne, z duchem „ludzkich spraw”, szczerości lirycznego wyznania z „naturalnym” artyzmem prostej formy twórczość poetycka Piętaka, szczególnie w *Zaklinaniach*, osiąga swój najwyższy wzlot. *Zaklinania* zafascynowały krytykę i wielu czytelników, zdawały się otwierać nowe perspektywy. Dlatego tak wstrząsnęła wszystkimi wieść o tragicznie przedwczesnej śmierci poety, śmierci zostawiającej gorzyc „niedocieczonego wątku”.

### Warsztat poetycki. Proces tworzenia

Jak przebiegał ten proces w przypadku Stanisława Piętaka, dowiadujemy się ze zwierzeń poety, utrwalonych w formie zapisków na marginesach rękopisów, odpowiedzi na ankietę „Okolicy Poetów” *Jak powstaje wiersz?*, wstępów odautorskich do książkowych wydań.

Najważniejszy zawsze był sam impuls twórczy wypyływający ze źródeł inspiracji. Przyjrzyjmy się temu na przykładzie odpowiedzi nadesłanej redaktorowi „Okolicy Poetów” Stanisławowi Czernikowi. Dotyczy ona silnych emocjonalnych przeżyć związanych z powrotami do Wieloski i okolicznościami, które wywołały ów liryczny „zacząt” (wedle określenia Juliana Przybosia z odpowiedzi na tę samą ankietę „Okolicy”):

„Więc przede wszystkim samo to wydarzenie: powrót. Dostarczało mi ono za każdym razem, gdy wracałem do rodzinnej wsi po dłuższej nieobecności, tyle wzruszeń pełnych religijnego wprost uniesienia, że stawałem się jako echo muzyczne, cichy, osłabiony szczęściem doszczętnie.

Ot ma się lat 20. Było się chorym, bardzo chorym, a teraz się powraca. Jest wiosna, jest zieleń, zmierzcha się. Na małym przystanku wysiada się. O jaki kilometr przed oczyma wieś

w siwiutkich dymach, słycać śpiew dziewczęcy. Więc jeszcze raz mogę to wszystko chłonać oczami, uszami, węchem, dotykiem, piersią... Cóż dziwnego, że nogi ślaniają się, w porywie chciałoby się klęknąć, zaśpiewać tak cicho jak te drzewa, ten łań pszeniczny, ta biała droga... Zdarzenia życiowe związane z faktem powrotu przekształciły się w wyobraźni z biegiem dni na przezyste przeżycie muzyczne; ono stało się leitmotiwem wyobraźni, wracającym zawsze w chwilach podniosłych i tkliwych. Do poezji stąd już tylko krok.

I oto przyszedł moment. Powracałem z pobliskiego Sandomierza do domu. Dzień był chmurny – po polach tłukła się śnieżycą. Myślałem o wierszach, o wiośnie, o swojej przyszłości. I nagle przed oczyma zjawiała się płowa nizina cała w złotoróżowych odpryskach światła. A potem nad miedzami zobaczyłem ogromne oczy koloru szafiru. Może to były oczy ukochanej dziewczyny, powiększone do niebywałych rozmiarów, a może ślepią krowy. Ta ostatnia wyszła właśnie zza drzew, gdy nagle tuż blisko w śnieżycy zahuczał pociąg – i w tej samej chwili piersi zdusiło mi tak ogromne wzruszenie, że omal nie upadłem.

– To będzie wiersz, cudowny wiersz, cudowny – szeptałem. W wyobraźni wywołałszy z powrotem widzenie tych ogromnych oczu, w których nurzał się złotawy świat – począłem biec.

Pociąg, pociąg, i już te słowa: o oczy, o oczy... Byłem bliski najwyższego uniesienia. Jednak nie napisałem w tym roku tego wiersza. Wyjechałem z domu, pisałem wiele wierszy. I było w nich dużo oczu, dużo pociągów, dużo słupów kolejowych, dużo złotego przedmierzchu, ale to nie było to, to nie było to...

Po kilku miesiącach wróciłem do rodzinnej wsi. Przyszła jesień, nie wyjechałem. Przeżywałem wówczas niestłuchanie dramatycznie rzeczywistość, pisałem znów wiersze, tylko takie szarpiące, gwałtowne. Było mi źle, strasznie niekiedy – i oto zapragnąłem po tych *Dniach z igiel, Orkach* napisać wiersz, w którym by było dużo jasności, tkliwości, szeptów złotawych jak przedmierzch lipcowy.

Natężeniem wyobraźni wywołałem przeżycie sprzed roku z tą jasną doliną pszenic, poprzerastanych makiem, ogromnymi oczyma i pociągiem. – Ach! to będzie powrót do domu, do domu – i nagle zobaczyłem siebie w oknie wagonu, krowy szły miedzami, zmierzchało się,

nad miedzami ogromne oczy. Teraz już wiedziałem: te oczy to były oczy tej... Nie spotykałem się już z nią od wielu miesięcy, nienawidziłem i kochałem ją zarazem tak ogromnie, że zamknięcie w sobie tej namiętności przyprawiło mię o straszną rozpacz.

Począłem grać w karty, grałem co wieczór, wmawiając w siebie, że tamtej nie Kocham, że Kocham już inną itd. W tych chwilach ogarniała mnie ogromna tęsknota za tą dziewczyną, tylko nie taką, jak dzisiaj, lecz sprzed lat, gdy była taka bezpośrednia, taka wzruszająca, taka śliczna w prostocie swych uczuć...

Jednego wieczora – o dziwo – karta poczęła mi iść nadzwyczajnie. Każdego, kto się tylko przysiadł, ogrywałem do grosza. Dziewczęta z cicha nuciły jakieś piosenki, chichotały. Byłem podniecony wygraną, ponosiła mię radość i siła ogromna. Żartowałem z dziewczętami, na chwilę zapomniałem o świecie i o tamtej zupełnie.

Około godziny 12 wróciłem do domu.

Teraz napiszę ten wiersz, ten wiersz – pomyślałem. Przyniosłem pióro z pokoju do kuchni, atrament – i usiadłem. Zatytułowałem *Powrót* – i na razie nic... Tylko tyle mieszanych uczuć: żalu, smutku, tęsknoty za innym życiem...

Siedziałem już godzinę, tułały się słowa: szum, o, o oczy, widziałem wszystko, czułem.

Zacząłem pisać od zdania: »Nie odczepił rąk od widnokregu« – aż do końca napisałem jednym tchem, nie poprawiając, z uczuciem ogromnej tkliwości i ogromnego triumfu.

Oczywiście wiele wierszy moich ma 5 redakcji, pisało się je trochę inaczej, proces ich powstawania był jednak podobny do tego, jaki przedstawiłem powyżej – u dna bowiem ich wszystkich leżało subtelne przeżycie muzyczne.” („Okolica Poetów” 1936, nr 8).

Na szczególną uwagę zasługuje odnaleziona w papierach pośmiertnych pierwsza (zapewne) redakcja z datą 10 stycznia 1934 r., będąca spontanicznym zapisem, „na gorąco”, z odruchową, selektywną interpunkcją, przytoczona z respektem autorskich skreśleń i poprawek:

To tylko dla was ten wagon ma złote ściany  
dla niego on ma złote skrzydła  
odstąpcie, mówcie ciszej  
na wiatr podane usta  
już je rozchylił pęd przestrzeni  
jak wyrazić ten stukot krwi, radość ramion, nóg drżą szyny  
lokomotywa pędzi w powietrzu, srebrem dymi

wirują błękitne zwierciadła  
w nich drzewa, białe chmury  
nie odcepić rąk od widnokrzęgu  
płaczu nikt chyba nie usłyszy  
w śniade okno wtulony serce przyciska do szyby  
nie istnieje czas  
każdy wycinek nieba całować  
za szumem żył  
włosy dziewczyny,  
jeszcze tysięcy słupów  
ku oczom nadpłynie biały mit  
nad miedzami rozsnują się oczy krów  
stać będzie długo w nich  
aż gdy księżyc najpiękniejszą podróż na niebie wypłomieni  
ręce na wznak  
kto mówi o krwi, jej nie ma  
jest tylko zapach ziemi  
słuchać całą noc  
płatki szumu  
nie z tego świata jest tęsknota zawodzących psów.

Poeta ustawicznie, obsesyjnie wprost, powracał myślą do swych wcześniej napisanych utworów, dokonywał w nich wielu różnorodnych zmian: od drobnych kompozycyjnych, wersyfikacyjnych, interpunkcyjnych po fragmentaryczne i całościowe przeróbki stylistyczne (obejmujące krótkie odcinki tekstu), redakcyjne (liczne odmiany tekstu zmieniające treść, sposób obrazowania, a także kompozycję, wersyfikację), niewielkie i wydatne skróty lub rozwinięcia tekstu, a nierazko całkowicie nowe opracowania na kanwie dawnych pomysłów. Liczne utwory mają po kilka (do 5-8) takich różnorodnych wariantów, zwłaszcza młodzieńcze, z lat trzydziestych. Warto więc choćby w zarysie temu wysiłkowi się przyjrzeć.

We wspomnieniowej książce poety *Portrety i zapiski* z 1963 r. czytamy:

„Wracam do dawnych wierszy nie dlatego, by mi brakło tematów czy nowych idei poetyckich, tylko, że niepokoi mnie, zadaje cierpienie kształt rzeczy stworzony, lecz niepełny i czasem fałszywy.

Choćby wiersze *Alfabetu oczu*? Prawie w każdym z nich istniało to ważne, jedyne, domagające się wypowiedzenia, a przecież niekiedy przyoblekało się w sztuczną formę. Właściwie jedynie takie utwory, jak: *Wspominanie epopei*, *Powrót*, *Dalej księżyc* i *Noc* są poezjami pełnymi, inne topią się w żywiole, w ciemnym morzu uczuć.

A mimo to i dziś nie opuszcza mnie przeświadczenie, iż w wierszach tamtych mieści się potężny ładunek nowości i prawdy – że poezja czai się nawet zza porwanych zdań i niekształtnej

strofy... Próbowałem niektóre utwory pisać na nowo. Przyznam się, iż praca dała mi zadowolenie i chciałbym kiedyś ogłosić te poezje, aby tworzyły w przyszłym moim wyborze wierszy pełny jednorodny cykl. W wielu wypadkach są to utwory przerobione, zdarzają się przecież także wiersze całkowicie niezależne od dawnych, tyle że pozostają w starej atmosferze, wykorzystują pomysł, ziarno wzruszenia już istniejące.

Bogactwo wyobraźni nie szło w parze kiedyś ze zwięzłością wypowiedzi lirycznej, z jasnością kompozycji – ztracało się piękno wiersza. Piszę na nowo te dawne poezje, by nadać im kształt jak najbardziej adekwatny z myślą, z widzeniem tego, co chciałem wypowiedzieć.”;

„A więc dłubanina: czyta się stare wiersze, coś tam się skreśla, coś dorzuca i w ten sposób powstają utwory niekiedy w niczym niepodobne do dawnych. A mimo wszystko daje to jakieś zadowolenie.”;

„Także w roku 1948 nie byłem zdolny do podjęcia pracy poetyckiej na szerszą skalę, wciąż pełen sprzeczności, [...] mogłem raczej poprawiać swoje dawne fragmenty, spowiadać się z rozpaczliwą szczerością niż tworzyć.”;

„Począłem znowu pisać. Kilka wierszy lirycznych, dawniej odłożonych, uzupełniłem lub napisałem na nowo [...]”.

Klimat podobnych zwierzeń – również zaczerpniętych z rozproszonych po brulionach notatek pochodzących z różnych okresów twórczości, tyle że bez późniejszych autorskich retuszy – odnajdujemy w, uzupełniającym niejako *Kartki z dziennika z Portretów i zapisków, Notatniku poetyckim* (1966), np.

„Usiłuję na nowo przerobić kilka moich dawnych wierszy. Taki już mój głupi zwyczaj przy rozpoczynaniu znaczniejszego pisania.”;

„[...] inne utwory *Odnalezionego poematu* są całościami niemal w pełni nowymi. Korzystałem z dawnych notatek poetyckich, z pomysłów, z pojedynczych sformułowań, stwarzałem nowe wiersze.”.

Ogrom wysiłku, jaki wkładał w swą twórczość Piętaś, unaocznia już porównanie „tych samych” utworów z różnych tomików – pełne potwierdzenie znajdują zatem słowa poety z wprowadzenia (*Od autora*) do *Poezji zebranych*:

Latami całymi pracowałem nad tą książką, poprawiając lub pisząc na nowo opublikowane w oddzielnych tomikach wiersze czy też grzebiąc



W 50. rocznicę śmierci Stanisława Piętaka w Tarnobrzegu odbyły się dwa ciekawe spotkania: w Bibliotece Pedagogicznej kierowanej przez Annę Żarów (z prawej), z udziałem prezydenta Tarnobrzega Norberta Mastalerza (w środku), gdzie o twórczości Pisarza mówili Justyna Jadach (z lewej) i Stanisław Nyczaj – któremu recytacją poezji towarzyszył Bohdan Gumowski (poniżej)



Fot. Anna Słodownik

...jak również w Muzeum Historycznym Miasta (Zamku Dzikowskim), gdzie wystąpili (przedstawieni na zdjęciach):



Stanisław Nyczaj, Jan Adam Borzęcki, Grzegorz Kociuba



Przy mikrofonie Grzegorz Kociuba, siedzą: Stanisław Dłuski, Stanisław Nyczaj, Jan Adam Borzęcki

Fot. archiwum



w rękopisach i w prasie w poszukiwaniu swoich nieznanych utworów poetyckich. Książka, jak zatem widać, nie jest mechanicznym przedrukiem ogłoszonych do tej pory wierszy, lecz tomem samoistnym, przemyślanym i opracowanym nawet w szczegółach. Zrezygnowałem w nim z niektórych utworów nieistotnych i słabych, a pomieściłem w zamian kilkadziesiąt liryków napisanych na nowo lub niewznawianych od lat”.

Przykładowo: W *Obłokach wiosennych* z 1938 r. zamieścił nową wersję poematu *Ziemia odpływa na zachód*, wydane go zaledwie przed dwoma laty. W *Arkuszu poetyckim* (również z 1938) opublikował nową redakcję *Nocy z Alfabetu oczu* (1934) pt. *Noc wspomnień*. Warianty przedwojennych liryków wypełniają cz. II, III i IV zbioru *Dom rodzinny* (1946). Coraz ich więcej (w tym także wariantów wierszy powojennych) kolejno w *Wierszach wybranych* (1950) i *Wyborze poezji* (1956). *Poezje zebrane* (1964) zawierają tylko kilkanaście utworów o tekstach identycznych z ich wcześniejszymi publikacjami książkowymi. W większości odmianami publikacji książkowych wierszy czy poematów są pierwodruki czasopiśmiennicze, a tym bardziej liczne wersje zachowane w rękopisach z papierów pośmiertnych – udostępnionych mi życzliwie przez Aleksandrę Piętakową.

Z rękopisów na szczególną uwagę zasługują: brulion wierszy z 1932 r. z poprawkami z r. 1933,

rękopis poematu *Ziemia odpływa na zachód* z 1935 r. (pierwotna wersja całościowa),

brulion *Legend dnia i nocy* z 1935 r.,  
brulion wierszy i poematów z lat 1935-1937 z blokiem wierszy projektowanego drugiego wydania *Alfabetu oczu*,

brulion zatytułowany *Dziennik i wiersze 1957 roku, 1958 i 1959 roku* przedłużony pod koniec o *Dziennik i wiersze 1961 roku*,

brulion pt. *Wiersze i notatki 1962 roku* (najtrudniej czytelny, z największą ilością poprawek i skreśleń).

W edycji z 1986 r. – odwołując się co raz do rękopisów z wymienionych brulionów, fascynujących ogromem wzmożonego wysiłku myśli, wyobraźni i słowa – głównie jednak skoncentrowałem się na porównywaniu wariantów z wydań książkowych, tj. tych najbardziej reprezentatywnych, najstaranniej opracowywanych (każda publikacja książkowa, decydująca o opinii krytyki, była dla Piętaka bez wątpienia prezentacją najważniejszą).

Przytoczone ciekawsze urywki przemyśleń poety związanych z procesem twórczym ukazują, z jakim mozołem pracował nad sobą i tekstem. Miał to Przybosiowe – wyrażone po raz pierwszy w odpowiedzi na ankietę „Okolicy Poetów” (1936, nr 7) – „poczucie scalającego i zamykającego się kształtu, nakazu ostatecznej doskonałości, który domaga się dociągnięcia wiersza do ideału”.

Stanisław Nyczaj



Fragment wystawy książek i rękopisów Stanisława Piętaka



Jan Adam Borzęcki

## Człowiek z rzecznej gliny

Wspomnienie o Julianie Kawalcu (1916–2014)

Zmarł Julian Kawalec. Dla mnie zwyczajnie Julek – dobry, serdeczny człowiek, który jest wzorem i takim pozostanie. Miał 97 lat, więc mówią, że to normalne, bo przecież żył długo i że już pora... Ale do mnie argumenty te jakoś nie trafiają.



Emocja poniosła mnie i zapomniałem, że najpierw trzeba powiedzieć, kim był Julian Kawalec. Tym bardziej, że odkąd pieniądź stał się fetyszem, wyznawcy ducha stali się niemal niewidzialni, a zapatrzona w inne wartości współczesność zapomina rzeczy z wczoraj, nie mówiąc o tych sprzed lat. A przecież będzie o pisarzu wybitnym, bez którego trudno wyobrazić sobie literaturę ostatniego półwiecza XX wieku. O człowieku, który literacko nobilitował ziemię w widłach Wisły i Sanu, i który pozostał jej wierny do końca.

Julian Kawalec urodził się 11 października 1916 r. we Wrzawach – miejscu, które tak zakodowało się w jego jaźni, że uczynił z niego literacką markę, osadzając je nie tylko w literaturze, lecz także wyobraźni czytelnika. I to na tyle mocno, że bywając w nieodległych Wrzawach, spotkałem kilku pielgrzymujących do Kawalcowej mekki i patrzących nań Jego oczami. Jak to dobrze, że literatura trwa dłużej niż mody!

Na dorobek twórczy Juliana składa się kilkadziesiąt książek, a wśród nich sztandarowe

powieści: *Ziemi przypisany*, *W słońcu*, *Przepłyniesz rzekę*, a także mój ulubiony *Tańczący jastrząb*. Był czas, kiedy twórczość Kawalca była mi szczególnie bliska, bowiem odnajdywałem w niej własne doświadczenia związane ze zmianą społecznego statusu, nie mogąc odnaleźć się w nieznannej mi rzeczywistości, w której wiara w srebrne świerki zastąpiła ufność w wierzby. W okresie kiedy starałem się wytrzeć zgrzebność języka, szorstkość gestu, nauki towarzyskiej dyplomacji i życiowej giętkości. I właśnie wtedy twórczość Kawalca pomogła mi przerwać ten chocholi taniec i docenić to, co prawem osmozy weszło we mnie w okresie kształtowania osobowości. Dzięki Kawalcowi i jemu podobnym pojąłem wówczas, że moja wiejska przeszłość daje mi przewagę pełniejszej znajomości świata. Moja rzeczywistość obejmowała bowiem dwa różne wymiary, których połączenie dawało możliwość stworzenia nowej świadomości.

Był czas, kiedy o Kawalcowym pisarstwie mówiono jak o fenomenie. Pisali o nim recenzenci, krytycy, jego książki tłumaczono na obce języki, a kilka stało się kanwą filmów. Były zaszczyty oficjalne (m.in. nagroda Ministra Kultury i Sztuki), ale najbardziej godne było uznanie czytelników, którzy w 1967 r. uznali go za najlepszego pisarza. Pisano o oryginalności stylu, zerwaniu z tradycją dawnej literatury społecznej, nazywano „polskim Faulknerem”, organizowano konferencje i sympozja o Jego pisarstwie, a publikacje na temat jego twórczości z trudem mieściły się na bibliotecznej półce.

Na początku były książki, ale do ich percepcji musiałem dojrzeć. Przez jakiś czas moje wiejskie podwórko nie wydawało mi się zbyt ciekawe, aby odnajdywać je w literaturze. Sądziłem, że tak dobrze znam swój zaścianek, iż nikt nic nowego nie może mi o nim powiedzieć. Kochałem swój kawałek świata, ale nie widziałem w nim nic ciekawego, a już szczególnie czegoś, co godne byłoby kart wielkiej literatury. Ale

czas płynął, a kiedy mój świat poszerzył się przestrzennie i pogłębiał intelektualnie, coraz wyraźniej zaczęło docierać do mnie przesłanie pisarzy z chłopskim rodowodem. I zrozumiałem skomplikowanie tego pozornie prostego skrawka przestrzeni z jego egzystencjalnymi problemami, specyfiką pojmowania mądrości i brakiem międzyludzkiej dyplomacji; zrozumiałem związek człowieka z Naturą, człowieczą enigmatyczność i wyniosłość Boga. Pojąłem też tkwiące we mnie sprzeczności i konieczność ich uładzenia. Wtedy przemówili do mnie ci, którzy już to przeszli. Także bohaterowie książek Kawalca.

Ale ja prawdy o Jego pisarstwie uczyłem się we Wrzawach i okolicy – tej nostalgicznej krainie, która uczy pokory i wprowadza w nostalgiczny trans. W krainie, w której nawet dziś – przy wszystkich atrybutach nowoczesności – pozostało coś z niegdysiejszej statyki. W krainie odpornej na przeciągi Historii, w której czas odgrodził się fosą dwóch rzek i wciąż trwa. Pisał o niej: „Ja jestem wychowany w dolinie Wisły i Sanu, na terenie płaskim. Ta dolina aż cierpi od braku wzniesień. Nie ma w niej nic skoczego. Ludziom tamtejszym ta dolina każe śpiewać melancholijnie, zawodząco. Stąd właśnie wywodzi się moja nuta”.

Pamiętam rozmowę odbytą na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to siedząc u zbiegu obu rzek, tłumaczył mi tęsknotę do sandomierskich Gór Pieprzowych, które chociaż niziutkie, przecież wydawały mu się najwyższe w świecie. Jednak one były za Wisłą i długo pozostawały w strefie marzeń: „Ale wtedy zaczął się we mnie sentyment i przywiązanie do mojego krajobrazu. Tego płaskiego, odosobnionego i zaciszego dzięki Górom Pieprzowym. Mojego świata, który nie chce ze mnie wyjść...”.

I pozostała w nim nuta specyficznego liryzmu, ludowej romantyki, w której nieokreśloność dziwnie splata się z logiką przysłowiowej chłopskiej mądrości. We Wrzawach szukać więc należy mentalnej i stylistycznej oryginalności Kawalcowego pisarstwa. Tym bardziej że z fizycznej odległości Wrzawy stawały się obsesją i ideą. A jeśli chodzi o nasze kontakty, to tak się jakoś składało, że zazwyczaj spotykaliśmy się w Sandomierzu lub we Wrzawach. Kiedyś odwiedziłem go w Krakowie, ale rozmowa jakoś się nam nie kleiła. Zauważył to i skwitował: „Za dużo tu bruku i murów, oddających echo, które ogłusza. My potrzebujemy pod nogami czystej ziemi i chłonnego powietrza...”.

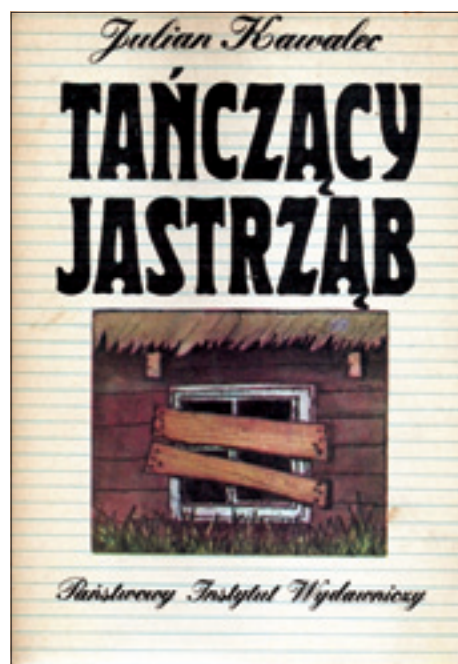
Juliana poznałem dzięki nieżyjącemu już, wspaniałemu poecie Tadeuszowi Nowakowi. Stało się to właśnie we Wrzawach podczas Kawalcowego benefisu, którego nastrój skutecznie zaśmiecała ekipa telewizyjna. Pewnie gdzieś zachował się reportaż z tamtego wydarzenia, ale kto by dziś sięgał po takie starocie? W każdym razie to tam Tadeusz Nowak przedstawił mnie Julianowi. Byłem wtedy u progu mojej literackiej działalności, toteż poznanie takiej osoby było nie lada przeżyciem. Ale Julian okazał się rozmówcą tak serdecznym i spolegliwym, że nawet przez chwilę nie czułem presji jego literackiej wielkości. A jednak wciąż pamiętam przerażenie, jakie ogarnęło mnie na propozycję przejścia na „ty”! Nie mogłem sobie wyobrazić, abym ja, wychowany na Kawalcowej legendzie mógł się z nim tak spoufalić! Lecz przyszło mi to łatwiej, niż się spodziewałem i chociaż pozostał dla mnie ludzkim i pisarskim autorytetem, już nigdy nie umiałem o nim myśleć, jak o kimś górnym. A potem były kolejne spotkania w Sandomierzu, które utwierdziły mnie w wierze nie tylko jego pisarstwa, ale przede wszystkim osoby. Pamiętam krótki, celny komentarz, kiedy to idąc za trumną Wincentego Burka, w pewnej chwili Julian rzekł do mnie: „Popatrz, co za przekora losu – ostatnia droga autora *Drogi przez wieś* wiedzie przez miasto. Trudno o bardziej odmienione drogi...”.

*A Odmienione drogi* to tytuł tomu powojennych opowiadań Burka.

Pamiętam spotkanie z Julianem w sandomierskim Zamku. Nie pomnę roku, ale było to podczas jednego z literackich plenerów organizowanych przez Staszka Nyczaja. Mimo wieku, a miał wtedy około dziewięćdziesiątki, Julian



Przypominamy wybrane z krzywdząco zapomnianych książek Juliana Kawalca





był w dobrej kondycji i kiedy żwawym krokiem wspinał się po stromych zamkowych schodach, pomyślałem, że uprawianie literatury dodaje siły. A kiedy czytał fragmenty swojej nowej książki i nadzwyczaj klarownie odpowiadał na pytania, nie miałem wątpliwości, że pomaga zachować intelektualną sprawność. Gdy mu to powiedziałem, odrzekł, że tak wpłynęły na niego sandomierskie wspomnienia i bliskość Wrzaw.

Kiedy poznałem jego pisarstwo, wydawało mi się, że nie jest w stanie niczym mnie zaskoczyć. Tymczasem w wieku niemal dziewięćdziesięciu lat nieoczekiwanie prozaik przekształcił się w poetę! I to jakiego poetę! Nie żadnego tam dekadenta, ale popadającego w życiowy zachwył optymiste! Poetę, który swe życiowe doświadczenie potrafi wykorzystać do budowania pozytywnego wizerunku życia. A jeśli nawet zazgrzyta coś w mechanizmie świata, to tylko jakaś nienaoliwiona mądrością ludzka śrubka. Ale może się jeszcze naoliwi?

W liście sprzed dwóch lat napisał: „Mówią, że w życiu jest więcej złego niż dobrego, ale nie wierz w to. Życie jest dobre, jeśli dobrze się o nim myśli i żyje wśród ludzi, dla których życzliwość jest słowem najważniejszym”.

Dziękuję, Julku, że mnie do nich zaliczyłeś...

Napominałeś też: „Jeśli piszesz, rób to szczerze. Mów ludziom, co dla ciebie ważne i pomagaj im się zrozumieć. I przekonaj ich, że żyją we właściwym miejscu i czasie, nawet jeśli wydaje im się, że tak nie jest. Niech docenią swój mały WIELKI świat i swoich małych, WIELKICH sąsiadów. To największa powinność pisarza”.

Ostatnie lata spędził jako rezydent ośrodka w Rabce. Odwiedziłem go tam kilka lat temu i zdziwiła mnie jego psychiczna pogoda. Kiedy mu to powiedziałem, odrzekł, że ludzie z rzecznej gliny wystawieni na słońce świata, twarzą i stają się odporniejsi. Bo chociaż świat wciąż wymyśla coraz to nowe tworzywa, najszlachetniejsze pozostaną drewno i glina.

Kiedyś Tadeusz Nowak żartobliwie radził mi, abym idąc obok wierzby baczył, czy nie siedzi na niej Kawalec, który gotowy skoczyć na głowę. I chociaż dziś Juliana nie ma wśród żywych, przechodząc obok wierzb, jednak wciąż będę sprawdzał, czy Go tam nie ma.

I mam nadzieję, że przecież kiedyś Go tam spotkam...

*Jan Adam Borzęcki*

Stanisław Nyczej

## Przy rozmownym stoliku

### Wspomnienie o Henryku Jachimowskim (1938–2014)

Poznaliśmy się z początkiem lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku podczas jednego z ogólnopolskich seminariów Nauczycielskiego Klubu Literackiego, odbywanych rokrocznie w pierw-



szej połowie lipca w Gdyni (potem w Gdańsku i gdzie indziej). Jak przystało na nadmorskie klimaty, nasze dyskusje były niekiedy łącie sztormowe. W młodych głowach aż huczało. Prym wiódł, urodzony polemista, Leszek Bakuła z Ustki przy wtórze m.in. Wiesława Kazaneckiego z Białegostoku, Stanisława Srokowskiego z Wrocławia, Tadeusza Sznercha z Lubina i moim (wówczas opolanina). Henryk zdawał się partnerować we wszystkim, ale na swój, zupełnie inny sposób – z rozważnym spokojem, pewnym dystansem, nie angażując się publicznie w utarczki słowne, a zwłaszcza ostre spory międzypokoleniowe, kiedy pastwiliśmy się nad tradycyjną poezją starszych uczestniczek turnusu. Miał już te rozterki warsztatowe za sobą, roztrząsane w la-

tach sześćdziesiątych, o jakich często i dobrze wspominał, zwłaszcza w rożnickim „Ponidziu” u Waldemara Babinicza (może właśnie od niego przejął ową „rozwagę” i umiejętność słuchania innych?). Był już autorem czterech książek – dwóch tomików poetyckich: *Idę po dnie rzeki* (1965), *Pieśni wyśpiewane* (1970) oraz dwu tomów prozy: zbioru *Jaszczury* (1966), na który, oprócz tytułowej mikropowieści, złożyły się trzy opowiadania, i powieści *Skaza* (1969, potem dwukrotnie wznawianej), uhonorowanej prestiżową wówczas Nagrodą im. Stanisława Piętaka.

Przysłuchiwał się cierpliwie naszym sporom na wspólnych spotkaniach, potem wybierał sobie kogoś na osobną, bardziej roztropną rozmowę przy stoliku. Rozprawialiśmy tak we dwóch wielokrotnie i szybko porozumieliśmy się, zaprzyjaźnili. Akceptował moje krytyczne spojrzenie na sytuację we współczesnej literaturze. Dzieliliśmy się też troskami środowiskowymi i osobistymi kłopotami. Ja uskarżałem się na naciski władz opolskich, tłamszących środowisko młodoliterackie, uniemożliwiających jakąkolwiek aktywność wydawniczą, na dodatek przy niezrozumiałej obojętności starszych kolegów-literatów (byłem wtedy przewodniczącym Koła Młodych w Opolskim Oddziale ZLP), więc Henryk mocno zachęcał mnie, bym przeniósł się do Kielc i w tych namowach znalazł gorące wsparcie, związanego też z rożnickim Uniwersytetem Ludowym poety Bogdana Betza. Przekonali mnie obydwaj. I kiedy zaistniała możliwość godziwej pracy etatowej w tworzącym się od podstaw Dziale Wydawnictw w Kieleckiej Wyższej Szkole Inżynierskiej, opuściłem Opole.

Od października 1972 r. pracowałem z Henrykiem w jednym pokoju; on był kierownikiem Działu, ja redaktorem skryptów uczelnianych i zeszytów naukowych. Nie przeszkadzało to nam zajmować się literaturą. Dział był faworyzowany przez wspaniałego rektora Henryka Frąckiewicza (profesora, wybitnego specjalisty w zakresie logiki matematycznej, zarazem naukowca z wielką wyobraźnią, która dawała coraz to nowe impulsy do działań umożliwiających uczelni szybki rozwój i awans ku politechnice). Mieliśmy wsparcie ze strony Instytutu Nauk Społecznych, kierowanego przez historyka i politologa prof. Jana Naumiuka, który bywał na literackich wieczorach, recytował nasze wiersze (zmarł niedawno w wieku 85 lat).

Ale Henryka męczyła praca administracyjna. Po dwóch latach obarczył nią mnie, przenosząc się na etat wykładowcy do UL w Rożnicy; potrzebował więcej czasu i swobody na pisanie, pochłonięty przygotowaniami do wydania dwu książek: poetyckich *Mitów powracających* (wyd. w 1976) i powieściowej *Mgły*, która absorbowała go szczególnie, a i mnie często wzywał do skupienia się przy stoliku nad niepokojącymi go wciąż jej fragmentami. Montował niewielką objętościowo całość z trudem, naklejając na maszynopis przerabiane zdania, mozolnie precyzowane. Rozumieliśmy się doskonale, mając wrażliwość na słowo, wycucie literackiej frazy pojemnej znaczeniowo i jednocześnie zwięzłej w językowej formie.

Jednocześnie bardzo żywo uczestniczyliśmy w kielecko-radomskim życiu literackim (Radomskich Wiosnach Poetyckich), współpracując w Kolegium Literackiej Biblioteki „Przemian”, której Henryk przewodził (wyszły m.in. debiutanckie tomiki wierszy – zdobione grafiką i rysunkami – Ryszarda Zamojskiego, Bogdana Betza, Józefa Andrzeja Grochowiny), wspomagając młodszych w cyklicznym konkursie „O Świętokrzyską Lirę Poezji”, w organizacji comiesięcznych Kieleckich Spotkań Poetyckich, we współdziałaniu klubów literackich: kieleckiego, radomskiego, sandomierskiego. Dzięki Henrykowi i Ryszardowi Miernikowi oraz zaangażowaniu Adama Ochwanowskiego wyszły (1974–1975) pierwsze tomiki z serii „Bazar” (*Bazar poetycki* i *Bazar 2*), kontynuowanej przeze mnie w formie obszerniejszych przeglądów twórczości do edycji 7. przy wsparciu w opracowaniu niektórych ze strony Stanisława Rogali, Teresy Opoki, Krystyny Cel w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Ważne, że rozwinął się i zorganizował ruch wydawniczy, w czym Henryk się wielce zasłużył, redagując jako sekretarz Wojewódzkiej Rady Wydawniczej w WDK almanachową serię *Zeszytów kieleckich*, następnie współredagując w Ośrodku Kultury Literackiej, kierowanym przez Stanisława Rogalę, serię *Słowo*, a potem pod patronatem Wydawnictwa Łódzkiego, gdy zawiązał się w Kielcach jego Oddział, *Bibliotekę Świętokrzyską*. O kieleckim środowisku zaczęto pisać w prasie ogólnopolskiej.

Recenzowałem *Pieśni wyśpiewane* Henryka w „Poezji”, wyróżniając tomik na tle innych.

Ceniłem jego lingwistyczny styl, wyzyskujący co najlepsze ze wzorca Mirona Białoszewskiego (interesował się tym poetą, pisał o jego twórczości pracę magisterską w krakowskiej WSP). Ceniliśmy obaj Przybosię i Grochowiaka (Henryk uwielbiał jego erotyki). Trzeci tomik poezji, *Mity powracające*, sumował te lingwistyczne doświadczenia. W szkicu przekrojowym o twórczości Henryka (zamieszczonym w 2. tomie z serii *Pisarze regionu świętokrzyskiego* pod red. prof. Jana Paćławskiego) pisałem, że podmiot wierszy, czujny obserwator i uczestnik zdarzeń, przemienia się tam ze sceptyka w ironistę odkłamującego i obnażającego pozory rzeczywistości. Miasto zostaje nazwane drwiąco „ściekiem”, a następnie „burdelem”. Aż „trudno uwierzyć [czytamy w wierszu *sąsiedztwo nadziei poezji i śmierci*] w ten gmach kopulujących się pięter / w tę gigantyczną kopułę która / fermentuje i cuchnie”. Trzeba być przygotowanym i na tę ostateczność, że „miasto / zasypie nas na pył / miasto / rozjeździ nas na asfalt” (z w. *przygotuj się raczej*). Ironia i drwina (jeśli pominąć to, co zostało powiedziane bez obłonek, wprost) są jedynie możliwą samoobroną i formą „agresji” wypływającą z bezradności. Oskarżycielski antyurbanizm ma swe źródła w uświadomieniu cywilizacyjnej degeneracji. Ale i czysto emocjonalne. Bliższa jest sercu poety wieś, z której wyszedł i w której – o czym ciągle pamięta – czuł się bardziej swojsko, swobodnie, bezpiecznie (por. *wracamy na wieś* w *Pieśniach wyśpiewanych*). Ale i ta wyidealizowana z obrazów dzieciństwa wieś w miarę oddalenia, jakie nastąpiło w rezultacie wyjazdu dla osobistego kulturowego awansu, traci swą moc wybawicielską. Kuracja z „wibracji natarczywych bólów głowy” wśród łąk i pól, w kręgu rodzinnego domu musi być nagle przerwana: „[...] mój oddech / na wsi staje się niemożliwy [...] odjadę / nie stać mnie na pozostanie na wsi / staje się dla mnie ostrzeżeniem pomnożeniem / moich wibracji / przeciw nadziejom / przeciw mnie”. Nie ma nigdzie ostoi, trwałego, pewnego oparcia. Nie ma, gdyż rzeczywistość uległa rozbiciu, rozdarciu, dezintegracji wymykającej się racjonalnemu uzasadnieniu, wbrew najbardziej elementarnej, zdroworozsądkowej logice. W ślad za tym uległy rozbiciu, skomplikowaniu wszelkie międzyludzkie relacje. Runął w gruzy świat wypracowywanych żmudnie przez wieki wartości ideowych, etycznych, estetycznych. Chaos w sferze deklaracji,

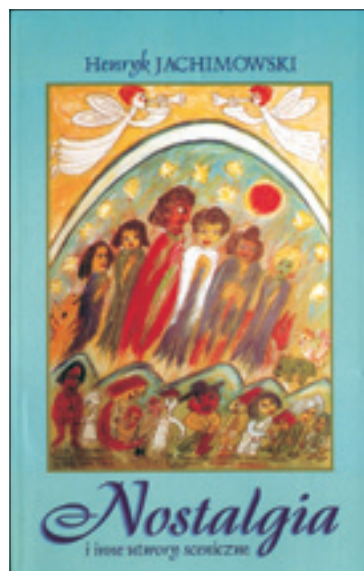
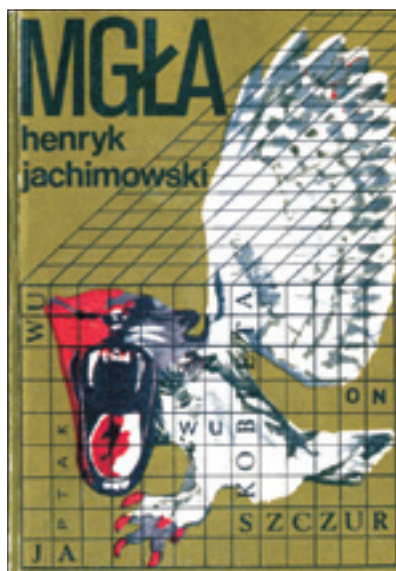
rzeczywistych przekonań i konkretnych działań spowodował drastyczne przemieszanie się nadziei ze zwątpieniem, dobra ze złem, piękna z ohydą. Mówi o tym Henryk w większości swych utworów. Sceptycyzm, niepewność to główne elementy jego poetyckiego światopoglądu. „Nie wiem – wyznaje w *idę po dnje rzeki* – co to jest zło dobro / nie odróżniam rzeczy od rzeczy nie wiem / *who is who*”. Możliwy do przyjęcia jest więc tylko relatywizm – i to założenie autor *Pieśni wyśpiewanych* oraz *Mitów powracających* przyjmuje za podstawową wykładnię swego literackiego *credo*.

Na przykładzie tomików *Idę po dnje rzeki* i *Pieśni wyśpiewanych* można domniemywać przeświadczenie, iż słowa (wieloznaczne) kryją w sobie fałsz, zwodzą. Są nie w pełni użyteczne jak kaktusy. Nie przylegają do rzeczy, uczuć, myśli. Poeta współczesny zatem odrzuca naiwny sentymentalizm, rezygnuje z bezsensownego opisu tzw. piękna krajobrazu, nazywania-powielania emocji będących wyrazem powszechnego odczuwania. Rzeczywistość i literatura obrastają w mitologię za sprawą „słów dojrzałych i wypielegnowanych / jak kwiaty”, ginie zaś bezpowrotnie pod warstwą „zapomnianych i umarłych”. Poeta potrzebuje tych „ani niewypielegnowanych / ani nieumarłych” (*słowa z Pieśni wyśpiewanych*). Akcentowana przez Henryka opozycja między poetami współczesnymi a dawnymi wynika więc także ze zmiany stosunku do słowa. Oto wiarę w jego magiczno-symboliczną nośność (integrującą i kreującą) zastąpiła nieufność (dezintegrująca, ograniczająca). Wskutek nadużycia zostało ono spostponowane; może być ledwie niepewnym, kalekim środkiem osobistej, indywidualnej ekspresji. Nawet w erotykach miłość jest jednym z tych powracających mitów; jest bardziej tradycyjną formułą niż przeżyciem. Przy konfrontacji ciało i słowo tu jednakowo „wprowadzają w błąd” (z *Lilą*). Mnożą się wątpliwości: „powiedz co do mnie czujesz / wątpię co czuję” (z *Rózią w łóżku*), nieporozumienia, a „im więcej słów tym więcej nieporozumień / tym więcej zła” (*nieporozumienia ze słów*) – ta ostatnia puenta jest w refleksjach o poezji Henryka często przypominana jako postulat oszczędności słowa.

*Notabene*, nawiązywanie Henryka do „turpizmu” Grochowiaka (uwydatnienie somatycznych, „brzydkich” stron miłości), szczególnie w wierszach o wyrównanym metrum (jak *sonet*



Książki Henryka Jachimowskiego



do *Lili*, *spojrzenie turpisty Ilu*, *nasza miłość*), było zabiegiem świadomym, celowym, dla pokazania zręcznej przewrotności poetyckiego estetyzowania, spod którego wyziera naga, surowa prawda.

A wracając do *Mgły* – jeszcze bardziej oszczędnej w słowach niż przypomniane tu nie bez powodu wiersze, bez których jako ważnej nauki zwięzłości nie mogłaby w tak zdyscyplinowanej formie powstać – zauważmy, iż występujące w niej postaci: kukły-rola (Ja, Wu, Szczur, Ptak i Kretyn), zamieniające się rolami, mimo nieodstępnej współobecności, są sobie nawzajem obce. Wcielone w nie kulturowo-cywilizacyjne archetypy, a zwłaszcza władcy oraz wyzwoliciela-zbawcy, podlegają zwyrodnieniu, przegradzają się w ślepe namiętności straceńczych dążeń. Następuje samozaprzeczenie wartości w kaźni przypominającej obóz koncentracyjny, więzienie, struktury absolutystyczne, faszystowskie, totalitarne. Język wypowiedzi „bohaterów”, zamieniających się w kolejnych epizodach rolami, jest oszczędny, wyzbyty ozdobników, stylizowany archaicznie dla podkreślenia „odwiecznej” stereotypowości postaw. W mrocznym świetle oskarżycielskiej groteski stoją człowiecze zapędy i słabości. Z arsenału zdobyczy dufnej ludzkości nie pozostaje nic, skoro jednakowo upodlają się odwaga jak tchórzostwo, miłość jak nienawiść, praca jak pasożytnicze zawiadywanie. *Mgła* pokazuje rezultat ewolucji, jaka dokonała się w prozie Henryka, w której stopniowo fabuła ustępuje obrazom, a następnie „ascetycznym” epizodycznym sytuacjom, gdzie narracja coraz bardziej się obiektywizuje: od monologu wewnętrznego, poprzez mowę pozornie zależną, do „didaskalijno”-dialogowej relacji. Zanikają atrybuty prozatorskiej literackości na rzecz formy dramatycznej. Nic więc dziwnego, że Krzysztof Jasiński z krakowskiego Teatru STU zdecydował się na inscenizację *Mgły*, adaptując ją i reżyserując. Jechałem na prapremierę z niepokojem, czy tę trudną adaptację (w atmosferze stanu wojennego) znanego mi bardzo dobrze utworu – nie tylko z lektury, ale i wielu rozmów z Autorem przy stoliku – będę mógł zaakceptować. Nie zawiodłem się, wywarła na mnie duże wrażenie. Zadbalem o to, by w drugim, wydanym w naszej Oficynie „STON 2”, tomie utworów scenicznych *Nostalgia* (19897) w specjalnym suplemencie utrwalić wypowiedziami krytyków znaczenie inscenizacji i sukces Henryka.

Pokazałem tę ewolucję – posiłkując się fragmentami mojego dawnego szkicu o twórczości Henryka – by unaocznić nadzwyczajną konsekwencję w Jego artystycznych dążeniach, której dotrzymanie wymagało dużej koncentracji i sprzyjających skupieniu warunków. Na szczęście jego prace zawodowe mieściły się w polu literatury i teatru. To, co musiał robić z zawodowego obowiązku, nie przeszkadzało mu w realizacji planów artystycznych. Po wspomnianych już przeze mnie miejscach zatrudnienia, był kierownikiem Zespołu Redakcyjno-Wydawniczego przy Ośrodku Kultury Literackiej, kierownikiem Redakcji Wydawnictwa Łódzkiego w Kielcach. Wiele pomógł, gdy powstawał w roku 1980 Ośrodek Kultury Literackiej (którym kilka lat pracowałem) i gdy zakładaliśmy w lutym 1984 r. Kielecki Oddział ZLP. W latach 1983–1986 organizował autorskie Studio Teatralne „Teatr Kobiet”, które wznowiło działalność w 1992. Od 1993 prowadził w Kieleckim Centrum Kultury Scenę Autorską, współpracując blisko z kompozytorami Markiem Terczem, Janem Jarczykiem, Januszem Grzywaczem, Pawłem Łukowcem, Krzesimirem Dębskim.

Dramaturgia i działalność sceniczna to odrębny rozdział w twórczości i życiu Henryka, przebogaty w zróżnicowaniu form i utrwalony (nie tylko w pamięci) inspirującymi do refleksji spektaklami aktorskimi i muzyczno-wokalnymi. W poematach pieśniowych Henryk w zdecydowanej postawie kierował się ku kreatywnej obronie uniwersalnych wartości w rozdzieranym sprzecznościami świecie, ku ufności, wierze i nadziei. Czasami radził się mnie, ale raczej co do tekstów, ich opracowania do publikacji (m.in. w naszym kwartalniku), w czym doradczynią też bywała żona Elżbieta. Obydwaj wraz ze Szczęsnym Wrońskim mieliśmy wspomnieniowy sentyment dla Teatru Jerzego Grotowskiego. Henryk tworzył spektakle nowatorskie i zdobył sobie dla nich wdzięczną publiczność.

Zapisał się w moim sercu (w naszych sercach – pisarzy świętokrzyskich) jako wspianały twórca o niezwykłej intuicji i wyobraźni, także jako ktoś bardzo bliski, nieodzowny – najprawdziwszy przyjaciel.

Stanisław Nyczaj



## W DRODZE

### 1.

#### Czy odchodzimy stąd naprawdę?

*„Skąd przychodzimy? Dokąd idziemy?  
Z jakiego powodu jesteśmy na Ziemi  
Możliwe że mamy do spełnienia zadanie  
O którym nic nie wiemy”  
(Pieśń o Ziemi – Inwokacja)*

– Czy odchodzimy stąd naprawdę? – to pytanie opętało mnie bez reszty, kiedy rozłączyłem telefon i w uszach wibrowała mi niewiarygodna informacja, że mój serdeczny przyjaciel, Henryk, jest w bardzo ciężkim stanie na oddziale reanimacyjnym Szpitala na Czarnowie. Głos Eli, żony Henryka, powtarzał w mojej głowie jedno i to samo: „nieprzytomny, w śpiączce, stan bardzo ciężki niestabilny”... Trudno w to uwierzyć, bo jeszcze w sobotę, 25 października, spotkaliśmy się na prapremierze tak długo wyczekiwanego oratorium poświęconego Matce Bożej Ostrobramskiej ze Skarżyska. Gdy wybrzmiały ostatnie takty, po bisach, Henryk był bardzo szczęśliwy. Chyba nigdy w czasie naszej 33-letniej, braterskiej znajomości nie widziałem go tak rozpromienionego. Gratulowałem jemu, kompozytorowi Pawłowi Łukowcowi i wykonawcom mówiąc, że to, co się wydarzyło, jest prawdziwym cudem, bo poezja i muzyka połączyła nas i sprawiła, że staliśmy się sobie bardziej bliscy.

Obserwowałem ludzi, którzy z sympatią patrzyli na siebie i nie kwapili się do wyjścia.

We wtorek wieczorem pod nasz dom na Mąchockiej niespodziewanie podjechał znajomy szafirowy „Garbus” i jak wielokrotnie to się zdarzało, wysiedli z niego: Ela i Henryk. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że tym razem przyjechali bez uprzedzenia. Po prostu weszli na schody, gdzie jak zwykle przywitała ich ruchliwa jak żywe, choć rude srebro, nasza bokserka Fiona, ocierając się o ich nogi i domagając się pieszczoty.

Jak zwykle, przy kawie i ciastkach przesiedzieliśmy parę godzin i rozmawialiśmy, rozmawiali, rozmawiali. Tyle było jeszcze spraw do omówienia, tych drobnych, życiowych i tych

artystycznych. I tym razem Henryk powtórzył swoje credo, że sztuka jest bardzo ważna, ale ważniejsza jest przyjaźń, bo ona buduje sens... Uścisnęliśmy się jak zwykle na pożegnanie i... w czwartek rano ten telefon: „Henryk w środę wieczorem wyszedł z łazienki, upadł, cztery defibrylacje, adrenalina, zabrano go pogotowie...”.

17 dni niepewności, lęku i nadziei. Kilka razy wydawało się, że wraca mu świadomość, że jest jakaś szansa... Mówiliśmy, że bardzo go kochamy, że czekamy na niego, że czeka na niego tylu przyjaciół, że tak wiele jest jeszcze do zrobienia... Jeszcze w piątek trzymałem go za rękę i patrzyłem w jego w półotwarte oczy, i bardzo chciałem wierzyć, że znowu spędzimy razem Sylwestra. Powiedziałem mu o tym, chyba spojrzął na mnie...

W sobotę w południe telefon. Głuchy głos Eli – „Henryk odszedł...”.

...Zawalił się świat...

– Gdzie odszedł? – zapytałem sam siebie. – Czy można tak daleko odejść, żeby już nie wrócić?

– Czy możliwy jest świat, Kielce, bez Henryka Jachimowskiego, człowieka tak niezwykle ciepłego, życzliwego ludziom, będącego dla wielu ostoją. Przez 33 lata wspieraliśmy się nawzajem, doradzaliśmy sobie w pisaniu i gdziekolwiek bym nie spojrzął, tam widzę jego pogodną twarz i niepozorną, nieco przygarbioną sylwetkę, jakby nieustannie tropił coś przed sobą – to wpatrującego się z zadumą w ptaki odlatujące na zimę. Byliśmy razem w tylu miejscach; nawet na Pilsku, górze mojego dzieciństwa, sunęliśmy obok siebie na nartach i zima zamieniała się w wiosnę, potem w lato... Henryk, Ela, Basia i ja w wymarzonej Marzyszu – zbliżała się jesień – listopad tuż, tuż...

Stasiu Nyczaj poprosił mnie o tekst o oratorium i o naszym Henryku... Pisałem go, gdy on spał w swoim kosmicznym łożu na OIOM-ie i śnił „swój sen o wolności” – podłączony do aparatury, zasilany kroplówkami, oddychał równo...

**15 listopada, godzina 10.55!**

Jestem przekonany, że Henryk nie odszedł, bo nie odchodzi się z miejsca swojego przeznaczenia.



czenia – naznaczonego własną miłością i pasją sprzyjania ludziom.

Wciąż słyszę jego słowa: „Jesteś dzieckiem świata... Nie czyń nic przeciw miłości”...

I jest jeszcze tak wiele słów przez niego wypowiedzianych i zapisanych. Tyle obrazów, myśli, intuicji, ważnych i budujących, skłaniających do refleksji i do świętego sprzeciwu wobec zła, które wciąż dzieli ludzi. I tutaj potrzebny nam jest Henryk, jego delikatnie upominające słowo, rozbijający uśmiech i ciepły uścisk, klepnięcie po ramieniu dla dodania otuchy. Potrzebne nam są jego mądre i czułe teksty, i nadzieja, że jest jeszcze czas.

## 2.

### Delikatność, mądrość, miłość

Twórcę i jego dzieło klasyfikuje się na wiele sposobów. Podstawą jednego z nich jest stosunek do świata i tworzywa artystycznego. Stosując to kryterium można mówić o oryginalności i własnym języku, który buduje perspektywę nowej rzeczywistości, kreowanej przez autora lub o twórczej kontynuacji dzieła poprzednika.

O Henryku Jachimowskim pisały w tonie entuzjastycznym tak wybitne osobistości literatury, jak Jarosław Iwaszkiewicz czy Henryk Berezka. Natomiast Tadeusz Nyczek nazywa teatr Jachimowskiego „Theatrum Mundi”, a jedną z najdziwniejszych jego książek, *Mgłę*, określa tak: „jeśli da się wpisać tę maleńką książeczkę w jakąś tradycję literacką, winna znaleźć miejsce w ciągu, któremu ojcuje pisarstwo Kafki, Brocha, Musila, Doderera, Marqueza”. Trudno o większą nobilitację.

Henryk Jachimowski jest twórcą niezwykle oryginalnym i odrębnym, który ma świadomość niepowtarzalności ludzkiego istnienia, postrzegania i diagnozowania świata. Jest właścicielem domu własnej literatury, której dopracował się przez lata. Zyskał też świadomość „niemocy” utworu literackiego, dlatego zafascynowany siłą żywego słowa, z początkiem lat osiemdziesiątych, zwrócił się w kierunku teatru i muzyki, której potrzebował jako niezwykle skutecznego medium katalizującego odbiór słowa. Jego dramaty *Mgła* (adaptacja powieści pod tym samym tytułem, 1982) i *Makijaż* (1985) prezentowane były w Teatrze Stu, w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego, z muzyką Janusza Grzywacza.

Inny utwór, *Ligę Kobiet* (w tłumaczeniu Elżbiety Jachimowskiej, żony autora, pisarki i tłumaczki), zawiozłem do Londynu i zaproponowałem znanemu zespołowi z alternatywnego nurtu fringe. Podjęliśmy wspólną pracę z liderem zespołu, Samem Dowlingiem i międzynarodowym zespołem aktorskim. Premiera sztuki, z angielskim tytułem *The Females*, odbyła się w styczniu 1992 w siedzibie The Tabard Theatre w Londynie. W tym przypadku naturalny rytm poetyckiej wypowiedzi i zrytmizowane niemal w sposób muzyczny działania sceniczne współtworzyły transową organikę i poetykę spektaklu, co przez angielską, „chłodną” publiczność odebrane zostało znakomicie i skwitowane entuzjastycznymi recenzjami w pismach: *Time out*, *What`on* i *The Guardian*. Przytoczę tylko tytuł jednego z artykułów: „Szaleńczy wieczór ruchu, muzyki i magii” – tak określił spektakl londyński tygodnik *What`s*.

Stąd wiodła prosta droga zwrócenia się w kierunku formy z pogranicza teatru i muzyki, i następnym ważnym dziełem Jachimowskiego był spektakl *Image* zrealizowany na Scenie Autorskiej STUDIO, w autorskiej reżyserii, z muzyką Jana Jarczyka (prapremiera: 5 lutego 1994).

Scena Autorska, zainicjowana przez niego przy Kieleckim Centrum Kultury w roku 1992, była jego ukochanym dzieckiem; tak ją rekomendował: „Nic tak nie odnawia sztuki jak wyodrębnianie się i ODMIENNOŚĆ. Poszukuje tego w teatrze także widz. (...) Idea Sceny Autorskiej związana jest z trwającą nieprzerwanie potrzebą dostrzegania tego, co w ludzkim rozumieniu WIECZNE i zachodzących nieprzerwanie wokoło zmian – w imieniu dzieła dopełniającego wszystko to, co już kiedykolwiek powiedziano – równocześnie jakby newralgicznie uczulonego na prawdę i współczesność”.

Potem zajaśniała nam i poruszyła serca *Pieśń wigilijna*, z niezwykle sugestywną, transowo pulsującą, pobrzmiwającą rytualną obsesyjnością muzyką Marka Tercza. Prapremiera tego unikalnego utworu miała miejsce 23 grudnia 1994 roku, również w ramach Sceny Autorskiej STUDIO. Przedstawienie promowane przez moją Agencję Promocji Artystycznej „Pro Art”, prezentowane wielokrotnie, m.in. w Teatrze STU, w Teatrze Bagatela i na scenie Katolickiego Centrum Kultury w Krakowie – do dzisiaj pozostało w pamięci widzów jako spektakl budzący

dobrze, wzniosłe uczucia i sprzeciw wobec okrutnego świata, tyranizującego wolność jednostek i narodów.

W ramach Sceny Autorskiej, niezwykle twórczy i dynamiczny tandem: Jachimowski / Tercz zrealizował cykl form teatralno-oratoryjnych takich jak: *Pieśń o Miłości*, *Pieśń o Wolności*, *Pieśń o Ziemi* oraz wiele okazjonalnych koncertów, wigilii i innych wydarzeń artystycznych, które zawsze gromadziły nadkomplety na widowni – wyzwały serdeczny i spontaniczny odbiór. Henryk Jachimowski jako autor tekstów był też współtwórcą sukcesu Justyny Łysak, która zdobyła wiele prestiżowych nagród, a w III Edycji Festiwalu Twórczości KOROWÓD została podwójną laureatką: za wykonanie i za piosenkę *Moje życie jest moje*. Po tych wydarzeniach zostały zapisy filmowe, dźwiękowe, płyty i teledyski dostępne na youtube oraz w pamięci wykonawców i widzów.

Henryk Jachimowski współpracował również z Kieleckim Teatrem Tańca, pisząc libretta do znaczących spektakli: *Pasja* (2006 z muzyką Pawła Łukowca) i *Zdarzyło się w Jeruzalem* (2008 z muzyką Krzesimira Dębskiego).

Począwszy od *Pieśni wigilijnej*, w utworach Jachimowskiego pojawia się odniesienie do nieogarnionej tajemnicy, do „miłości świętej, niepojętej”, jaką jest Bóg i Matka Boża, którą traktował zawsze jako matkę najczulszą, najbliższą – prowadzącą za rękę do dziecięcej wiary, ufności i nadziei.

W roku 2012 powstał poemat o Karczówce, *Zapisać w pamięć*, dotychczas niezrealizowany, złożony z dwunastu pieśni – obrazów, z których przebija głęboko ludzkie, franciszkańskie brzmienie i wyczuwalna bliskość świętości: *Modli się po swojemu modliszka / Cisza do wiatru do ciszy wiatr / W kaplicy łąki ptasi raj / To świata kościół / W kościele tym Ty i ja / Tobie się zwierzam*. W innym miejscu tego utworu pojawia się przejmująca fraza, wyznanie poety: *Modlitwa moja / nie szuka Boga lecz go dotyka*. To skłania do wmyślenia się w istotę religijnego poznania jako ludzkiego, realnego doświadczenia.

Temat maryjny, w ostatnich latach życia, coraz częściej wypełniał myśli i serce Henryka Jachimowskiego w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. To było odwołanie do własnej matki, do wsi rodzinnej, rodowodu, którego się nie wstydził, lecz mówił o nim z dumą i prze-

konaniem, że dał mu wiarę w ludzi i miłość do wszystkich żywych istot. Toteż wiele satysfakcji przyniosła mu praca nad kolejnym wyzwaniem, jakim było oddanie poetyckiego hołdu Matce Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej. Długo nosił ją w sercu, rozmawiał z Nią – stawała się też często wiodącym tematem naszych rozmów.

Prawykonanie oratorium *Święta przy Tobie Chwila* miało miejsce w Skarżysku-Kamiennej, 25 października o godz. 19.00. Było ono artystycznym ukoronowaniem wielkiego wydarzenia dla regionu świętokrzyskiego: Kościół Matki Bożej Ostrobramskiej w Skarżysku-Kamiennej został podniesiony do godności bazyliki mniejszej. Było to ogromne przedsięwzięcie. Praca nad materiałem literackim i muzycznym trwała ponad trzy lata. Muzykę do czternastu pieśni Henryka Jachimowskiego skomponował Paweł Łukowiec. Do udziału w oratorium zaangażowani zostali soliści: Olga Szomańska (aktorka i wokalistka), Marzena Trzebińska (artystka śpiewaczka – sopran liryczny), Marcin Jajkiewicz (wokalista jazzowy) oraz Andrzej Gumiel (saksofonista, pedagog i aranżer). Towarzyszyły im połączone chóry: Fermata oraz chór Instytutu Edukacji Muzycznej UJK, które przygotowała Ewa Robak, a także Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Świętokrzyskiej pod dyrekcją Jacka Rogali.

Oratorium od pierwszych taktów ujęło zgromadzonych licznie słuchaczy i mimo podniosłego tematu, wolne było od patosu i koturnowości. Słowa i muzyka współbrzmiały ze sobą tworząc jednorodną całość. Odnosiło się wrażenie, że zespół jest jednym organizmem przekazującym nam własną prawdę o miłości, o bezgranicznym zaufaniu i oddaniu Naszej Matce – tej rodzonej i tej świętej: „Matko Wybrana Niepokalana co z Ostrej Bramy osłaniasz miasto / Zastoń nas przed złą przepaścią / Płaszczem Najświętszym zastoń” (*Pieśń 1*). Wyraźnie wyczuwa się w tekstach i interpretacji wykonawców zamyślenie nad naszą tradycją, potrzebę bliskości, czułości oraz wyzwolenia się z obojętnością samotności: „Przychodzę tu by nie być samotny / i Ty Matko, abyś nie była samotna” (*Pieśń 2*). Sprawia to wrażenie narastającej, skupionej modlitwy, która, poprzez rytm i litanijną powtarzalność wersów, przybiera formę medytacji – kulminuje w finale, by zjednoczyć nas i wyzwolić od lęku:

(...)  
Tyś łaski pełna  
Obleczona w słońce  
Ty zewsząd  
Ty nam z Ostrej Bramy  
Doradzasz iść spokojnie

Wiara moja naprzeciw zwątpienia  
Nadzieja – o nią Cię upraszam  
Czym życie bez wiary byłoby  
bez nadziei i bez miłości płaszczą

Obraz Twój święty objęty  
Wieńcem gwiazd dwunastu  
Wieńczy się nim nowa Europa  
W wieńcu tym gwiazd światło najczystsze  
W świetle tym gwiazda jedna: Chrystus

Na uwagę zasługuje też staranny dobór głosów wokalistów, to dyskretnych i delikatnych, to wzbierających na sile w błogosławionym *crescendo*, by sprzymierzyć się z potęgą chóru i uderzyć z ogromną mocą.

Dawno nie uczestniczyłem koncercie, który tworzyłby tak silnie harmonijny i emocjonalny zarazem przekaz. Oddanie wykonawców, ich wiara w słowo i siła muzyki sprawiły, że z minuty na minutę stawaliśmy się uczestnikami unikalnego wydarzenia – rodzenia się ludzkiej wspólnoty myśli i uczuć – pod kopułą skarżyskiego Sanktuarium...

*Szczęśny Wroński*

**HENRYK JACHIMOWSKI** (ur. 16 kwietnia 1938 w Rożnicy, zm. 15 listopada 2014 w Kielcach) – pisarz (poeta, prozaik, dramaturg), edytor i serdeczny opiekun młodych twórców.

Wydał m.in. książki: *Idę po dnie rzeki* (poezje, 1965), *Jaszczury* (opowiadania, 1966), *Skaza* (powieść, 1969), *Pieśni wyśpiewane* (poezje, 1970), *Mity powracające* (poezje, 1975), *Mgła* (powieść, 1976), *Dramaty* (1976), *Nostalgia* (utwory sceniczne, 1997), *Jesteś dzieckiem świata* (pieśni, 2006). Autor librett do oratoriów i spektakli tanecznych. Wystawiał swoje sztuki teatralne w kraju (Teatr STU i Teatr Bagatela w Krakowie) oraz za granicą (Londyn, Budapeszt). Uhonorowany znaczącymi nagrodami, m.in. Nagrodą Czerwonej Róży, Nagrodą o Laur Józefa Czechowicza, Nagrodą im. Stanisława Piętaka, regionalną Nagrodą im. Stanisława Staszica. Jest też laureatem Nagrody I Stopnia Miasta Kielce w dziedzinie twórczości artystycznej za rok 2006.



Od 1992 r. prowadził w Kieleckim Centrum Kultury Scenę Autorską, w programie której realizował idee Teatru Kobiet w takich spektaklach, jak: *Image*, *Pieśń wigilijna*, *Pieśń o miłości*, *Pieśń o wolności*, *Pieśń o Ziemi* oraz poprzez poetkę opowieść recytalu wyśpiewanego przez Justynę Łysak *Moje życie jest moje*. Realizacje te przedstawiane były wielokrotnie w Kielcach, w kościołach i teatrach na terenie kraju.

Współpracował z Kieleckim Teatrem Tańca, który według jego tekstów zrealizował spektakle taneczne: *Pasja* oraz *Zdarzyło się w Jerozolimie*.

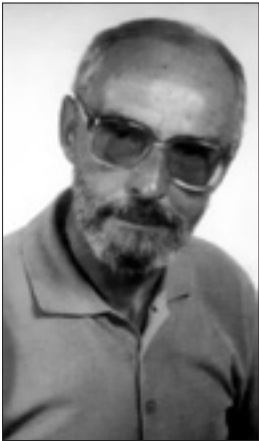
Muzykę do utworów teatralnych Henryka Jachimowskiego komponowali m.in. Jan Jarczyk, Janusz Grzywacz, Paweł Łukowicz, Krzesimir Dębski, a do utworów poetyckich i poematów pieśniowych – realizowanych w formie spektakli muzycznych – Marek Tercz.

Teksty Jachimowskiego są według krytyków: „nieprawdopodobnie prawdziwe, bliskie, nasze, aktualne, uniwersalne i teraźniejsze, proste i mądre, ważne, intelektualne i ujmująco emocjonalne, upominające z przejęciem, dające nadzieję i wiarę, wyróżniające ponad wszystko DELIKATNOŚĆ, MĄDROŚĆ, MIŁOŚĆ”.



## Jakżeż wiele pamiętam i noszę w sobie z naszych spotkań, gwałtownych sporów nieprzejednanych...

Wspomnienie o Zbysławie Śmigielkim (1942–2014)



Z głębokim smutkiem i żalem odebrałem wiadomość, że w nocy z 16/17 lutego zmarł w wieku 72 lat Zbysław Kazimierz Śmigielki – powieściopisarz, nowelista, felietonista, aforysta, uczestnik naszych plenerów w Sandomierzu i Staszowie, gorący dyskutant-polemista.

Urodził się 1 maja 1942 w Międzyzlesiu, będącym obecnie dzielnicą Konina, jako syn Władysława, który kształtował Jego osobowość (prawnika, ekonomisty rozmiłowanego też w filozofii, powstańca wielkopolskiego, oficera I Armii WP, po wojnie nauczyciela i organizatora oświaty w różnych miejscowościach, zm. w 1976) i Walerii z d. Pruskiej (zm. w 1974).

„Rodzina za pracą wędrowała po całym kraju – zwierzał się w rozmowie z Jakubem Lazarem (opublikowanej w „Głosie Zabrza” (1999, nr 8, s. 13). Mieszkałem już wszędzie, najdłużej chyba we Wrocławiu, Gdyni, Inowrocławiu i Opolu, gdzie studiowałem. [...] Niezwykle miło wspominam okres nauki w szkole podstawowej. Bardzo wysoko oceniam moich pedagogów z tamtych lat oraz przyjaciół z klasy. Uważam, że ta szkoła dała mi solidne podstawy wiedzy oraz zaszczepiła we mnie zamiłowanie do historii, języków i literatury. Do dziś pamiętam niektóre wspaniałe lekcje i nauczycieli. [...] Gdy dorosłem, krążyłem już nie tylko po Polsce. Większość czasu spędzałem na morzu [uprawiając czynnie żeglarstwo w okresie 1959–1969 – S.N.], jedynie zimowałem na lądzie. Gdy chwytały mrozy, to z najlepszym poznanym w rejsie kolegą szedłem do pracy. Byłem nawet konduktorem i sprzedawcą w kiosku. Robiłem cokolwiek, by starczyło na chleb, a wiosną sięgałem po żeglarski worek i płynąłem w świat. Do Zabrza też miałem przyjechać na krótko, bo na Śląsku studiowała poznana w Jastarni na kursie

żeglarskim dziewczyna, moja przyszła żona. Potem jeszcze pływałem, a jakże, ale wracałem w to samo miejsce. Pozostało mi jednak chyba zamiłowanie do zmian miejsca, pracy. Robiłem w Mostostalu, tam założyłem klub żeglarski i na jachcie «Mostal» wzięliśmy udział w operacji żagiel '74. Potem byłem w Mikulczycach w fabryce domów, następnie miałem własny sklepik. [...]

Pamiętam pewien rejs po Morzu Czarnym, kiedy to już na samym początku do domu uciekła mi cała załoga. Warunki były wtedy skrajnie ciężkie, wręcz straszne, więc nawet nie dziwiłem się, że chłopcy wsiedli w pociąg i wrócili do kraju. Fale o wysokości ponad 11 metrów przelewały się do portu przrz wszystkie zabezpieczenia i zalewały nasz 5-osobowy jacht. Myślałem, że aby doprowadzić jednostkę na czas w miejsce odprawy, będę musiał prosić o pomoc, ale udało mi się uczynić to samemu. [...] Mile wspominam wyjazd w 1968 roku z Opolą prosto na Karaiby. Tak wtedy zależało mi na ucieczce ze szkoły, że popłynąłem tam na drewnianym starym jachcie, z bawełnianymi żaglami. Nie było na nim nawet oświetlenia elektrycznego, bo akumulator siadł zaraz na początku. To były prymitywne warunki, ale, jak przyszedł sztorm, to obok nas położyły się dwa plastiki, a reszta uciekała do portów. Nam się nic nie stało. Można bowiem mieć powszechnie teraz stosowaną satelitarną nawigację, osprzęt z najlepszych materiałów, supertechniczne nowinki, luksusowe wyposażenie itd., a w pewnych przypadkach nic to nie pomoże. Jachty się zmieniają, morze ani trochę”.

W początkowych latach 60., kiedy poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy, próbował sił w literaturze, przechodząc od poezji do prozy i tworząc serię opowiadań żeglarskich. Debiutował w 1962 na antenie PR – doceniony przez wielce życzliwego młodym twórcom, nieodżałowanego redaktora rozgłośni i pisarza Kazimierza Kowalskiego – opowiadaniem *Sqd morski*, wcześniej nagrodzonym na ogólnopolskim konkursie literackim w Łodzi.

Opublikował następnie niebawem kilka opowiadań m.in. w „Odrze”, „Pomorzu”, „Literach”. Z Opola przeniósł się na Śląsk, gdzie urodziła się córka Anna. Mieszkał w Zabrze, a przez ostatnie kilka lat w Bytomiu.

Gdy odnalazłem Go w Zabrze, pracował jako taksówkarz, nie zrywając kontaktu z literaturą. Miał świeżo ukończoną obszerną powieść żeglarską *Kapitanowie*, którą wystąpił na ogólnopolski konkurs literacki im. Mikołaja Reja do Nagłowic, zdobywając w 1998 wyróżnienie. Wypowiedziałem się wówczas jako jeden z jurorów, że powieść ta napisana została z imponującym rozmachem, z oddechem prawdziwie morskim. Śledząc przebieg rejsów, czuje się i przeżywa pokonywaną przez jachty przestrzeń. Na ten rozmach pozwoliło autorowi bogate doświadczenie żeglarskie. Bez osobistego doznania niepowtarzalnej aury morskich przestworzy trudno byłoby wyzwolić z siebie taką „przestrzenną” ekspresję udzielającą się wyobraźni czytelnika. Ciąg fabularnych wydarzeń, choć przecież fikcyjnych, odbierany jest w każdym momencie lektury jako w pełni wiarygodny. Warte podkreślenia, że Autor zaskarbia sobie tę czytelniczą ufność, nie nadużywając swych specjalistycznych kompetencji, dozując nomenklaturę żeglarską z wyczuciem, tak by nie odstręczała hermetyzmem ani nadmierną drobiazgowością szczegółów. Powieść tchnie romantyką żeglarstwa z czasów jego świetności w latach 60. i 70., kiedy to właśnie toczy się akcja. Ta romantyka podnosi temperaturę emocji, tworząc pomost między światem przedstawionym a współczesnym odbiorcą, chowającym w sercu wiele sentymentu dla żeglowania po morzach.

Wspólnie z opolaninem Wiesławem Malickim (poetą i aforystą zaprzyjaźnionym też ze Zbysławem od lat) dokonaliśmy z konieczności „brutalnego” skrótu objętości tekstu z ok. 800 do 500 stron, by powieść można było wydać. Wyszła staraniem naszej (prowadzonej z żoną Ireną i synem Pawłem) Oficyny Wydawniczej „STON 2” w 1999 r.

Zaraz po wydaniu obwieściłem ten fakt poprzez zamieszczenie w jednej ze śląskich gazet rozmowy z Autorem (wycinek gdzieś się zapodział), którą z maszynopisu tu w skrócie odzwierciedlam:

– Cieszę się, że już z początkiem wiosny mogliśmy sprawić Czytelnikom nie lada prezent, wy-

dając jak raz powieść żeglarską. Frapująca fabuła z wieloma wątkami wciąga i zachęca miłośników sztuki żeglowania do śmiałych wypraw. Kiedyś do takich z nadejściem pory letniej sposobieś się sam, posiadając stopień kapitana jachtowego. Jak zdobyłeś te wysokie szlify?

– Zawsze chciałem oderwać się od ziemi, zbyt jest twarda. Odrywałem się na wodę i w powietrze. Gdy miałem 13 lat, zostałem żeglarzem, zdobyłem pierwszy patent sternika jachtowego III klasy, tak się wówczas ten stopień nazywał. Potem w Giżycku na „Szlaku Praojców” udało mi się zdobyć patent sternika II klasy. I to już było coś, był to bowiem stopień oficerski. No i od razu potem żeglarstwo z wariactwem młodzieńszka: rejsy do Rostocku, Karlskrony, Tallina, Leningradu, Oslo, Sztokholmu, Helsinek...

– Przeszedłszy kolejne kursy?

– Moim gniazdem jest Jastarnia. Tam byłem wiele razy kursantem, instruktorem, kierownikiem wyszkolenia. Po raz pierwszy w 1959 roku, kiedy oblałem egzamin na sternika II klasy. Ale tam było wówczas pruskie wojsko, a ja byłem dzieckiem. Nie dałem rady. Później tam jednak wróciłem, w 1962 roku, już po wojsku. W Jastarni otrzymałem patent instruktora i kapitana.

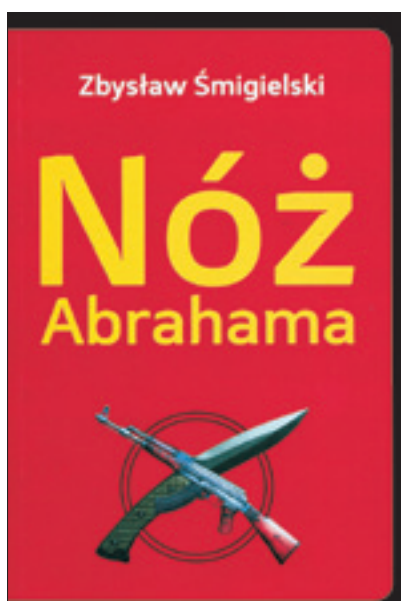
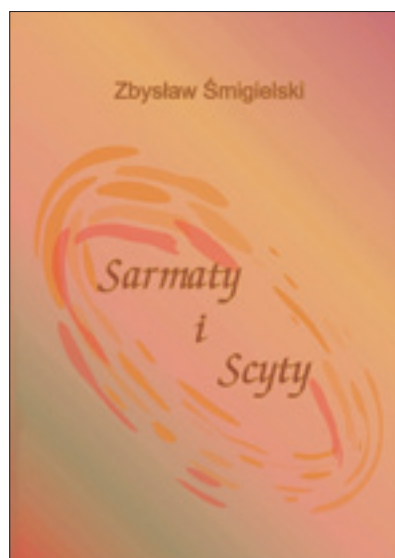
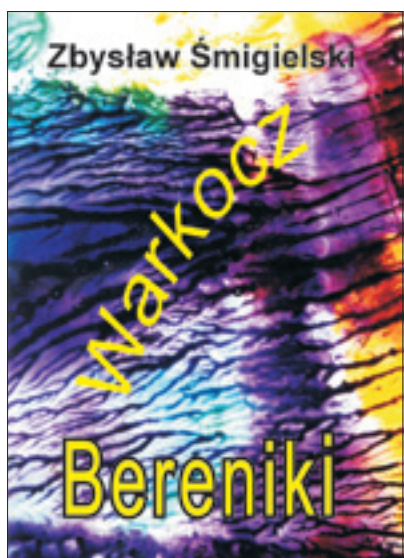
– *Kapitanowie* to powieść żeglarska w tym sensie, że bohaterami fikcyjnej akcji są kapitanowie i załogi jachtów przeżywający zarówno powszedni dzień żeglowania, jak i walkę ze sztormami w sposób dla czytelnika w pełni przekonujący. Bohaterowie ci zwyczajnie posługują się żeglarską terminologią (której zrozumienie ułatwia słowniczek), wtajemniczają niezorientowanego w arkana nawigacji, pokazują w bardzo ekspresyjnych obrazach trud ludzkiej walki z morskim żywiołem. Wszystko to przejmuję w trakcie lektury takim autentyzmem, jakbyś dzielił się swoimi własnymi doświadczeniami.

– To prawda, że dzielę się swoimi doświadczeniami, ale też podkreślam z ogromnym naciskiem, że mam wielu przyjaciół-żeglarzy i, oczywiście, uszy. To jest suma doświadczeń i przygód tych, którzy jednak dołożyli swoje części do fabuły, może tylko niezupełnie tak, jak to opisałem.

– Księga (bo tak trzeba ten spory tom nazwać!) ukazuje się jako pierwsza pozycja z bogatego pokłosia Rejowego konkursu. To coś znaczy.

– Muszę przyznać, że sam konkurs oraz jego wynik były dla mnie wielkim przeżyciem. Nieza-

Książki Zbysława Śmigiełskiego





leżnie od otrzymanego wyróżnienia spotkałem się z wysoką oceną swej pracy zarówno ze strony zasłużonych pisarzy, jak i – co może bardziej znaczące – ze strony młodzieży podczas spotkań autorskich. W gruncie rzeczy nie sądziłem, że książka na taką ocenę zasłuży.

– Przyznaję, mało dziś takich solidnych powieści, żeby można było naczytać się, przeżywając wykreowane sytuacje, tak pogłębione i rozwinięte, jak nieomal onegdaj w utworach Conrada i cenionego przez Ciebie Salińskiego. Dziękuję Ci za tę imponującą rozmachem i piękną księgę, którą – kto zacznie czytać – z pasją będzie chłonał do końca.

Moje gratulacje – z przyjacielskiego odruchu serca – nie były przecież li tylko kurtuazyjne ani przesadzone. Już za niespełna rok ta debiutancka książka zdobyła znaczący laur: główną nagrodę im. Leonida Teligi, przyznaną przez warszawski miesięcznik „Żagle”. Ten sukces uskrzydlił nas. Ruszyliśmy samochodem Zbycha z książką – zwracającą uwagę piękną okładką ze zdjęciem jachtu o zachodzie słońca – w Polskę do bibliotek i księgarni. Wysiłek opłacił się, zwrócił z nawiązką poniesione koszty (ta „nawiązka” była zasłużonym honorarium). Zbysław rozpoczął serię promocyjnych spotkań autorskich. Jako pasjonat żeglarstwa i wytrawny gawędziarz rozbudzał zainteresowanie.

Wkrótce (w 2000) z profitów od sprzedaży mogliśmy wydać jego kolejną powieść *Gry marcowe*, w której dotknął powikłanych dziejów naszej ojczyzny. Przed opublikowaniem powieści dobitnie w rozmowie ze wspomnianym wyżej Jakubem Lazarem: „Złość mnie ogarnia, gdy na przykład słucham niepopartych autentycznymi faktami opinii o roku 1968 w Polsce. Studiowałem wtedy w Opolu w Wyższej Szkole Pedagogicznej, osobiście znałem braci Kowalczyków i wielu innych ludzi biorących aktywny udział w tamtych wydarzeniach. Na wydanie czeka moja opowieść o nich i tym, co skłoniło ich do przeróżnych zachowań. Większość tego, co publicznie mówi się o tamtym czasie, to nieprawda. Ja chcę pokazać autentyczną atmosferę, wewnętrzne rozterki osób, które nie były po żadnej ze stron konfliktu”.

Longin Jan Okoń napisał w słowie wstępnym: „Nie jest to szeroka epopeja malująca wydarzenia z lat 1968-1969, lecz epizody, ale istotne, bo

wciąż głęboko nurtujące wszystkie środowiska i grupy społeczne. Utwór ukazuje spiskowy nurt podziemia, zmierzający do obalenia ustroju PRL i wybicia się na niepodległość”. Zdaniem Jana Z. Brudnickiego, to rzecz „o polityce, o mechanizmach władzy, walki o wpływy, o ludzi, o wielkie pieniądze” („IKAR” 2000, nr 11).

Mogłem ze spokojem o efekt wnioskować do Komisji Kwalifikacyjnej Zarządu Głównego ZLP o przyjęcie Zbycha w poczet członków Związku do Oddziału w Kielcach (z katowickim nie udało Mu się nawiązać dobrego kontaktu). Polubił nasze grono i zyskał jego uznanie, ze wspaniałomyślnym wybaczeniem dla nadmiernego nałogu palenia. Kaszał i chromał wskutek zwężenia żył w nogach, ale uparcie twierdził, że to nie od papierosów, a z powodu pyłów i dymu Śląska. Miał swoją życiową filozofię wytłumaczającą wszystko. Na wątpliwe argumenty odparowywałem aforyście aforyzmem, że człowiek na pewnym etapie już swoje wie i nikt mu nie będzie żadnej ciemnoty wciskał.

Minął ledwie rok i opublikowaliśmy kolejną powieść Zbysława *Stary człowiek nie może* (2001). „Autor p r z e k o r n i e usiłuje w tytule dowieść – przestrzega we wstępie czytelników wspomniany wyżej Kazimierz Kowalski – że jak człowiek jest stary [...], to już nie może. To jest pułapka i nie dajcie się złapać. To, co bohater przeżywa z młodziutką dziewczyną w domu koło lasu, no, no...! Tak na marginesie – są to jedne z najpiękniejszych stron o miłości, jakie spotkać można w literaturze. A więc stary ten człowiek niesłychanie dużo może. Tylko jaki on stary?!”.

W 2004 wydaliśmy z pomocą finansową Urzędu Miejskiego w Zabrze książkę pt. *Warkocz Bereniki*, powracającą do tematyki żeglarskiej. Nawiązującą jednak w sposób szczególny. Autor komentuje ten powrót następująco: „Przyjęte było dotąd fałszywe założenie, że całe życie żeglarza, warte opisanie, upływa na pokładzie. Nie było tak nawet wówczas gdy żeglarz był marynarzem, gdy morze w zupełności stanowiło o jego życiu. A teraz, kiedy żeglarz spędza na morzu tylko niewiele czasu, jest to podwójnie fałszywe. Lecz mimo odwrócenia proporcji, żeglarstwo pozostało czymś więcej niż sposobem na życie, sportem czy rozrywką. Żeglarstwo to charakter, pewien zespół cech, które nie zanikają także poza pokładem. Stąd mniej interesuje mnie żeglowanie, a więcej żeglarz-człowiek, szukają-

cy na morzu przede wszystkim tego, co da się przełożyć na jego zwyczajne, nieżeglarskie życie”.

W grudniu 2003 Zbysław otrzymuje nagrodę w kieleckim ogólnopolskim konkursie literackim im. Stefana Żeromskiego za powieść *Sarmaty i Scyty* o Służbach Specjalnych, wydaną dopiero z braku środków w 2007 w internetowym wydawnictwie „My Book”. Sprzedaż książek beletrystycznych gwałtownie spadała, więc nie bez trudu wydał w 2010 – pełną uroku w stylu narracji i opisów – powieść żeglarską *Kto się boi oceanu*. „Jacht wyprzedzał rozbuchane grzbiety fal – czytamy otwierając na chybił-trafił – ze zbytnią prędkością spadał z załamujących się urwistych stoków, na łeb w doliny. Kładł się tam zupełnie płasko, pogrzebany pod wściekłą kotłowaniną kipieli, w bulajach pojawiała się straszliwa czern śsącej otchłani. Nawet gdy był wyprostowany, nie odróżniałem pojedynczych fal od strony dziobu ani rufy. Wiedziałem, że strata masztów to kwestia czasu, jednej złośliwej fali. Może zrzucenie apsla złagodzi przechyty, pozwoli na to, by fale nas wyprzedzały. [...] Wszystko tonęło w bulgocącej szarości, wszystko było nieważne zaledwie przybliżone. Wskazania przyrządów, kompasu, rozsądku. Nie miałem wątpliwości, że cokolwiek zrobię, może być decydujące. Dla mnie i dla jachtu. Ale człowiek o tym decydującym nie wie na pewno. Czy to jest właśnie to, czy coś innego. We łbie huczało mi tak samo, jak na gołym pokładzie”.

Co do ostatniej spośród kilku gotowych do druku powieści, ukończonych w maju 2005 pt. *Nóż Abrahama*, przekonał Warszawską Firmę Wydawniczą s.c. Napisał ją eksperymentalnie zdaniami bez interpunkcji wewnątrz, jak np. to pod sam koniec: „Nie ma czym się przejmować pan Szpak oprócz tego że umarł nic mu się złego nie stało a na tym pięknym świecie wielu umarłych ludzi dużego spokoju zażywa tylko pozazdrościć”.

Na tę najgorszą wiadomość od córki Ani, że nie przetrzymał kolejnego wylewu (*notabene*, kilka lat temu, pochwycawszy w słuchawce słabnący od ataku głos Przyjaciela, udało mi się wyratować Go interwencją wezwanego w porę pogotowia) i rychło odbędzie się pogrzeb, zdążyłem już tylko przesłać list pożegnalny od nas wszystkich ze Związku, który został odczytany w Domu Pogrzebowym. Jakżeż wiele pamiętam i noszę w sobie z naszych spotkań, rozmów, gwałtownych sporów nieprzejednanych we

własnych racjach! Czy zdążę kiedyś choć cząstkę ich odtworzyć?

Zbysław pisał zajmująco, obrazowym stylem. Lubieć Jego prozę i aforystykę.

Z tą ostatnią wychylał się na staszowskich plenerach. Ich garść (myślał o wyborze książkowym) utrwalił w almanachu *Staszowskie lato literackie 2010–2011*, wydanym w roku 2012. Dla wykazania, że i w tym gatunku miał niemałe szanse, przytaczam tu kilka:

Najtrudniej przejrzeć na oczy przez zasłonę autorytetów.

\*

Chorych z urojenia jest obecnie mniej, aniżeli z urojenia zdrowych.

\*

Komputer – wynalazek sprowadzający człowieka do zera, najwyżej do jedynki.

\*

Nie ma na świecie takiego nieszczęścia, którego by kochająca żona nie potrafiła sprowadzić na męża.

\*

Cóż za ponizienie – widzieć, że gorsi są lepsi!

\*

Lewa ręka jest w lustrze ręką prawą. Głupia mina nie ulega zmianie.

\*

Życie człowieka z wiekiem nabiera wartości, lecz traci na cenie.

\*

Nie było zejścia z drzewa, po prostu złamała się gałąź.

\*

Ciasny umysł nie uwiera.

\*

Jeśli ktoś mówi, że wie, co robi – nie wie, co mówi.

\*

Dla kobiety przyjaźń – to zawsze za mało, miłość – najczęściej za dużo.

\*

Mając do wyboru dobre i złe wyjście, człowiek wybiera korzystne.

\*

Ostrzegając Ewę przed grzechem Bóg wykazał, że nie zna się na kobietach.

Głowa opadła Mu i ręka osunęła się, gdy siedział kolejną noc przy komputerze i szukał tych najtrafniejszych słów, określeń, metafor, puent; proza Jego była częstokroć w walorach stylu poetyckiego.

Ciężko pogodzić się, że już Go wśród nas nie ma...

Stanisław Nyczaj

Bohdan Gumowski

## Sprawa biskupa Kaczmarka

Lata powojenne, a zwłaszcza okres stalinowski od 1948 do 1954 roku, to czas niezwykłego nasilenia represji wobec wszystkich, którzy choćby w najmniejszym stopniu objawiali brak pokory politycznej. Na tym tle Kościół polski wyrastał na czołowego przeciwnika ówczesnej władzy, często w sposób otwarty krytykując jej poczynania. Represje i naciski doprowadziły jednak do podpisania w 1950 roku porozumienia z rządem, w którym Kościół zobowiązywał się do poszanowania prawa władzy państwowej, a rząd do utrzymania szkół, internatów i ochronek katolickich, KUL-u, oraz swobody funkcjonowania stowarzyszeń i prasy katolickiej.

Zdecydowanym przeciwnikiem podpisania porozumienia był biskup Czesław Kaczmarek – ordynariusz diecezji kieleckiej, sprzeciwiając się tym samym decyzji kardynała Stefana Wyszyńskiego. Szybko okazało się, że łamanie porozumienia przez stronę rządową stało się normą. Zamykano szkoły katolickie, likwidowano ochronki, „Caritas” zostało przejęte przez państwo, zlikwidowano wydawnictwo „Jedność”. W aresztach i więzieniach znalazło się niemal 1000 księży. Mimo szeroko zakrojonej akcji propagandowej mającej na celu zdyskredytowanie działalności kościoła przy jednoczesnym promowaniu księży „patriotów”, lojalnych wobec komunistów, nie udało się zmienić społecznego przekonania o prześladowaniu kościoła. Trzeba było więc wypracować nową strategię, która mogłaby to przekonanie zmienić. Po konsultacjach prowadzonych w Moskwie przez najwyższych urzędników rządowych na czele z Bolesławem Bierutem oraz ministrem Stanisławem Radkiewiczem i pułkownikiem Józefem Świątło, sporządzono długofalowy szczegółowy plan oraz postanowiono przeprowadzić pokazowy proces przestępczej grupy złożonej z księży. Niezbite dowody miały ostatecznie zburzyć zaufanie do kościoła. Celem ostatecznym miał być prymas Stefan Wyszyński.



Tymczasem wytypowano na kozła ofiarnego biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka. Kandydatura została pozytywnie zaopiniowana przez Moskwę i nie była przypadkowa. Czesław Kaczmarek przed wojną przebywał we Francji, podczas wojny w pierwszych miesiącach okupacji wydał listy pasterskie po pacyfikacjach będących represjami za działania Hubalczyków, w których apelował, by nie sprzeciwiać się rozporządzeniom okupanta, o ile nie godzą w sumienie katolika. Jednocześnie przypominał o najwyższej wartości, jaką jest ludzkie życie. Zarówno fakt pracy w państwie określanym mianem imperialistycznego, czyli we Francji, jak i nawoływanie do lojalności wobec hitlerowców, bo tak zinterpretowano zmanipulowane listy pasterskie, stały się punktami przyszłego oskarżenia. Kolejną sprawą, której nie darowano biskupowi, był raport na temat pogromu kieleckiego sporządzony przez biskupa dla ambasadora Stanów Zjednoczonych



Bliss Lane'a, do którego Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, mimo kilku rewizji w Kurii i Katedrze kieleckiej, nie dotarł. Znaczącym dowodem w sprawie miały być również bezpośrednie kontakty z ambasadorem Stanów Zjednoczonych, który dwukrotnie odwiedził Kielce. Także biskup był kilkakrotnie z rewizytą w ambasadzie, ponadto kontaktował się z przedstawicielami amerykańskich instytucji pomocowych oraz francuskimi duchownymi przekazującymi książki dla kieleckiego seminarium duchownego. Jeśli do tego dodać odważne wystąpienia w kieleckiej katedrze krytykujące władze, otrzymamy komplet zarzutów, jakie miały zostać wykorzystane do udowodnienia zdrady państwa polskiego.

Zarówno aresztowanie biskupa, jak i śledztwo zostały przygotowane niezwykle starannie. Nim jednak do tego doszło, należy wspomnieć o kilku faktach sugerujących pierwotnie inne plany rozwiązywania przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego problemów z kościołem. Rzeczą dotyczy roku 1948, kiedy to umiera po udanej operacji – w wyniku infekcji – prymas Polski kardynał August Hlond, a podczas powrotu z pogrzebu prymasa ginie w wypadku samochodowym przewidywany na jego następcę – biskup łomżyński Stanisław Kostka Łukomski. W tym kontekście wypadek samochodowy, jakiemu ulega biskup Czesław Kaczmarek w połowie 1950 roku, może sugerować próbę pozbycia się niewygodnego i niepokornego sekretarza episkopatu. Na szczęście poza urazem kolana biskup wyszedł z tego wypadku bez szwanku<sup>1)</sup>.

Po incydencie z wypadkiem samochodowym ruszają przygotowania do aresztowania. Postanowiono po konsultacjach z Moskwą wykorzystać doświadczenia sowieckiej bezpieki w prowadzeniu długotrwałych śledztw łamiących psychikę aresztowanych. 21 stycznia 1951 roku po wcześniejszym zaanonsowaniu, że w tym dniu odwiedzą biskupa „panowie z województwa”, w kurii pojawia się pułkownik Józef Światło wraz z ekipą. Od tej chwili biskup jest pozbawiony kontaktu z kimkolwiek zaufanym, nie pozwolono mu nawet pożegnać chorej

<sup>1)</sup> Informacja o wypadku samochodowym biskupa Kaczmarka pojawia się dwukrotnie: w badaniu przez lekarza w chwili przyjęcia po aresztowaniu do aresztu śledczego na Mokotowie oraz na łamach wydanej przez zdrajcę biskupa, a jednocześnie agenta UB ks. Leonarda Świderskiego książki *Widziały oczy moje*, który to książd przez wiele lat cieszył się zaufaniem biskupa.

matki. Zostaje aresztowany i przewieziony do Warszawy, a pomieszczenia kurii poddane rewizji, w wyniku której kilka skrzyń dokumentów również zabrano do Warszawy.

Od chwili aresztowania do procesu mija dwa i pół roku. W tym czasie toczy się śledztwo, podczas którego, jak pisze sam biskup: „Badano mnie [...] przez trzy tysiące godzin, dzień i noc, i doprowadzono do takiego stanu wyczerpania, że uczyniłem silne postanowienie, żeby się tylko Pana Boga nie wyprzeć, przyznałem się bowiem [...] do takich rzeczy, które nie miały miejsca w moim życiu”.

Do metod śledczych, stosowanych wobec biskupa zwłaszcza w ciągu pierwszego półtora roku pobytu w więzieniu, należały tzw. konwejer – trwające po kilkadziesiąt godzin (max. 40 godzin) bez przerwy przesłuchania bez prawa wyjścia do toalety, po których następował kwadrans przerwy na sen i ponowne wielogodzinne przesłuchanie. Jeśli dodać do tego farmaceutyki podawane w formie zastrzyków, leki psychotropowe powodujące osłabienie pracy mózgu i ośpienie, a także karę karceru oraz złe odżywianie powodujące osłabienie organizmu i podatność na choroby (m.in. skorbut – w czasie śledztwa biskupowi wypadło 19 zębów), czy wreszcie brak jakichkolwiek wieści o tym, co się dzieje poza murami więzienia – trudno się dziwić, że doprowadzono biskupa do stanu, w którym godził się z wszystkimi przedstawianymi mu zarzutami.

Na mniej więcej rok przed procesem, ze względu na bardzo zły stan zdrowia biskupa (określany jako przedagonalny) złagodzano metody stosowane w śledztwie, żądając, by Czesław Kaczmarek własnoręcznie opisał swą „działalność wywrotową i szpiegowską”. Tak, po korektach bezpieki, powstała mowa, w której biskup w wielogodzinnym wystąpieniu na sali sądowej dokonuje samooskarżenia. Jednocześnie przygotowywano mowę prokuratorską oraz wyrok sądu. Przed procesem biskupowi przydzielono obrońcę – Mieczysława Maślankę, (człowieka bezpieki), który poradził mu, by w celu uniknięcia kary śmierci przyznał się do wszystkiego.

Nie poruszyłem tu wątku pozostałych oskarżonych, w procesie bowiem akt oskarżenia obejmował „grupę przestępczą” w osobach ks. Jana Danilewicza, ks. Józefa Dąbrowskiego, ks.

Władysława Widłaka oraz siostry zakonnej Walerii Niklewskiej.

Sam proces został wyjątkowo silnie nagłośniony w środkach masowego przekazu. Polskie Radio retransmitowało proces, w kinach wyświetlano kronikę filmową z zapisem procesu. Wszystkie gazety w całej Polsce przynosiły obszernie relacje z procesu, przy czym język komentarzy był zbliżony do języka aktu oskarżenia oraz uzasadnienia wyroku:

*„Reakcyjna część kleru, związana ze wsteczną polityką Watykanu, wprzęgła się w rydwan obcych i wrogich narodowi polskiemu interesów. Ci zdrajcy narodu polskiego, posłuszne narzędzia Watykanu i imperializmu amerykańskiego, usiłują sprowadzić na Polskę pożogę nowej wojny i wyzyskać teren Polski jako teren agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, w oparciu o kierowany przez oskarżonego Kaczmarska ośrodek antypaństwowy i antyludowy uprawiający dywersję polityczną, wrogą propagandę aż do szpiegostwa włącznie. Reakcyjne ośrodki hierarchii kościelnej, wśród której poważną rolę odgrywał już wtedy oskarżony Kaczmarek, stanowiły w okresie przedwojennym poważne oparcie dla sanacyjnej faszystowskiej dyktatury spychającej Polskę w przepaść katastrofy wrześnieowej. Zgodnie z watykańską stawką na Hitlera, hierarchia kościelna w Polsce popierała prohitlerowską politykę sanacji, stanowiąc z nią jeden blok faszystowski, prohitlerowski, antydemokratyczny i antyrobotniczy, parły do spętania Polski do sojuszu z Hitlerem, do wtrącenia naszego narodu w krwawą awanturę przeciwko Związkowi Radzieckiemu. [...] Na terenie Polski, jako jeden z organizatorów antypaństwowego ośrodka usiłował przemocą obalić władzę robotniczo-chłopską i ludowo-demokratyczny ustrój Polski, czynił wysiłki w celu przywrócenia władzy obszarników i kapitalistów, prowadził akcję skierowaną przeciwko odbudowie kraju i planowej gospodarce, wiążąc się z najzaciętszymi wrogami ludu, jak Mikołajczyk, z tak zwanym emigracyjnym rządem londyńskim oraz wrogimi Polsce Ludowej zagranicznymi ośrodkami dywersyjno-szpiegowskimi, wykonując polecenia przedstawicieli tych ośrodków. [...]*

*W okresie od 1945 roku do 20 stycznia 1950 roku, działając na szkodę państwa polskiego, a w interesie imperializmu amerykańskiego i Watykanu, biorąc kurs na nową wojnę, organi-*

*zował i kierował akcją wywiadowczą na terenie Polski, a w szczególności gromadził wiadomości stanowiące tajemnicę państwową i wojskową, a następnie wiadomości te przekazywał byłemu ambasadorowi USA w Polsce – Arturowi Bliss Lane’owi, oraz agentom wywiadu amerykańskiego, byłym pracownikom placówek dyplomatycznych w Polsce, jak również do Watykanu.*

*W tym samym czasie i miejscu uprawiał wrogą propagandę wojenną. Będąc obywatelem Polski w związku z akcją dywersyjno-szpiegowską przyjmował od zagranicznych ośrodków dywersji i szpiegostwa pieniądze w walucie obcej, którymi następnie spekulował na tak zwanym czarnym rynku”.*

Treści te upowszechniano również na masówkach w zakładach pracy i PGR-ach. Zmasowana akcja propagandowa, jak i fakt wygłoszenia na procesie przez Czesława Kaczmarska samooskarżenia sprawiły, że część polskiego społeczeństwa była zdezorientowana i uwierzyła w zarzucane mu czyny.

Biskup Czesław Kaczmarek został skazany w pokazowym procesie na 12 lat więzienia, a pozostali „członkowie antypaństwowego i antyludowego ośrodka” – ks. Jan Danilewicz (skarbnik kurii kieleckiej) na 10 lat, ks. Józef Dąbrowski (kapelan biskupa) na 9 lat, ks. Władysław Widłak (prokurator Seminarium Duchownego w Kielcach) na 6 lat, siostra Waleria Niklewska ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek na 5 lat.

*W artykule zostały wykorzystane materiały z książek: ks. prof. Jana Śledzianowskiego „Ksiądz Czesław Kaczmarek biskup kielecki 1895-1963”; dr. Tomasza Domańskiego „Wokół procesu biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarska...” oraz z akt śledczych udostępnionych przez Instytut Pamięci Narodowej. Autor korzystając z tych źródeł stworzył radiowy dramat, którego premiera miała miejsce w teatrze im Stefana Żeromskiego w Kielcach 17 lutego 2014 roku. Towarzyszył jej pokaz multimedialny oraz ekspozycja w postaci przedmiotów i szat biskupa pochodzących z prywatnej kolekcji. O potrzebie tego typu propagowania skomplikowanych dziejów polskiego kościoła w Polskim Radiu mówili ze sceny teatru po uroczystej premierze między innymi ks. prof. Jan Śledzianowski oraz minister Krzysztof Łuft z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.*

## Anatomia śledztwa

Wrzesień 1950 roku

*Warkot samochodu słyszany z wnętrza pojazdu*

**LEON** – Nie lubię prowadzić po zmroku, ale już dojeżdżamy, proszę księdza biskupa. Za pięć minut będziemy na miejscu.

**BISKUP** – Dobrze, Leonie, zaparkujesz przed plebanią. Zaraz będziemy wracać. Uważaj!

**LEON** – Co jest...?!

*(pisk hamulców, uderzenie, warkot oddalającej się ciężarówki, syk wody z chłodnicy)*

**BISKUP** – Ta ciężarówka... tak nagle się pojawiła. Nie wiadomo skąd.

**LEON** – Wyjechał z bocznej drogi tuż przed nami.

**BISKUP** – Bardzo boli mnie kolano, głową też uderzyłem.

**LEON** – Chłodnica rozbita, nie pojedziemy. Zorganizuję transport, dam znać na plebanię. Ksiądz proboszcz coś załatwi.

*Muzyka*

20 października 1950 roku

*Gabinet Ministra Bezpieczeństwa Publicznego Stanisława Radkiewicza. Melduje płk. Józef Światło*

**Światło** – Rozmawiałem telefonicznie z towarzyszem Berią. Eliminowanie kolejnych dostojników kościelnych o wrogich nam poglądach niewiele daje, bowiem na ich miejsce przychodzą nowi. Co prawda nie ma już Hlonda, uczyliśmy też skutecznie podobnego radykała – Łukomskiego, biskupa który miał Hlonda zastąpić, jednak Wyszyński staje okoniem.

**Minister** – Mamy w tej chwili w aresztach siedmiuset trzydziestu sześciu księży, wobec których toczą się śledztwa. Z Moskwy przywiozłem ważne ustalenia dotyczące typowania osób przeznaczonych do poświęcenia im szczególnej uwagi. Konkretnie – mamy potwierdzenie dla wytypowanego obiektu.

**Światło** – Rozumiem, że nasza propozycja w osobie Kaczmarka została zaakceptowana. To biskup, który znalazł się podobnie jak Hlond i Łukomski w kręgu naszych oddziaływań mających wpłynąć na trwałą zmianę ich poglądów. Miał

co prawda wypadek samochodowy, ale poza kontuzją wyszedł z niego bez szwanku. Jednak zebrane materiały dają pewność, że tu reakcja społeczna na zatrzymanie nie będzie niewłaściwa. Proszę, towarzyszu ministrze. Tu jest wykaz możliwych zarzutów.

*Przeglądanie kartek...*

**Minister** – Powinniśmy omówić sposób prowadzenia śledztwa po aresztowaniu. Pewne środki stosowane wobec innych więźniów nie mogą mieć wobec Kaczmarka zastosowania. Żadnego bicia. Żadnych śladów fizycznej przemocy. Sprawdziły się nam konwejer i zimny wychów. Jak mówiłem, wróciłem właśnie z Moskwy. Znają towarzysze osiągnięcia profesora Iwana Pietrowicza Pawłowa w dziedzinie skutecznych oddziaływań na psychikę. Dostaliśmy instrukcje ich stosowania i mamy zrelacjonować, jak się sprawdzają w praktyce. Mamy też wskazania towarzyszy radzieckich, jakich farmaceutyków powinniśmy użyć wspomagająco w śledztwie.

**Światło** – Jeszcze jedno. Po aresztowaniu należy dopilnować, by biskup nie miał kontaktu ze światem zewnętrznym. Bez dostępu do informacji. Żadnych listów, paczek, widzeń. Żadnej możliwości grypsery.

*Hiob*

**Żył mąż pewien w ziemi Uz, Hiob mu było na imię. A był mąż ten nienaganny i prawy, bojący się Boga i stroniący od złego.**

**Kuria Biskupia w Kielcach 19 stycznia 1951 r.**

*Drzwi*

**ks. Danilewicz** – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Wrócił ksiądz biskup! Konferencja Episkopatu już się skończyła?

**Biskup** – Nie, ale wyjechałem! Ksiądz prymas oczekiwał na potępienie księdza Oborskiego. Nie mogłem tego zrobić. Taki kapłan! Ocalił Bolmin przed niemiecką pacyfikacją. Nie bał się w czasie okupacji narazić hitlerowcom, a tu w wolnej (z *przekąsem*) Polsce naraził się komunistom. Wplątali go w proces bandytów Armii Podziemnej. A miałem nadzieję, że w Wolbromiu będzie miał spokój.



**ks. Danilewicz** – Księdza biskupa też oskarżają o sprzyjanie, jak piszą, bandytom z Wolbromia. Proszę, wystarczy spojrzeć na tytuł w dzisiejszej „Trybunie Ludu”, wczoraj też pisali w „Żołnierzu Wolności”.

**Biskup** – Bierut i jego ludzie naciskają na prymasa, by potępienie księży z Wolbromia miało charakter oficjalny. Ale dokąd można się cofać, iść na ugodę. W imię czego? Ciągłe ustępujemy, a oni? Przywłaszczyli sobie „Caritas”, zabrali ochronki, przejmują nasze szkoły. Zlikwidowali wydawnictwo i księgarnię „Jedność”. A to wszystko po podpisaniu porozumienia, które miało nam gwarantować choćby prowadzenie szkół katolickich.

**ks. Danilewicz** – Podejrzewam, że dotarło do nich, że ksiądz biskup sporządził raport dla ambasadora Bliss Lane’a o pogromie Żydów w Kielcach. Zresztą te rewizje tu i w katedrze najlepiej o tym świadczą.

**Biskup** – Ciekawe jakie przewinienia będą próbowali mi jeszcze przypisać.

**ks. Danilewicz** – Pozwoli ksiądz biskup, że wyrażę swoją opinię. Otóż uważam, że ze względu na własne bezpieczeństwo ekscelencja powinien złagodzić nieco ton kazań i nie szczypać ciągle komunistów. Oni takich rzeczy nie darują.

**Biskup** – Nie przesadzaj, mój drogi. To, że pozwolili sobie na aresztowanie księdza Oborskiego w Wolbromiu i że łączą go ze mną, jeszcze nie oznacza, że podniosą rękę na przedstawiciela episkopatu, za którym stoi Stolica Apostolska. Ale, ale... powiedz mi, czy możemy być pewni tych osób, które tu u nas w kurii pracują?

**ks. Danilewicz** – Jeśli chodzi o duchownych – w końcu spowiadają się ze swoich grzechów... Natomiast co do świeckich – wydaje się, że są zaufanymi ludźmi. Chociaż, czy dziś można być czegokolwiek, poza wolą Bożą, pewnym?

**Hiob**

*Żył mąż pewien w ziemi Uz, Hiob mu było na imię. A był mąż ten nienaganny i prawy, bojący się Boga i stroniący od złego.*

*I zdarzyło się pewnego dnia, że przybyli synowie Boży, aby stawić się przed Panem, a przybył też i szatan pośród nich, aby stawić się przed Panem. I rzekł Pan do szatana: „Skąd przybywasz?”. Odpowiedział szatan Panu i rzekł: „Z obchodzenia ziemi i wędrowania po niej”. I rzekł Pan do szatana: „A czyś baczył na sługę*

*meo, Hioba, albowiem nie ma równego mu na ziemi. Mąż to nienaganny i prawy, bojący się Boga i stroniący od złego. Trwa on w nienaganności swojej”. Odpowiedział szatan Panu i rzekł: „Skóra za skórę. Wszystko, co człowiek posiada, odda za swoje życie. Ale wyciągnij rękę Twoją i dotknij kości jego i ciała jego, czy nie będzie wtedy w twarz przeklinał Ciebie?”. I rzekł Pan do szatana: „Oto jest w twojej mocy, tylko życie jego zachowaj”.*

**Kuria Biskupia w Kielcach 20 stycznia 1951 r.**

**Pan Leon** – Zimno dzisiaj, proszę księdza biskupa. Ale napaliłem już w piecach.

**Biskup** – Zimno, ale dzień coraz dłuższy. Którego to dziś mamy?

**Pan Leon** – 20 stycznia.

**Biskup** – Aha, Leonie ma dzisiaj przyjść do mnie dwóch panów z województwa, gdyby przyszli – daj mi znać. To wszystko.

*(do siebie) Co to dzisiaj mamy do zrobienia?*

*Rumor za drzwiami, wchodzi dwóch funkcjonariuszy SB*

**Pan Leon** – Ależ, ależ, panowie...

**Biskup** – Leonie! Co się tu dzieje? Proszę chwilę poczekać! Przecież widzą panowie, że pracuję.

**Światło** – My też pracujemy i musimy pilnie z księdzem biskupem porozmawiać.

**Biskup** – Dobrze. *(do Leona)* Leonie, w porządku – panowie są z województwa.

**Światło** – Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Mamy informacje, że tu w pomieszczeniach kurii znajduje się radiostacja, jak też inne materiały wskazujące na współpracę szpiegowską księdza biskupa z Watykanem i imperialistami amerykańskimi. W związku z tym rozpoczynamy rewizję. Tu jest nakaz.

**Biskup** – *(zrywa się z krzesła)* To jakiś absurd! Chcę się zobaczyć z Janem. To znaczy z księdzem Danilewiczem. Muszę mu przekazać rzeczy konieczne do wykonania jeszcze dzisiaj. Poza tym muszę zobaczyć się z matką. Jest chora. Obiecałem, że ją odwiedzę.

**Światło** – To niestety niemożliwe. Może ksiądz biskup usiąść. Niech się ksiądz biskup nie martwi, kuria nie zniknie nagle z powodu

nieobecności swego ordynariusza. *(do podwładnych)* Najpierw sekretarzyk, szafy. I bibliotekę. *(słysząc rumor rzuconych na ziemię ksiąg i papierów)* Nigdzie nam się nie spieszy!

**Biskup** – Rozumiem, że panowie wykonują swoje obowiązki, ale nie widzę powodów, by przy tym niszczyć cokolwiek.

**Światło** – Zechce się biskup zamknąć!

*Pauza, słysząc szelest kliszy*

**Głos I** – Obywatelu pułkowniku, tu jest jakaś klisza, negatyw.

**Światło** – Co my tu mamy! Jak to ksiądz biskup Kaczmarek serdecznie się potrząsa za rękę z Adolkiem. Tak to witało się Hitlera w Kielcach. Nic dziwnego, że później takie wiernopoddańcze słowa padły z ambony!

**Biskup** – Jak pan śmie! Żądam rozmowy z pana przełożonym.

**Światło** – A to mnie ksiądz biskup rozbawił.

**Biskup** – Proszę pamiętać, że jestem biskupem i sekretarzem konferencji episkopatu. Nie życzę sobie takich uwag.

**Światło** – Proszę więc przyjąć do wiadomości, ekscelencjo, że moim przełożonym jest prezydent Bolesław Bierut. Tak więc to do niego proszę składać zażalenie.

*Odgłosy przeprowadzanej rewizji*

**Światło** – Co my tu mamy – *Mein Kampf* – ciekawa lektura dla przedstawiciela episkopatu.

*Mija czas – muzyka*

**Biskup** – Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy skończycie rewizję? Panowie dezorganizujecie pracę kurii.

**Światło** – Odpowiedź brzmi – wtedy, kiedy skończymy.

**Biskup** – Dziękuję. Niczego panowie tu w kurii nie znajdują. Nie mam nic do ukrycia.

**Światło** – To się okaże.

*Muzyka – mijają godziny*

**Głos I** – Obywatelu pułkowniku, melduję zakończenie rewizji.

**Światło** – Papiery zapakowane?

**Głos I** – Tak jest! Wszystkie dokumenty już są w wozie. Już ciemno. Możemy jechać?

**Światło** – Tak, dyskretnie. Bez fajerwerków.

**Biskup** – Panowie zabrali całą dokumentację kurii. Ja protestuję! Toczy się wiele spraw. Wierni oczekują na rozstrzygnięcia! Ja także nie będę mógł wrócić do normalnej pracy.

**Światło** – Nie musi ksiądz biskup. O siebie się proszę nie martwić. My zajmiemy się księdzem biskupem.

**Biskup** – Jak mam to rozumieć?!

**Światło** – Tu jest nakaz aresztowania.

**Biskup** – Muszę o tym powiadomić mojego kapelana. Chcę także pożegnać się z matką.

**Światło** – Nikogo biskup nie musi powiadamiać ani z nikim żegnać. My się tym zajmiemy. Tu jest walizka ze spakowanymi rzeczami. Idziemy.

*Warkot samochodu*

**Biskup** – Dokąd mnie wiozą po nocy? To już trzy godziny. Światła? Warszawa.

*Muzyka*

### Więzienie mokotowskie

**Przyjmujący** – *(pisze)* Kaczmarek Czesław – *(do więźnia)* wyłóżcie wszystkie rzeczy na stół. *(Pisze)* Zegarek marki Doxa, sygnet złoty, etui z wiecznym piórem marki „Schaeffer”, pieniądze 5062 złote i 25 groszy, sutanna czarna, modlitewnik w języku łacińskim. Podpiszcie depozyt. Tu macie koszulę, spodnie, chodaki. Swoje ubranie do worka.

*Szczęk krat, zatrzaśnięcie drzwi celi, zgrzyt klucza w zamku. W celi sam.*

**Biskup** – Co teraz? Jakie błędy popełniłem? Czy powodem był mój sprzeciw wobec podpisania poddańczego porozumienia z rządem? W końcu byłem jedynym, który zaprotestował mimo rzucenia na szalę autorytetu prymasa. A może to dlatego, że nie uległem i nie potępiłem księdza Oborskiego? Teraz tylko modlitwa...

*Szczęk zamka. Drzwi celi.*

**Klawisz** – Kaczmarek! Na przesłuchanie. *(kroki, zamknięcie drzwi)*

**Oficer Śledczy** – Ksiądz biskup tutaj? Proszę usiąść. Cóż za przykra sprawa.

**Biskup** – Stała się rzecz niedopuszczalna. Stolica Apostolska z pewnością zareaguje na to, co się stało. To jakieś nieporozumienie.

**Oficer Śledczy** – Jestem przekonany, że to nieporozumienie lada dzień się wyjaśni. Tymczasem jednak, skoro ekscelencja się tutaj znalazł, muszę zadać kilka pytań i poprosić o kilka wyjaśnień. Na początek proszę opowiedzieć swój życiorys...

**Biskup** – Urodziłem się 16 kwietnia 1895 roku w Lisewie Małym w powiecie Sierpc, w guberni płockiej.

**Oficer Śledczy** – Kim był wasz ojciec?

**Biskup** – Młynarzem. Moją matkę, Franciszkę z Rogińskich, poślubił w 1894 roku. Ja jestem ich jedynym synem... (*narastające echo i wyciszenie*)

*Muzyka – mija czas*

### Więzienie mokotowskie – pół roku później

**Oficer Śledczy** – W przesłuchaniu z dnia 25 maja 1951 roku mówiliście o swoich kontaktach z hitlerowcami. Z jakimi oficerami niemieckimi stykaliście się w czasie wojny?

**Biskup** – Zaraz na początku wojny Niemcy zajęli moje mieszkanie, wtedy zetknąłem się z generałem, który tam kwaterował – był to Prinz von Lichtenstein. Pozwolił mi, bym powiedział parę zdań do kilkuset polskich jeńców w obozie na Zamku. Chwaliłem bohaterską walkę do końca. Ale jeńcy zaczęli wznosić patriotyczne okrzyki – no i odpokutowałem. Oskarżono mnie o podżeganie do buntu. (*narastające echo i wyciszenie*)

*Muzyka, mija czas*

**Oficer Śledczy** – Opiszcie kontakty z gubernatorem Frankiem.

**Biskup** – Zostałem wezwany w maju 1940 roku wraz z biskupami: sandomierskim i częstochowskim do Radomia, gdzie korzystając z obecności generalnego gubernatora Hansa Franka wręczyliśmy petycję dotyczącą uregulowania spraw kościelnych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Poproszono nas o wspólne zdjęcie z gubernatorem Frankiem, na co się nie zgodziliśmy.

*Muzyka, mija czas*

**Oficer Śledczy** – Jaki cel miały wasze kazania wzywające do posłuszeństwa wobec hitlerowców?

**Biskup** – Nie chodziło o posłuszeństwo, lecz o zapobieżenie rozlewowi krwi. Za jednego zabitego przez partyzantów niemieckiego żołnierza Niemcy rozstrzelali dziesięciu, czasem dwudziestu zakładników. Wzywałem do posłuszeństwa o tyle, o ile polecenia władz okupacyjnych nie kłóć się z sumieniem katolika.

**Oficer Śledczy** – Tak, oczywiście rozumiem. Lojalność przede wszystkim. Przystaję was lubić, towarzyszu biskupie. To jak to jest? Z jednej strony kolaboracja z hitlerowcami pod płaszczykiem ratowania życia rodakom, z drugiej, teraz wystąpienia przeciwko legalnej ludowo-demokratycznej władzy w wolnej Polsce. Władzy i ludu, w obronie którego, podobno występowaliście podczas okupacji niemieckiej. Coś mi się tu nie zgadza. Chyba zacniemy inaczej rozmawiać.

Strażnik odprowadzić aresztanta!

*Muzyka*

**Biskup** – Ile to już dni? Ile miesięcy? Codziennie jedno i to samo. Pisać życiorys. Opowiadać życiorys. Ileż razy można opisywać swoje życie minuta po minucie, godzina po godzinie. Jak długo można odpowiadać ciągle na te same pytania?

Co się dzieje za murem, za drutami, za oknem? Żadnych wieści.

*Muzyka*

### Rok później

**Oficer Śledczy** – Oczekuję od księdza biskupa konkretów. Apeluję do rozsądku biskupa: radzę współpracować! Gdzie przechowywany jest raport na temat pogromu.

**Biskup** – (*cisza*)

**Oficer Śledczy** – No, słucham!

**Biskup** – To nieistotne! Nie będę zaprzeczał. Ten raport istnieje i trafił w ręce Amerykanów. Zawiera tylko prawdę, ale nie zamierzam wam go udostępniać. Mam dosyć! Nic więcej wam nie powiem i żądam kategorycznie kontaktu z prymasem Wyszyńskim.

**Oficer Śledczy** – Co? Ty czegoś żądasz? Kaczmarek, już nie istniejesz. Zapomnieli o tobie. Wszyscy. Wydali cię twoi kapłani. Danilewicz i Dąbrowski. Szczegółowo opowiedzieli o kolaboracji z hitlerowcami, o szpiegowaniu dla USA,



o swojej i twojej dywersyjnej robocie. Cały kraj już wie. Kościół się ciebie wyparł.

**Biskup** – Ja...

**Oficer Śledczy** – Teraz dostaniesz zastrzyk, po którym wyśpiewasz wszystko! Przytrzymajcie go! Szarp się, szarp. (*odgłosy stawiającego opór*) Chwilę sobie poczekamy...

A teraz opowiesz o tym, jakie prezenty dostałeś od Bliss Lane'a.

**Biskup** – Dostałem książkę jego autorstwa „Jak sprzedano Polskę”.

**Oficer Śledczy** – Opowiedz o kontaktach z sekretarzem ambasady amerykańskiej, Andrewsem.

**Biskup** – Zetknąłem się z nim raz podczas wizyty w Warszawie

*Muzyka, mija czas*

**Oficer Śledczy** – Kaczmarek! Nie spać! Mówiłeś, że Andrews opowiadał ci o planach ataku Amerykanów na ZSRR od strony Pacyfiku i zniszczenia przemysłu na Syberii.

**Biskup** – Nie, ja nie pamiętam. Muszę do toalety. Proszę.

**Oficer Śledczy** – Jak odpowiesz.

**Biskup** – Ja już... ja już nie mogę. Gdzie ja jestem? To słońce? Teraz już nic...

**Hiob**

*I odezwał się Hiob i rzekł: Bodajby przepadł dzień, w którym się urodziłem, i noc, która powiedziała: „Poczęty jest mężczyzna”.*

*Bodajby dzień ten pozostał mrokiem i nie zapytał o niego Bóg na wysokości i nie zaświeciła nad nim jasność. Czemu nie umarłem w łonie matki, nie skonałem, kiedy wyszedłem z jej żywota. Po co światło człowiekowi, który nie wie dokąd iść, którego Bóg zewsząd osaczył?*

**Oficer Śledczy** (*do zmiennika*) – Nie damy mu długo pospać. Zaraz pęknie. To trzydziesta siódma godzina przesłuchania, a po poprzednim czterdziestogodzinnym spał kwadrans. Dostał na przeczyszczenie.

**Oficer Śledczy 2** – Był w kiblu?

**Oficer Śledczy** – Nie. No to zostawiam ci go.

**Oficer Śledczy 2** (*strzał z pistoletu*) – Nie śpij, tu nie hotel. Opowiadaj o zbieraniu informacji dla USA.

**Biskup** – Ja... gdzie ja jestem? Muszę do toalety...

**Oficer Śledczy** – Milczeć! Kaczmarek! Co ty, gnoju, robisz. Biskup ordynariusz, a sfajdał się w gacie. (*woła*) Wartownik! Niech przyjdą tu śledczy i wartownicy, niech zobaczą, jak się zachowuje sekretarz episkopatu. Teraz posprzątasz po sobie albo tobą powycieram te gówna. I jeszcze ten smród. Zabrać więźnia, niech go umyją węzem. Potem zaprowadzić do karceru. Przy otwartym oknie szybciej wyschnie.

*Muzyka, mija czas*

**Biskup** – Boże mój! Uwolnij mnie ode mnie. Bo nie ja to już mówię, gdy mnie pytają, lecz ktoś, kogo nie znam. Coś ze mną zrobili, a Ty zezwalasz na to. Mnie już nie ma. Nikt się o mnie nie upomni i nawet Ty Panie zapomniałeś o słudze Twoim. Już nie mogę, nie potrafię, nie umiem. Ile godzin tu stoję? Pięć, dziesięć? Żebym mógł choć na chwilę usiąść, klęknąć, położyć się. Zasnąć na zawsze. I ta zimna woda. Nie mogę opanować dreszczy.

*Cela*

**Agent celny** – Strasznie ksiądz biskup wygląda. Gdzie ksiądz był? Chyba nie na przesłuchaniu?! Zabrali księdza przedwczoraj. Czterdzieści godzin.

**Biskup** – Spać, nic nie wiem, spać.

**Agent celny** – Ksiądz jest cały mokry. Co się stało?

**Biskup** – Nic nie wiem. Spać...

*Muzyka*

*Kaczmarek! Na przesłuchanie. Na przesłuchanie. Na przesłuchanie.*

**Oficer Śledczy** – W przesłuchaniu 20 maja 1952 mówiłeś, że ojciec Kolbuch odwiedzał nie tylko Kielce, ale że objeżdżał całą Polskę. Mówiłeś też, że był doskonale zorientowany w wielu zagadnieniach życia państwowego. Dlaczego tak się tym interesował?

**Biskup** – Chodziło o rozeznanie, jakie są potrzeby poszczególnych regionów.

**Oficer Śledczy** – Co ty mi tu pieprzysz! Jak wiesz, mamy leki, które pozwolą ci sobie wszystko przypomnieć.

**Biskup** – Nie wiem. To słońce tak jasno świeci, chyba już oślepiłem...

**Oficer Śledczy** – Cholera, zemdłał. Dajcie wodę. (*chlust z wiadra*) Odprowadzić do celu! Kwadrans snu i ani minuty dłużej.

**Hiob**

*I odezwał się Hiob i rzekł:*

*Wydał mnie Bóg przewrotnym, wtrącił mnie w ręce niegodziwych. Twarz moja opuchła od płaczu, na moich powiekach cień śmierci. O ziemi, nie zakrywaj krwi mojej i niech nie będzie ustanku memu wołaniu. Gdzież więc moja nadzieja, moją nadzieję kto będzie oglądał? Zstępuje ona do bram otchłani i razem z nią legnę w prochu.*

*Muzyka*

**Oficer Śledczy** – Powiedziałeś, że z Bliss Lanem omawiałeś skutki przyszłej wojny Ameryki z ZSRR, które miały skorygować granice do stanu przedwojennego.

**Biskup** – Tego nie mówiłem.

**Oficer Śledczy** – Mówiłeś, mówiłeś. A teraz dokładnie opiszesz nie tylko tę rozmowę, lecz także, w jaki sposób szerzyłeś prowojenną propagandę w kościele. Siostrze, proszę podać lek biskupowi.

*Muzyka*

**Oficer Śledczy** – No, czytaj swoją twórczość.

**Biskup** – Problem Ziem Zachodnich ustawiłem na płaszczyźnie mej polityki prowojennej. Wśród księży i wiernych szerzyłem przekonanie o tymczasowości Ziem Odzyskanych tłumacząc, że przyszła wojna zmieni nasze granice z Niemcami.

**Oficer Śledczy** – Dobrze, bardzo dobrze!

**Biskup** – Proszę o kontakt z lekarzem. Choruję na szkorbut. Wypadło mi już dziewiętnaście zębów. Ta lampa sprawia, że mam problemy ze wzrokiem.

**Oficer Śledczy** – Ksiądz biskup ma poważniejsze problemy. Wczoraj mówiłeś, że po dolary jeździłeś do Sapiehy do Krakowa, wymieniał je Danilewicz.

**Biskup** – Ja tak mówiłem? Być może.

**Oficer Śledczy** – Jakie być może!? Zaraz ci przywrócę pamięć.

**Biskup** – Ja nie wiem... nie wiem... tak, tak... mówiłem.

**Oficer Śledczy** – Komu dostarczałeś te dane.

*Muzyka*

**Biskup** – Jak długo tu jestem? Dwa? Trzy lata? Dlaczego nie pozwolą mi umrzeć. Przecież mówię to co chcą. Te zastrzyki, które mają mnie leczyć...

## Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego

**Oficer Śledczy** – Towarzyszu pułkowniku. Oficer śledczy...

**Światło** – Dobrze już, dobrze. Mam raporty z przesłuchań. W jakim celu chcieliście się ze mną widzieć?

**Oficer Śledczy** – Niepokoi mnie stan zdrowia Kaczmarka. To że mu wypadło kilkanaście zębów to akurat wynik naszej diety. Jednak ostatnio zemdłał nam kilka razy i ma problemy z sercem. Ponieważ właściwie jest już gotowy do procesu, proponuję, by zakończyć konwejer i skupić się teraz na tym, by spisał dokładnie wszystkie ustalone w śledztwie fakty i po naszej korekcie opanował je pamięciowo.

**Światło** – Macie rację. Trzeba mu zapewnić nadzór medyczny, ale bez przesady, nie może się poczuć zbyt pewnie. Tak więc na razie jedynie kończymy konwejer i powracamy do normalnych przesłuchań.

## Gabinet ministra

**Minister** – Został wyznaczony termin procesu. Kaczmarek jest przygotowany. Czy ustalono już zadania prasy, radia i kroniki filmowej?

**Światło** – Tak, towarzyszu ministrze. Po pierwsze ukażą się artykuły w prasie i to nie tylko w „Trybunie Ludu” i „Żołnierzu Wolności”. Są też przygotowane materiały dla dziennikarzy prasy lokalnej w całej Polsce. Artykuły osądzające Kaczmarka zaczną się ukazywać jeszcze przed procesem. W radiu zajmie się tym „Fala 49”. Prasowe relacje z procesu będą przekazywane każdego dnia, natomiast radio będzie retransmitować proces. Kronika Filmowa z relacjami z procesu będzie obowiązkowo wyświetlana we wszystkich kinach w wydłużonym cyklu czasowym. W trakcie procesu zostaną odnotowane

medialnie wszystkie zachowania potępiające dywersyjną działalność kleru, ten sam cel będą miały wiec w największych zakładach pracy i PGR-ach.

**Minister** – Jaką mamy pewność, że na procesie Kaczmarek zachowa się zgodnie z naszymi przewidywaniami?

**Światło** – Nie ma problemu. Jeśli będzie próbował cokolwiek zmienić, przerwiemy proces pod pretekstem złego samopoczucia któregoś z oskarżonych, a on zostanie ostrzeżony.

**Minister** – Kto będzie obrońcą Kaczmarka?

**Światło** – Nasz człowiek.

*Muzyka*

**Obrońca** – Pozwoli ksiądz biskup, że się przedstawię – Maślanko. Jestem obrońcą księdza biskupa.

**Biskup** – Prosiłem o adwokata Rettingera!

**Obrońca** – Niestety nie mógł przybyć. Musimy uzgodnić linię obrony. Ze swej strony chciałbym księdzu doradzić, by przyjąć akt oskarżenia i z pokorą przyznać się do wszystkiego. Ma ksiądz biskup do wyboru – śmierć lub przyznanie się do tego, czego żądają w śledztwie.

**Biskup** – Przecież pan jest moim obrońcą!

**Obrońca** – Zrobi ksiądz biskup jak uważa. Ja ostrzegałem!

**14 września 1953 r.**

**Sygnal programu pierwszego Polskiego Radia.**

*Tu program pierwszy Polskiego Radia z Warszawy. Nadajemy wiadomości: Rozpoczyna się proces antypolskiego i antyludowego ośrodka imperialistycznego, którym kierował zdrajca narodu, ksiądz Kaczmarek. W czasie wojny nakazywał współpracę z okupantem, gdy patrioci – wśród nich duchowni – ginęli w hitlerowskich obozach i więzieniach. Obecnie stanowił powolne narzędzie wrogiej Polsce i ludzkości polityki imperializmu amerykańskiego, przeprowadzając zbrodnicze próby zahamowania rozwoju gospodarczego Polski. Wywiad dla Watykanu i USA był głównym celem szpiegowskiego ośrodka biskupiego.*

**Sygnal kroniki filmowej – Fragment oryginalnego nagrania – czyta A. Łapicki**

*„Przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie stanęli członkowie antypaństwowego i antyludowego ośrodka, którzy na zlecenie Watykanu uprawiali w Polsce działalność dywersyjną i szpiegowską. Na czele ośrodka stał biskup Czesław Kaczmarek, były ordynariusz kielecki. Z Kaczmarkiem współpracowali dygnitarze diecezjalni: ksiądz Danilewicz, ksiądz Widłak, ksiądz Dąbrowski – kapelan biskupa, Waleria Niklewska – siostra zakonna. Biskup Kaczmarek służąc wiernie Watykanowi, zdradzał naród polski przed wojną, podczas okupacji i po wyzwoleniu. Wróg postępu, denuncjant działaczy lewicowych i zausznik Becka, okazał się w czasie okupacji sojusznikiem hitlerowców. Entuzjasta gestapowskiego ładu i praworządności, stał się po wyzwoleniu jednym z agentów amerykańskiego ober szpiega”.*

*Muzyka*

*Przed wejściem na salę rozpraw*

**Światło** – Posłuchaj mnie teraz uważnie, księże biskupie: Zeznasz dokładnie to co ustaliliśmy. Odczytasz swoje przyznanie się do winy. I to jota w jotę. Jeżeli spróbujesz jakiejś sztuczki, proces zostanie przerwany, a po wznowieniu dostaniesz czapę. Teraz na wszelki wypadek dostaniesz zastrzyk, żeby ci było łatwiej się skupić. Nim wejdiesz na salę rozpraw, raz jeszcze powtarzam: niech ci nawet do głowy nie przyjdzie, by zmienić choć jedno słowo. Miałeś miesiąc, aby się nauczyć czytać ten tekst.

**Komentator radiowy** – Tu program pierwszy Polskiego Radia. Znajdujemy się na sali sądowej, gdzie trwa proces grupy przestępczej zmierzającej do obalenia ludowo-demokratycznego ustroju Polski. Na ławie oskarżonych zasiedli: biskup kielecki – Czesław Kaczmarek oraz pozostali szpiegowie i dywersanci w koloratkach, a także będąca z nimi w zмовie siostra zakonna. Za chwilę przewodniczący składu sędziowskiego odczyta akt oskarżenia.

**Sędzia** – *(Z oryginalnego aktu oskarżenia)*

Reakcyjna część kleru, związana ze wsteczną polityką Watykanu, wprzęgła się w rydwan obcych i wrogich narodowi polskiemu interesów. Ci zdrajcy narodu polskiego, posłuszne narzędzia Watykanu i imperializmu amerykańskiego, usiłują sprowadzić na Polskę pożogę nowej wojny



i wyszukać teren Polski jako teren agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, w oparciu o kierowany przez oskarżonego Kaczmarka ośrodek antypaństwowy i antyludowy uprawiający dywersję polityczną, wrogą propagandę aż do szpiegostwa włącznie.

Czy oskarżony przyznaje się do winy?

**Biskup** – Tak, przyznaję się.

*Muzyka kończąca*

**Narrator** – Biskup Czesław Kaczmarek, dokonując w mowie wyjaśniającej samooskarżenia, przytaczając sformułowania mowy oskarżycielskiej prokuratora i obciążając siebie całą winą, został skazany na 12 lat więzienia, pozostali członkowie, jak to określono, „szpiegowsko-dywersyjnego ośrodka” – ksiądz Jan Danilewicz – skarbnik kieleckiej kurii – na 10 lat, ksiądz Józef Dąbrowski – kapelan biskupa – na 8 lat, ksiądz Władysław Widłak prokurator Seminarium Duchownego w Kielcach – na 6 lat, siostra Waleria Niklewska na 5 lat więzienia.

Pełnej rehabilitacji biskup Czesław Kaczmarek doczekał się dopiero 37 lat po procesie – w grudniu 1990 roku.

W słuchowisku dokumentalnym wystąpili:

Biskup Czesław Kaczmarek – Jerzy Trela  
Pułkownik Józef Światło – Krzysztof Globisz

Hiob – Andrzej Seweryn

Oficer śledczy – Mirosław Bieliński

Ksiądz Jan Danilewicz – Marcin Brykczyński

Minister Bezpieczeństwa Publicznego – Edward Janaszek

Pan Leon – Andrzej Cempura

Obrońca – Andrzej Plata

Sędzia – Janusz Głogowski

II oficer śledczy – Łukasz Pruchniewicz

Agent celny – Dawid Żłobiński

Sprawozdawca radiowy – Artur Słaboń

Opracowanie muzyczne – Włodzimierz Kiniorski

Realizacja dźwiękowa – Arkadiusz Miller

Scenariusz i reżyseria – Bohdan Gumowski

Konsultacje: ks. prof. Jan Śledzianowski, profesor Stanisław Żak, dr Tomasz Domański. Słuchowisko powstało przy współpracy z Delegaturą Instytutu Pamięci Narodowej w Kielcach.

*Bohdan Gumowski*



Pomnik biskupa Czesława Kaczmarka przed kielecką bazyliką

Fot. Ewa Juszkiewicz-Wojtasik

## Szóste Staszowskie Lato Literackie – 2014

Od roku 2009 z początkiem każdego lata – we wspólnym porozumieniu między Kieleckim Oddziałem ZLP i władzami miasta Staszowa oraz powiatu staszowskiego, jak również Staszowskim Ośrodkiem Kultury – świętokrzyscy pisarze i ich przyjaciele (głównie z Warszawy, Krakowa, ale też z Gdyni, Szczecina) spotykają się w grodzie nad Czarną na plenerze literackim. Zawsze w tym samym – od początku trafnie wybranym i szybko oswojonym – miejscu: Internacie Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica przy ul. Koszarowej. Na czas (zależnie od finansowych możliwości) ok. 5-8 dni; zawsze z konieczności zbyt krótki, przez co programowo niesłychanie „zgęszczony”. Lecz choć to szalone wyzwanie, by dać z siebie wszystko każdego dnia od rana do późnych godzin, wspomina się je z ukontentowaniem całymi miesiącami.

Na publicznych promocjach nowo wydanych książek gdzie indziej w zasadzie się nie dyskutuje. Podczas plenerów ta zasada nie obowiązuje. Po każdej autorskiej prezentacji dzielimy się wnikliwymi spostrzeżeniami. Włączali się krytycy literaccy: Stefan Jurkowski – poznany bliżej też jako świetny poeta – i stale nam towarzyszący Janusz Termer. Tak było np. w odniesieniu do *Odrobiny tożsamości* – tomiku wierszy i grafiki Giny Jusięgi z Krakowa, *Kosmogonii* – tomiku wierszy, malarstwa i grafiki) Moniki Mazur z Radomia, *Żony psychopaty* – powieści Teresy Ewy Opoki z Radomia, *Markowego haiku* Wawrzyńca Marka Raka z Gyor – jak raz, dla spopularyzowania tego zbioru wybraliśmy się w jego rodzinne strony do Gnojna, *Dwoistego kaprysu* – zbioru wierszy Joanny Rzdokiewic z Krakowa, *Świętokrzyskich nastrojów* – tomiku poetyckiego Kazimierzy Szczykutowicz z Kielc, *Miraży* – zbioru wierszy Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty (która nastrojowo rozgwieździła nam już pierwszy wieczór strofami z *Almanachu XLII Krakowskiej Nocy Poetów*), *Słów prawdziwych* – tomiku wierszy Marii Włodno z Kielc.

Recytacje ubarwiała interludiami wokalnymi Małgorzata Siemieniec z Kielc. I popisywała się góralskimi piosenkami Teresa Łucka – poetka i plastyczka z Nietuliska.

Żywa wymiana zdań rozwinęła się wokół utworów przygotowywanych do wydania: wierszy Romualda Bielendy z Kielc, Uty Przyboś z Warszawy, Zofii Walas z Ostrowca Świętokrzyskiego, jak również prozy Ireny Paździerz z Kielc, Elżbiety Strzałkowskiej z Gdyni, Ewy Marii Wojtasik ze Szczecina.

Wstąpiwszy do Staszowa na niecałe dwa dni, ciekawie zarekomendowała nowe pismo „LiryDram” Marlena Zynger z Warszawy (wł. Ewa Bartkowiak, związana w dzieciństwie

z Suchedniowem) – poetka będąca w ustawicznym ruchu, umiejąca się promować także za granicą.

Zakosztowaliśmy prawdziwej uczy (i to był jedyny pełny relaks) jako goście Święta Pieroga w Wysokach Średnich – stronach artysty i naszego przewodnika po Ziemi Staszowskiej, Władysława Sadłochy. I nie zapomnę wyśmienitej kolacji z żartobliwą pogawędką – kiedy apetytowi dorównała wena – w scenerii zachodzącego słońca przy stawach rybnych w Zawidzy za Łoniowem, na którą zaprosił grupkę smakoszy karpia Włodzimierz Kłaczyński z Mielca.

Nie udałooby się nam tym razem i we wcześniejszych pięciu plenerowych edycjach tak wiele, gdyby nie wydatna pomoc związanego ze Staszowem i Połańcem poety Benedykta Koziela w pozyskiwaniu sponsorów i ta codzienne organizacyjna w czasie ich trwania. Gorąco za tę pomoc Koledze dziękujemy!



Fot. Halina Machul



# DRZEWA W KUROZWEKACH



"Na górze stronej i skalistej rozłożyło się miasteczko. Kilkadziesiąt chat zbudowanych w czworobok, chat nie wiejskich, gdyż mają staromieszczanskie poręki i oryginalnie rzeźbionych słupach" - tak zobaczył Żeromski Kurozwęk w lipcu 1888 roku.



Rządca majątku Popielów - Józef Saski, ukochany brat cioteczny Stefana Żeromskiego, syn Józefa z Żeromskich, której pisarz zawdzięczał pomysł "Kiełbudy domowej".

"Wierna rzeka" (zdjęcie z dzieciństwa).  
 a Jest tej rodziny ojcem, wojskim, opiekunem, obrońcą i dobrodziejem (...) dobry jak chleb pszeniczny, zdaje mi ze siebie ostatnią kłoszą, odda ostatni grosz dla biedniejszego"  
 J. Żeromski do J. Żeromskiej, 1888  
 Stefan oceniał jako "inteligentna, miła i ładna". Pod ich gościnnym dachem spędził - po warszawskiej nocy - dobre lato roku 1888.



Razem z Józefem wyprawia się Żeromski do Ossolina - ongi u progu XVII wieku "czyżby kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego, a przy okazji podziwiał i podziwiał wspaniałych polskich poetów. Po leżących w owym miejscu rzeźbach, w których wyrażono w nich przezroczliwej i śpiącego tajemniczej piśni rycerskiej, od odgłosów której boli serce".



"Oto wielki świat Kurozwęk. Widzisz ogródki i łączki olbrzymich drzew, a wśród nich obłany dokoła wodą plac. Na szczytach białej herbiny kurczaków, w XIX-XV wieku Kurozwęckich (nieodpisywanych się od legendarnego burzowego przodka) wznosi się tu samym wierzchołkiem wieś Żeromskich. W 1840 roku, w 1840 roku - Popielów, Żanek, odbrany im po 1945 i niszczący (zdjęcie z roku 1972), obecnie wraca do dawnej świetności dzięki Janowi Marchewi Popielowskiemu - to Grudno z "Popielów", rezydencja księcia Gintulla, Skakawki z noweli "W siałach niedobrych", dominium "Zimna" w noweli "O zniebieru tułacz".



Wieczorami w skromnym dworze rządy Włocławca widać piśni, co widać ciotka Józefa, matka powstającego sztywnych - Gustawa, rozsiękanego w szarych Chmielęskiego pod Seceminem jesienią 1863; Ksawerego, walczącego do ostatniej dni; Zygmunta, który konstruował bomby ciśnieniowe na Teodora Berga, namiestnika Królestwa.

Żeromski zapisuje: "Słuchasz tego i przesyła ci się przed oczyma ludzie (...) nie nadający się do tej miary, jaka nauczyli się mierzyć wszystko współżyciem (...) Teraz dopiero stają mi w pamięci opowiadania ojca ubawo" (...) "Gdzie oni dzisiaj?" (...) "Nie ma ich, co się pokładali w groby. Toja mojego nie ma (...)" Wychoła źródło wysokości piśni! ..."



Aleja grabowa w Kurozwękach nosi dziś imię Stefana Żeromskiego. "Słiskie przegowane pnie grabów o barwie żmii strzdały w górę, wygnając się wżowio jak głąbie i żwinie ręce, które pod cimirami rozpływały się w deszcz łaci, w plonyki konarów".

("Popioly", rozdział "Drzewa w Grudnie")

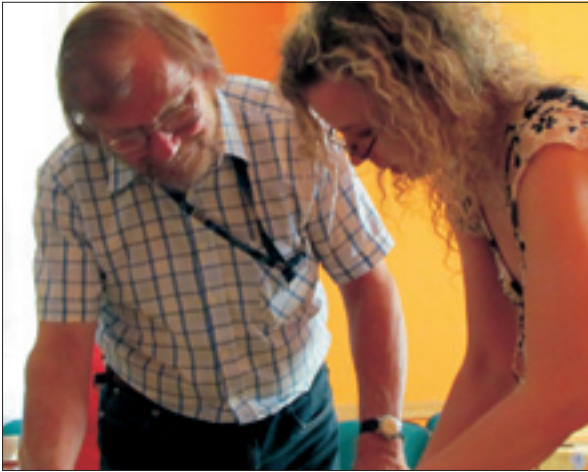
"(...)grabowa aleja jest całkowicie nową gotycką. Masz tu cudnie splecione ostrołaki, ze spletających się konarów, masz wysmukłe kolumny i wąskie naturalne okna, przez które przeląda się niebo".

("Dzienniki", Kurozwękie lato 1888 roku)



"Na dziedzińcu okrętyłem równą murawą widzisz elipsy dywanowych trawników, strzyżone płoty wygradzają sełki. Jedne z nich prowadzą do oficyn w stylu a' la Glupota, inne do oranżerii..."





Stefan Jurkowski i Monika Mazur



Stanisław Nyczaj – komisarz pleneru



Prezentuje się Marlena Zynger



Stanisław Nyczaj, Romuald Bielenda, Małgorzata Siemienieć,  
Kazimiera Szczykutowicz



Joanna Rzodkiewicz, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta,  
Władysław Sadłocha, Marlena Zynger, Monika Mazur



Uczestnicy pleneru przed stałą siedzibą – internatem Zespołu Szkół  
im. Śt. Staszica w Staszowie

Fot. Benedykt Kozieł

## Kielecka Biesiada Poetycka w Warszawie

W przeddzień **43 Warszawskiej Jesieni Poezji** (corocznej imprezy literackiej o wymiarze międzynarodowym) w dniu 15 października br. odbyła się **Kielecka Biesiada Poetycka** w auli **Domu Literatury** przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. To szczególna biesiada dla literatów z Kieleckiego Oddziału ZLP, bo zorganizowana w roku 30-lecia Oddziału. Podczas uroczystej gali swoją twórczość zaprezentowało 16 poetów z kieleckiego środowiska literackiego. Gościnnie wystąpiła poetka z Krakowa – Gina Jusięga. Biesiadę poprowadziła poetka **Władysława Szproch** – wiceprezes Kieleckiego Oddziału ZLP. Z muzyczną oprawą wystąpił duet wokalny-muzyczny z Gminnego Centrum Kultury w Rytwianach: Wiktoria Pikul – wokal i Kamil Kondek – muzyka.

Na Kielecką Biesiadę Poetycką przybyli członkowie ZG ZLP z prezesem **Markiem Wawrzkiem**

na czele. Przybyło także liczne grono pisarzy z Warszawy, z kraju i zagranicy. Najlicniejszą grupę stanowili członkowie **Warszawskiego Klubu Przyjaciół Ziemi Kieleckiej** wraz z prezesem Klubu – **profesorem Jerzym Jaskiernią**. Warto dodać, że Warszawski Klub Przyjaciół Ziemi Świętokrzyskiej skupia ludzi urodzonych na ziemi świętokrzyskiej, ale mieszkających i pracujących w stolicy. To przedstawiciele świata kultury, polityki i nauki. To piękne, że Ci ludzie nie zrywają duchowej łączności z ziemią swoich ojców, z krainą Stefana Żeromskiego.

Biesiada przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych, gdyż przy „słodko zastawionych stołach” wspomnieniom i dyskusjom nie było końca.

Należy dodać, że biesiadzie towarzyszył kiermasz książek poetów świętokrzyskich.

### Wiersze prezentowali między innymi:



Spotkanie prowadziła Władysława Szproch. Prezentuje się Romuald Bielenda



Beata Kępińska

Zdjęcia: Autorka





Benedykt Kozieł



Elżbieta Musiał



Henryk Morawski



Irena Stopierzyńska z mężem Januszem



Kazimiera Szczykutowicz



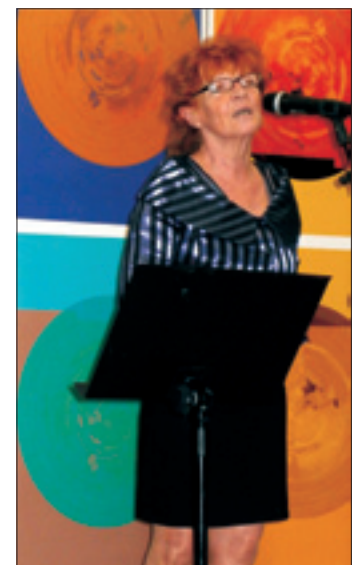
Władysława Szproch



Zofia Walas



Maria Włodno



Ewa Wojtasik



## Warszawska Jesień również w Oborach



To była już 43. Warszawska Jesień Poezji, do której i tym razem warto dopisać przymiotnik „międzynarodowa”. Zgromadziła bowiem nie tylko poetów z całej Polski, ale i zagranicznych. Tę edycję postrzegam jako kameralną, jeśli porównamy ją z poprzednimi. W ubiegłorocznych liczebność literackiej gromadki była imponująca, dochodziła nawet do 120 poetów. W tym roku było nas zaledwie 50 osób, zaledwie – gdy do podsumowań wpręgniemy bezduszną statystykę. Ale słowo „zaledwie” łatwo daje się zamienić na „aż”. Wystarczy tylko spojrzeć na naszą sztandarową imprezę przez pryzmat finansów. Niestety, sponsorów rokrocznie ubywa, a pieniędzy przydzielanych nam z wniosków jest coraz mniej. I z tego punktu widzenia minioną Jesień właściwie uważam za jakiś cud.

Można spytać, kto za tym cudem stoi? Odpowiedź jest oczywista: prezes Zarządu Głównego ZLP **Marek Wawrzkiwicz**. Na szczęście w organizacyjnych sprawach mógł polegać na **Aldonie Borowicz, Ryszardzie Ulickim i Piotrze Duminiu**. Aż dziw bierze, że przy lichocie finansowej i pracy tylko kilku osób udało się stworzyć tak klimatyczną imprezę, nadzwyczaj udaną i pięknie integrującą. Na jej obraz złożył się nie tylko ciekawy program, ale i dwa miejsca: Warszawa i Obory. A dopełnieniem byli już sami uczestnicy.

Zacznę jednak od Warszawy i Domu Literatury, w którym najpierw (16 października) odbył się wernisaż wystawy malarstwa Krzysztofa Rapsy, a potem poetycko-muzyczny koncert pn. *Miejsce urodzenia – Warszawa*. Wybrzmiały więc znane szlagiery, a wśród nich „Mam, tak samo jak ty, Miasto moje a w nim...”. I otóż właśnie, w tym mieście żyli i tworzyli nasi znakomici – nieżyjący już – koledzy: **Krzysztof Gąsiorowski, Roman Śliwonik i Zbigniew Jerzyna**. To ich wiersze w świetnej interpretacji aktorów **Grzegorza Damięckiego i Andrzeja Ferencza** dotykały na-

szej czułej pamięci. Tę trójcę znałam osobiście. A Krzysztof poświęcił mojemu pierwszemu poematowi obszerny esej. (Krzysiu, jestem Ci wdzięczna i jak dziś pamiętam swoją gorączkę, gdy go czytałam).

W Domu Literatury 18 października miały miejsce i inne wydarzenia, np. promujące antologię. (Jak tego dokonałeś, Marku, że jeszcze starczyło pieniędzy na 236-stronicową poetycką książkę z utworami i sylwetkami 35. zagranicznych i 61. polskich poetów). W auli czytaliśmy z niej swoje wiersze zapraszani przez prowadzącego, czyli Marka Wawrzkiwicza. Znów robił to z niezrównaną klasą. Zawsze się zastanawiałam, czy tego można się wyuczyć? Ale jeśli nawet, to tylko w niewielkim stopniu, bo to się przecież ma lub nie.

A pomiędzy 16 i 18 października były Obory k. Warszawy. Tamtejszy Dom Pracy Twórczej ma swój klimat i historię. Być może nad miejscem pieczę sprawują duchy Przybosia, Grochowiaka, Jerzyny i wielu, wielu innych, którzy rezydowali i tworzyli w tej literackiej Arkadii, bo człowiek tam taki „uniesiony”. W istocie jest to wymarzone miejsce do literackich dysput, seminariów i poetyckich zabaw. A takim właśnie poddawaliśmy się w Oborach. Nad podziw ożywioną dyskusję wśród uczestników wywołały wykłady prof. dra Andrzeja Zieniewicza „Poezja – strumień świadomości” i Leszka Żulińskiego „Poezja – strumień nieświadomości”. I gdyby nie recital Bogdana Łazuki i Czesława Majewskiego, rozmowy i polemiki zapewne trwałyby do dziś. Ale jeśli już jestem przy koncertach poprzedzających wytworne kolacje, nie mogę pominąć występu Joanny Rawik, którego wysłuchaliśmy 16 października. A to był pierwszy wieczór w pałacu w Oborach i... już stała się magia. Magia miejsca? Czy może roztoczyła ją sama artystka? Zdawało mi się, że głos pani Rawik, jej nagła i niezwykła w nas obecność dotknęły uspiionych strun naszej wrażliwości. W duchu śpiewałam wraz z nią (i z Chopinem w tle):

(...) Romantycznie – to jest szukać nowych prawd  
to jest zdobyć jedną z gwiazd

niech rozpali świat  
Romantycznie –  
znaczy gorycz trudnych chwil  
znaczy tysiąc przeżyć mil  
by odzyskać, by przebaczyć, by zapomnieć (...)

(*Romantyczność*, autor tekstu i kompozytor:  
Wojciech Popkiewicz)

PS

Dokumentacyjny obowiązek nakazuje mi jeszcze wspomnieć, że pierwszego dnia w auli Domu Literatury podczas inauguracji Warszawskiej Jesieni wręczone zostały niektórym z nas odznaczenia resortowe oraz literackie nagrody. Oto nagrodzeni:

**Elżbieta Musiał** (Oddział Kielecki ZLP) – Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”;  
**Danuta Bartosz** (Oddział Poznański ZLP) – „Zasłużony Działacz Kultury”;  
**Ekaterina Pollanskaja** (poetka z St. Petersburga) – Nagroda Literacka im. Jarosława Iwaszkiewicza za twórczość poetycką i translatorską;  
**Zbigniew Milewski** (Oddział Warszawski ZLP) – Nagroda Literacka im. Juliusza Słowackiego za całokształt twórczości, ale z uwzględnieniem tomu „Zagrabki”.

*Elżbieta Musiał*  
Tekst i zdjęcie

Medal Gloria Artis dla Elżbiety Musiał



43. Warszawska Jesień Poezji. 16-18.10.2014. Dom Pracy Twórczej w Oborach. Rodzinnie...

Fot. A. Milewska



Przy mikrofonie Krysia Konecka  
Fot. E. Musiał



Eugeniusz Kurzawa czyta z antologii  
WJP swój wiersz Fot. E. Musiał



Pamiątkowe zdjęcie na tle scenografii Elżbiety  
Musiał



## Wiesław Myśliwski i Stanisław Żak wśród zaszczyconych nową Odznaką Honorową Województwa Świętokrzyskiego

W 2013 r. ustanowiona została przez Sejmik Województwa Świętokrzyskiego nowa Odznaka Honorowa Województwa Świętokrzyskiego, zaś w bieżącym roku Komisja pod przew. Tadeusza Kowalczyka (w której skład miałem przyjemność wchodzić), rozpatrując 35 kandydatur, nadała Odznakę 10. osobom, instytucjom i organizacjom: wiceprezesowi Stowarzyszenia Forum Pracodawców Tadeuszowi Józwickowi, przew. Wojewódzkiej Rady Kombatantów i Osób Represjonowanych Maciejowi Lisowi, ks. Janowi Mikosowi, pisarzowi Wiesławowi Myśliwskiemu, pani wojewodzie Bożentynie Pałka-Ko-

rubie, przedsiębiorcy Michałowi Sołowowi, prof. Stanisławowi Żakowi oraz Fabryce Kotłów SEFAKO SA w Sędziszowie, Klubowi Sportowemu VIVE Targi Kielce, Ruchowi Obrony Regionu Staropolskiego. Uroczyste jej wręczenie nastąpiło podczas ostatniej sesji Sejmiku 13 listopada w sali konferencyjnej WDK.

Wśród odznaczonych znaleźli się, jak widać, dwaj wybitni twórcy z dziedziny literatury: pisarz Wiesław Myśliwski (nb. otrzymał ją wyjątkowo wcześniej, bo 24 października, podczas spotkania autorskiego w Starachowicach) i historyk literatury prof. Stanisław Żak, który – dziękując



Marszałek Adam Jarubas odznacza pisarza Wiesława Myśliwskiego

Fot. MBP Starachowice

w imieniu zaszczyconych – powiedział, że Odznaka jest dla nich „biletem w przyszłość”.

Przypominamy sylwetki twórcze odznaczonych

WIESŁAW MYŚLIWSKI (ur. 1932 w Dwikożach w Sandomierskiem), choć od wielu lat mieszka na warszawskim Ursynowie, utrzymuje żywy, autentyczny kontakt z regionem świętokrzyskim, obdarzony z wdzięczności przez wysoko ceniącą go naszą społeczność Honorowym Obywatelstwem Miast Sandomierza i Kielc.

Jest autorem powieści: *Nagi sad* 1967, *Pałac* 1970, *Kamień na kamieniu* 1984, *Widnokrąg* 1996, *Traktat o łuskaniu fasoli* 2006, *Ostatnie rozdanie* 2013 (za dwie z nich – *Widnokrąg* i *Traktat o łuskaniu fasoli* – otrzymał Nagrodę Literacką „Nike”, za *Ostatnie rozdanie* – Nagrodę Literacką m.st. Warszawy), jak również dramatów: *Złodziej* („Dialog” 1973, nr 7), *Klucznik* („Dialog” 1978, nr 6), *Drzewo* („Twórczość” 1988, nr 7), 1989, *Requiem dla gospodyni* 2000. Krytycy literaccy uważali go za reprezentanta nurtu chłopskiego, ale dziś zwycięża opinia, iż jego utwory znacząco wykraczają poza ten nurt. Tematyka moralna, egzystencjalna lokuje jego prozę wśród uniwersalnych przypowieści o skomplikowanej naturze świata i nieprzewidywalnym ludzkim losie.

Pełnił funkcję redaktora naczelnego kwartalnika „Regiony” i dwutygodnika kulturalnego „Sycyna”. Był wiceprzewodniczącym Narodowej Rady Kultury, członkiem ZLP (m.in. przewodniczył jego Komisji Kwalifikacyjnej). W latach 1986-89 należał do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Od 1997 r. jest przewodniczącym jury konkursu Ogólnopolskiej Nagrody im. Aleksandra Patkowskiego w Sandomierzu.

Uhonorowany licznymi nagrodami, medalami i odznaczeniami, m.in. Krzyżami Kawalerskim i Oficerskim OOP, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą OOP, złotym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

\*

W „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim” (2002, nr 3-4, s. 3-12) zaprezentowaliśmy pisarza szerzej z okazji 70-lecia urodzin. Na tę okazję staraniem Kieleckiego Towarzystwa Naukowego wydany został tom referatów z sesji naukowej w Akademii Świętokrzyskiej, przygotowany pod red. prof. Jana Paclawskiego. W 75-lecie urodzin pisarza Akademia Świętokrzyska im. Jana Kochanowskiego, Kieleckie Towarzystwo Naukowe i Wojewódzka Biblioteka Publiczna zorganizowały ogólnopolską sesję naukową 16 maja 2007 r. Referaty z sesji prof. Jan Paclawski – główny jej animator – zebrał w tom II pt. *O twórczości Wiesława Myśliwskiego*. Sesji towarzyszyła wystawa w Bibliotece Głównej Akademii Świętokrzyskiej obrazująca życie i twórczość autora *Widnokręgu*. Wojewódzka Biblioteka Publiczna wydała starannie opracowaną *Bibliografię podmiotową i przedmiotową* o pisarzu.

17 maja 2007 r. Akademia Świętokrzyska – obecny Uniwersytet Jana Kochanowskiego – na wniosek swego Senatu nadała autorowi *Traktatu o łuskaniu fasoli* tytuł doktora honoris causa. Dyplom doktoratu wręczyła pani rektor prof. Regina Renz. Pisaliśmy o tym wydarzeniu, uczestnicząc dużą grupą literatów („SKL” 2007, nr 3-4, s. 249-250).





Stanisław Żak (trzeci z lewej) wśród laureatów Odznaki Honorowej Województwa Świętokrzyskiego

Fot. Szymon Pawlak

Prof. STANISŁAW ŻAK (ur. 1932 w Kielcach) – literaturoznawca, publicysta, autor książek: *Maria Kuncewiczowa* 1971, *Literatura polska i obca (antyk, średniowiecze, renesans, barok, oświecenie)* 1973, *Proza narracyjna Ewy Szelburg-Zarębiny* 1990, *Słownik (kierunki, szkoły, terminy literackie)* 1991, 1998, *Cenzura wobec humanistyki* 1996, *Bolesław Garboś (poeta, filozof, prawnik)* 1997, „*Cudze chwalicie – swego nie znacie*”. *Obecność regionu świętokrzyskiego w kulturze narodowej* 1998, *Polscy pisarze nobliści* 1998, „*Jam nie z soli ani z roli*”. *Portret Stefana Czarnieckiego w literaturze polskiej* 1999, *Witold Gombrowicz (autobiografia, autokreacja, legenda)* 2000, *Ksiądz Stanisław Konarski (pisarz, pedagog, polityk)* 2001, *Czarne kwiaty (ks. Jan Kuśmierz, ks. Stanisław Kudelski, ks. Ludwik Szafranski)* 2004.

Senator I i II kadencji. Po strajkach sierpniowych w 1980 r. był aktywnym działaczem opozycji demokratycznej w regionie świętokrzyskim. Był jednym z założycieli „Solidarności” w kieleckiej WSP. Po wprowadzeniu stanu wojennego został dwukrotnie internowany. W okresie tym współtworzył więzienne pismo „Krata”, w którym przedstawiał wspomnienia i bieżące komentarze z życia internowanych.

Uhonorowany medalem „Vir Bonus” przez Stowarzyszenie im. Jana Karskiego w Kielcach (2007) oraz odznaką „Za Zasługi dla Kielecczyzny” (2011). Odznaczony Krzyżem Komandor-

skim OOP (2011). Otrzymał też odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

\*

W latach 1997–2003 był członkiem Zespołu Redakcyjnego „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, uhonorowanego przez Marszałka Województwa Świętokrzyskiego nagrodą zespołową im. Stanisława Staszica (1999). Opublikował w naszym czasopiśmie szereg szkiców, esejów i recenzji, odnosząc się m.in. w pogłębionej refleksji do walorów pisarstwa Wiesława Myślińskiego.

Opracował Stanisław Nyczaj



Stanisław Żak dziękuje w imieniu uhonorowanych Fot. Sz. Pawlak



Stanisław Bartos

**Pośród miejsc i słów ukochanych**

Powracam do miejsc sercu bliskich,  
matczyńskich słów zatroskanych,  
co kojąc poity duszę.

Choć było ich nie aż tak wiele,  
odległym czasem owianych,  
w dobrych i zawodnych chwilach  
powracam do tamtych stron  
i sięgam do tamtych słów,  
bo jak były zawsze,  
tak i są tuż, tuż –  
na otwarcie rąk,  
na dotknięcie ust.

**Ogród wspomnień**

Ogród moich wspomnień  
w wielodrzewnym krajobrazie,  
zanurzony w zieleni,  
życiodajną duszą króluje.

Wchodząc weń,  
stąпам po kobiercu traw  
pośród girland kolorowych kwiatów.  
Ich magicznej woni  
nie da się zapomnieć.

To było miejsce mojego dzieciństwa,  
ukazujące mi się czasem  
w rajskim przepychu  
i znikające  
niczym babie lato.

**Ścieżka, za którą tęsknię**

Kiedyś ugorów nie było.  
Każda ziemia wydawała plony,  
choć bieda czyhała  
na rozstajach dróg.  
Łąki wokół pachniały zielenią.

Wśród takich krajobrazów  
wiła się ścieżka mojego dzieciństwa

w ciepłym kolorze piasku.  
Na niej stawiałem pierwsze kroki.  
Pozwala się deptać we wspomnieniach,  
zostawiając na stopach  
śląd szarej powłoki.

Po latach otwały się przestrzenie gościńców  
i dopiero w miejskiej poświacie  
nostalgicznie ujrzałem,  
że był to mój jedyny  
twardy grunt  
przez wszystkie długie lata.

**Ulotna pewność**

W zakątku ciepłej jesieni  
pośród nitek pajęczych  
w promieniach przesianych gałązkami drzew  
niejeden liść zadrzy i gamą kolorów  
nostalgicznie przechodnia zachwyci.

Resztkami zieleni nadzieję obudzi  
i szeptem zaszeleści:  
– Cóż, spełniło się...

Porwie go nagły wietrzyk  
i na innym mchu  
jeszcze zaczepny rumieniec ostudzi.  
I niepostrzeżenie do snu przytuli,  
zanim odwieczna chciwość ziemi  
nie odbierze ostatniego tchu.



## Na rozdrożu

Znalazłam się w kłębowisku zmian,  
tylko jeszcze nie wiem jakich.  
Czy uszczęśliwią one mnie,  
czy dadzą mi się we znaki?

Miłość znużona ostygła,  
przestała być przewodnikiem  
moich życiowych wyborów  
i błędów mych powiernikiem.

Świat mnie błyskotkami mami,  
kuszą zatrute strumienie.  
Dzień stawia przed pytaniami:  
uległość, czy czyste sumienie?

Czym się należy kierować?  
W którą pójść teraz stronę?  
Czy umiem wykrzesać odwagę,  
by stanąć w mych zasad obronie?

Jakie są me powinności?  
Jakie wolności granice?  
Czy mogę powiedzieć głośno,  
że się za siebie nie wstydzę?

Na rozdrożu różnorodności  
pragnę wyborów swych dokonywać  
na miarę swoich możliwości,  
tak, aby kryteria wartości zachować.

Chcę też móc przekraczać siebie  
i do trudu jestem gotowa,  
by strzec tradycji korzeni.  
A serce proszę: – prowadź!

## Ogród Hesperyd<sup>1)</sup>

Do ogrodu Hesperyd  
chadzałam dawniej z rana  
rozkoszować się ich czarownym śpiewem.  
Przy muzyce fletni Pana

<sup>1)</sup> Hesperyd – strażniczki ogrodu, w którym rosły złote jabłka Hery, подарowane jej jako ślubny dar przez Gaję (Ziemię).

lubiłam tańczyć z nimi  
pod oliwkowym drzewem.  
Nie raz też podglądałam z ukrycia,  
jak zwinne prządki Parki  
snują nici życia.

Z Dionizosem wypijałam nawet  
ze dwie czarki upojnego wina,  
celowałam do tarczy słońca  
z łuku Apollina...

Zwietrzył interes Cerber,  
rozreklamował w folderach,  
stanął w bramie ogrodu  
i za wejście pobiera.

## We wspólnym kręgu

Wszystko wsłuchuje się w siebie nawzajem.  
Zagubiona ćma w lampie się bezradnie miota,  
z okiennicą ciągle mociuje się wiatr.  
Namysł otwiera uważności wrota,  
i nadaje trwaniu różnorodny kształt.

Wszystko potrzebne jest sobie nawzajem,  
razem tworzy doznań wielorakich świat.  
Trudna obecność, lecz przecież konieczna,  
żeby pamiętać, żeś synem tej ziemi,  
co pojąłeś dopiero, gdyś przeszedł drogi swojej szmat.

Istnienie przekroczeniem jest progu nicości,  
rzeczywistością jednak nie do przewidzenia.  
Daje czas na dojrzenie własnej przydatności  
w cierpliwym poszukiwaniu zrozumienia  
wzajemnych powiązań każdej drobiny.

Choć świat z pozoru pełen jest sprzeczności,  
choć miewa mielizny, upadki i wzloty,  
jest też sprawdzeniem siebie, dramatem wolności,  
wystawia rachunek za nasze wybory,  
wzmacnia czerpiących z mądrości wspólnoty.

Nie pozwól wymazać ze swojej pamięci  
bohaterów z historii naszej kart.  
Winni być wzorcami twoich wartości,  
a wybór kształtu twojej tożsamości,  
zaświadczy o tym, coś naprawdę wart.

Romuald Bielenda

## Kamień znaczący

*Pamięci odeszłych Kolegów*

Kiedy odchodzi człowiek  
taki z krwi i kości  
szukamy Tego  
co tłumaczy Światło  
w nieporuszonym dogmacie

Jawi nam się wówczas  
Anioł  
na kamieniu siedzący

Humanizm Zbawiciela  
zanosi do Ojca  
naszą drogę życia  
odsuwa kamień  
zmartwychwstanie znaczący

## Odkłamać Boże Narodzenie

To nie była stajenka  
Z siankiem i krowami  
Mógł żyć w niej baranek  
Koza  
Muł  
Osiołek miły  
Nie urodził się pod choinką  
Bo jej tam nie było  
W stajennej grocie  
Chłód trwoga  
Przerażały  
Radość cichą  
Nie zdradzały miejsca  
W grocie też  
Ciało Jego  
Zmartwychwstanie  
Narodziny wiary

## Pieśni Henryka Jachimowskiego

Henryk Jachimowski  
pisze pieśni  
świętami pobrzmiwa  
muzyka Marka Tercza

w niej brzmienie galaktyk  
rzuca cień  
na światło bezistnienia  
Skrzypce Michała Jelonka  
przenoszą święta  
spod choinki  
na Golgotę krzyża  
Unoszą chorałem  
Zmartwychwstanie  
prosto do Nieba

## Świąteczne porządki

Pojedziemy do Wilkowa  
posprzątać  
na przyjście  
Ozdobić Łysicę  
w choinkę Światła  
by trafił  
Rozpalimy ogień  
na ciepłe przyjęcie  
i złożymy go w wystruganej  
przez Żeromskiego  
kołysce Radka  
Ułożymy obok strumyka  
niech szemrze mu  
świętokrzyskie klechdy  
a babcia Jaga  
utuli  
odmieniona



Kołaz Ireny Nyczaj



## W zmowie z Aniołem Stróżem

– Proszę pani, niech mnie pani zapisze na kółko matematyczne – dobiegła ją na korytarzu cicha, ale stanowcza prośba.

Pani Ania aż się obejrzała, czy dobrze słyszy. Głos znajomy, charakterystyczna wymowa zgłoski sz, o węgierskim brzmieniu. Ogromnie wyraziście, jakby ktoś gwałtownie wysypał z szufelki drobne ścinki blachy. Marcin na kółko matematyczne? Raczej na zespół wyrównawczy. Przystanęła.

– Ty Marcin chcesz na kółko?

– Tak.

– Porozmawiamy jutro na lekcji.

– Nie, jutro nie, tylko nie to, proszę pani. Dzisiaj wszystko wyjaśnię. Ja to planuję już ponad miesiąc. Wszystko przemyślałem. I nawet wymodliłem opiekę u Anioła Stróża. Nikt się o tym nie może dowiedzieć. Tylko pani, ja i częściowo moja mama. I jeszcze mój Anioł Stróż oczywiście.

– Jak to?

– Bo ja na to kółko nie będę chodził! Pani wie, ledwie trójkę wyciągam. Nie będę chodził. Ja bym tam żadnego zadania nie zrobił.

– To o co chodzi.

– Wszystko wyjaśnię. Ja wiem, że to pani ostatnia lekcja. Będę czekał pod salą. Jest wolna. Sprawdziłem. Wszystko pani wyjaśnię, tylko niech pani po przerwie weźmie klucz i przyjdzie do matematycznej.

Poszła po przerwie pod salę. Jej dziecko czekało na nią w przedszkolu. Zawsze tak się cieszyło, kiedy wcześniej przychodziła. Znowu nie spełni obietnicy. Podchodząc zauważyła, że faktycznie Marcin czeka. A więc nie jakiś wygłup. Twarz spięta, trzęsące się ręce. Widać, że jest ogromnie zdenerwowany.

Otworzyła drzwi i wysunęła krzesło z za biurka. Usiadła obok. Nie chciała tak oficjalnie rozmawiać. Zapraszała go gestem do pierwszej ławki, ale odmówił. Zacierał ręce, jak przed jakąś rozgrywką sportową i stał w rozkroku, jakby zapewniał sobie równowagę ciała, a nie myśli. Uparcie stał. Zachęcała go do mówienia. Przebierał wargami i wreszcie zaczął:

– Moja mama bardzo chce, żebym miał lepsze stopnie z matematyki.

– To rozumiem. Mówiła na wywiadówce. Pragnie, abyś poszedł do technikum elektrycznego. Marcin, to dobra szkoła i zawód będziesz miał dobry.

– Ale ja nie chcę być elektrykiem i nie pójdę do takiej szkoły. Nie dam rady, właśnie przez matematykę. Fizyka dla mnie jeszcze gorsza. Te zadania!

– Marcin, mów jaśniej. Chcesz się poduczyć matematyki? Poproszę Rafała, pomoże ci. Wiem, te testy teraz... Trzeba szybko, a ty się musisz zastanowić.

– Proszę pani, ja nie chcę się tej matmy już więcej uczyć. Ja jej nienawidzę.

– To o co ci Marcin chodzi? Zajmujesz mi czas po lekcjach i kołujesz jak samolot, który nie widzi lotniska przez mgłę. Wyląduj wreszcie i mów jaśniej.

– Nie wiem, czy mogę powiedzieć, bo jak pani o tym powie mojej mamie, to ja, to ja, to ja...

– Marcin. Mów. Jak już tyle powiedziałaś, to mów dalej.

– Nie wygada się pani do mamy?

– Nie.

– Ja chcę w tym czasie jeździć do dziadka i babci. Rodzice są w trakcie rozwodu. Mama nie pozwala nam jeździć do dziadka, bo to jest ojciec mojego taty. Nie pozwala nam również spotykać się z tatą. Ja pani wszystko wytłumaczę. Tu mam nawet notes. Pani mi będzie podpisywać, że byłem.

– Marcin, co ty kombinujesz?

– Ja będę szedł na kółko. Normalnie z domu wyjdę na kółko. Wejdę do szkoły od frontu i wyjdę drzwiami obok sali gimnastycznej. Mój rower jest u wujka w rynku. Zawsze tam stoi, bo u nas w bloku nie ma miejsca. Ale mam też Pekaes. Tylko autobusem bym się spóźniał. Musiałaby pani trochę poczekać, żeby mi podpisać. Mama może zauważyć, że pani zgasiła światło w matematycznej. Od nas z okna widać szkołę. A ona ma bzika na punkcie matematyki. Zawsze mi mówi: – Patrz, tam całe dwie godziny dzieci rozwiązują zadania, a ty piętnaście minut nie możesz wysiedzieć przy matematyce.

– Marcin, to się wyda! Mnie tak nie wolno! Ja mam dziennik. Mam kontrole. Ja od-

powiadam osobiście za uczniów w czasie zajęć. To podstawowa zasada mojego zawodu.

– Ja nie muszę być w tym dzienniku. A po co? Niech się pani zgodzi, ja tej matmy będę się uczył, ile tylko będę mógł. Niech się pani zgodzi. U dziadków mieszkałem, gdy tata był w Libii. Ja ich bardzo lubię, i u nich jest mi tak dobrze. Dziadkowie nigdy się nie kłócą. Niech się pani zgodzi. Ja tak chcę do nich pojechać. Dziadkowi też o tym nie powiem. Nikomu nie powiem. Przynrzekam.

– A jak się wyda? Jak cię w autobusie ktoś zobaczy i zagada z mamą? A jak coś się wydarzy, ktoś się zorientuje... Wyrzucą mnie z pracy!

– Nie wyrzucą. Nikt o tym się nie dowie, a jak się wyda, to powiem, że poszedłem na węgry. Wszyscy zrozumieją, nawet mama, nawet dziadkowie, bo ja matmy nienawidzę. Przecież pani wie najlepiej, że ja bardzo chętnie poszedłbym na takie węgry. Nawet dwa razy już byłem. W zeszłym tygodniu zwałem z próbnego testu. Gdyby co, to ja wtedy powiem jak było, nawet w sądzie powiem. Ja się sądu nie boję. Byłem już trzy razy. Ostatnio pytali mnie, z kim chcę być po rozwodzie rodziców. Niech się pani zgodzi. Babcia była w szpitalu, nawet jej nie odwiedziliśmy. Niech się pani zgodzi.

– Daj mi czas do jutra. Odpowiem ci na matematyce.

Całą noc mocowała się z problemem. Jak ten Marcin kocha swoich dziadków, że aż taki plan pragnie wprowadzić w życie? A może to inna przyczyna? Rodzice zawodzą. Nie kochają, nie zapewniają podstawowych potrzeb dorastającego dziecka.

Rano wstała z postanowieniem, że jednak się nie zgodzi. Jest pedagog szkolny, niech on wypracuje jakiś ład w tej rodzinie. Przecież to piętnastolatek. A jak się coś stanie, a jak będzie wypadek?

Na drugi dzień Marcin wpadł na lekcję w ostatniej chwili. Jego błagalny wzrok spowodował, że nie powiedziała jasno – nie. Nie poprosiła go, aby został na przerwę, a przy klasie nie mogła przecież tej decyzji ogłosić. On rozumiał to jej wahanie jednoznacznie. Rozumiał, że się zgodziła. Po południu zobaczyła go biegnącego do szkoły już kilka minut wcześniej przed rozpoczęciem kółka.

To były dla nauczycielki bardzo nerwowe kółka matematyczne. Rozpoczęły się w marcu i trwały do końca maja. Każdy krok na korytarzu powodował u niej przyspieszone bicie serca, każdy człowiek biegnący ulicą przyprawiał ją o zawrót głowy. Pewnego razu zobaczyła go rozmawiającego z dyrektorką szkoły. To był ten czas, kiedy właśnie biegł po podpis. Zamarła. Ale on miał przygotowaną odpowiedź na taką ewentualność. Powiedział, że zrobił zadania, ale jednego nie jest pewien i biegnie do niej po pomoc. Marcin wszystko miał zaplanowane i wyliczone. Jedynie gdy padał deszcz, musiała poczekać kilkanaście minut, żeby przybiegł z przystanku autobusowego. Raz zapytała go, dlaczego ma mu podpisywać się w tym notesie. Nikomu przecież tak nie dokumentowała obecności. Odpowiedział, że to dla uspokojenia nerwów mamy.

– Mama powiedziała, że jeżeli mi się pani od matematyki podpisze, to dopiero uwierzy, że chodzę na kółko.

Brnęła. Dawała mu potem dodatkowe zadania, oczywiście łatwiejsze, niż na kółku. Rozwiązywał, a ona tam składała podpis. Chociaż tyle uczciwości i pożytku z tych kłamstw.

Pewnego razu nie pojawił się o umówionej godzinie. Telefonów komórkowych wtedy nie było. Pani Ania czekała już blisko godzinę. Aż ją głowa rozboleła od napływu czarnych scenariuszy i od pytań, co teraz powinna zrobić.

Do sali zajrzała woźna. To były takie czasy, że o woźną było trudniej, niż o nauczyciela. Z hałasem stawiała ocynkowane wiadro i inne akcesoria do sprzątnięcia.

– Co pani tak długo dzisiaj siedzi? Co to, nie ma co w domu robić? – zagadła po swojemu.

– Mam tutaj trochę materiałów do przejrzania. Zaraz kończę.

– A ten Marcin, to on już był?

Zawahała się. Co tu powiedzieć? A jak coś wie? Jak doniesie do dyrekcji albo do matki. Zebrała się w sobie i wywinęła się łgarstwem.

– Był, ale jeszcze ma wpaść, bo nie przyniósł tych zadań co potrzeba.

– A... to dobrze.

I poszła sobie. Na szczęście odechciało jej się sprzątnięcia. Mąż zaniepokojony, że nie wracała tak długo, przyjechał po panią Anię. Plątała się w wyjaśnieniach, a potem kłamała jak z nut, że jutro klasówka i nie ma przygotowanych zadań.

Przez uchylone drzwi pracowni cały czas obserwowała okno na korytarzu. Wreszcie zobaczyła biegnącego Marcina. Co za ulga. Męża wysłała po jakieś zakupy, nie chciała, aby był świadkiem tej rozmowy. Ledwie go namówiła na wyjście z sali. Zakupy zazwyczaj robili sami.

Marcin wpadł do sali niepodobny do człowieka, spocony i zdyszany.

– Co się stało?

– Autobus miał awarię, ale mnie nic się nie stało. Mój Anioł Stróż mnie ochronił. Biegłem, jak tylko mogłem najszybciej. Co najmniej cztery kilometry biegłem. Anioł Stróż czuwał nade mną.

– Widzę. Siadaj, ochłoń. Marcin, sam teraz rozumiesz. Ja tego dłużej nie wytrzymam. Co ty powiesz mamie?

– Że pani przedłużyła kółko, bo miała pani pożyczoną dyskietkę z programem o funkcjach liniowych. Proszę, niech pani też tak powie, gdyby co. Będzie jeszcze gorzej, jak przestanę chodzić na kółko. Mama pomyśli, że mnie pani wypisała i przyjdzie się spytać dlaczego.

– Idź już, Marcin, do domu. U babci wszystko dobrze? Wyzdrowiała?

– Tak. Mam nawet ciasto. Upiekła. Dała mi kawałek na drogę. Do domu nie zaniosę. Dobrze, że sobie o nim przypomniałem. Zaraz by było w domu śledztwo. Niech pani weźmie. Bardzo dobre, z kakao. Szkoda wyrzucić. Niech pani weźmie.

Wzięła. W domu rozwinęła paczuszkę. Tylko zapach był do wchłonięcia. Ciasto w czasie biegu rozkruszyło się, a potem zbiło w jakiś dziwny kształt. Tyle serca Marcina i jego babci zbiło się w bezkształtną masę.

Na wywiadówce podenerwowana drżała. Podała kartkę z ocenami matce Marcina.

– A jak tam u niego matematyka? – zapytała.

– Lepiej, niech pani popatrzy na oceny cząstkowe. Tu trzy z plusem się pojawiło. Dobra trójka wyjdzie na koniec – chwaliła ciut lepsze stopnie.

– A mówiłam mu już w zeszłym roku, żeby zapisał się na kółko matematyczne. Jakby mnie posłuchał i wcześniej zaczął chodzić, to i czwórka by wyciągnął. Od lepszych trzeba się uczyć, a nie na zespół wyrównawczy chodzić. Z jakim kto przestaje, takim się staje. A tak, to mu technikum elektryczne przejdzie koło nosa.

Na koniec roku Marcin przyniósł pani Ani upominek. Litrowy słoik pierwszych jagód.

Smak tych jagód pamięta do dziś. Smak słodko-kwaśny.

Nie rozmawiała o tym z nikim i nigdzie. Drugi raz na taki układ nie zgodziłaby się nigdy w życiu. Chciała o tym zapomnieć. I pewnie to opowiadanie by nie powstało, gdyby nie szkolna sprzątaczką. Na jednym z obiadów z okazji Dnia Nauczyciela zagadała o tym zdarzeniu. Annę aż w krzesło wbiło z wrażenia.

– Pani Aniu, a pamięta pani tego Marcina, co to chodził do pani na kółko matematyczne?

– Skąd pani wie?

– Skąd... Woźna wie więcej o uczniu, niż nawet sam dyrektor. Do was mówią zdaniem kontrolowanymi, a przy mnie i do mnie mówią wszystko. Wystarczy zejść do szatni. To był kiedyś mój sąsiad w bloku. Znałam kłopoty Marcina i współczułam mu. Martwiłam się o niego i pomagałam to wszystko ułożyć. To ja podpowiedziałam mu to kółko i niepokoiłam się razem z panią, gdy nie wrócił na wyznaczoną godzinę. On tak potrzebował dziadków jak kania deszczu.

– To pani wszystko wiedziała?

– Wiedziałam. Marcin potrzebował pomocy. Wszystko mu się waliło. Był bardzo wrażliwy. Jak on się bał rozvodu rodziców. Ale dzieci się nie liczą w takich sprawach. Nie liczą. Najpierw mieszkał z tatą, później z mamą, jeszcze potem u dziadków... Kiedyś mówił mi, że on się nigdy nie ożeni. Małżeństwo traktował z podejrzliwością, nieufnie.

– Co u niego teraz? – zapytała pani Ania.

– Nie wiem. Jego rodzina się rozleciała, on gdzieś za granicą, jego brat także. Jego matka ma nową rodzinę, ojciec nową... Takie czasy, pani Aniu, takie czasy... Niech pani o tym napisze. Może chociaż jedno małżeństwo zastanowi się i weźmie pod uwagę, że dla dzieci rozwód rodziców to wielki wstrząs i nie powinno się go jeszcze potęgować izolacją od dziadków, bo nawet Aniołom Stróżom może zabraknąć mocy na łagodzenie takich spraw. A uczuć młodego człowieka nie powinno się niszczyć. Nie powinno.

*Anna Błachucka*



## Baśń o odwróconym czasie

W czasach bardzo zamierzchłych  
Istniała kraina  
W której dzień zwykł się kończyć  
Zanim się zaczynał

Jak nietrudno więc zgadnąć  
Nie było tam czasu  
By obejrzeć wschód słońca  
Nim go przyćmił zachód

Tą niezwykłą krainą  
Rządził pewien książę  
O imieniu przedziwnym  
Wołano nań „Pośpiech”

A ponieważ swą władzę  
Obejmował wszystko  
Mógł bez trudu to sprawić  
By z przeszłością przyszłość

Pozamieniać miejscami  
Dzięki czemu właśnie  
Kiedy miało się ściemniać  
Robiło się jaśniej

Nawet pies był zdumiony  
Gdy chciał biec do przodu  
Bowiem wciąż go poprzedzał  
Jego własny ogon

W tej krainie niełatwo  
Się było dogadać  
Ktoś przedstawiał się: „Adam”  
A brzmiało jak „maDA”

Choćby bowiem najprostszym  
Jakieś zdanie było  
Dało się go usłyszeć  
Wyłącznie od tyłu

W owym kraju w przyczynę  
Zamienił się skutek  
Tylko ten mógł wpaść w sidła  
Kto z nich wcześniej uciekł

Konsekwencją zaś tego  
Były różne cuda:

Ktoś powracał z podróży  
Zanim w nią się udał

Względnie na świat przychodził  
Tuż po własnej śmierci  
Gdyż ostatnim na mecie  
Był ten kto był pierwszym

W tym okresie świat cały  
Stał jakby na głowie  
Nim ktoś o coś zapytał  
Wcześniej znał odpowiedź

A choć zabrzmiało głupio  
Jednak daję słowo;  
Zanim ktoś się ożenił  
Wcześniej miał teściową

I sam nie wiem jak długo  
Trwałby ten stan rzeczy  
Gdyby książę nie spostrzegł  
Że głupotą zgrzeszył

Bowiem wciąż tak się spiesząc  
Cofał się do tyłu  
Wcześniej wiedział co będzie  
Niż to co już było

Poza wszystkim ten pośpiech  
Miał też inną wadę  
Trudno było się bowiem  
Nacieszyć obiadem

Który musiał wpierw wrócić  
Nim został zjedzony  
Zanim bowiem ktoś zjadł go  
Wcześniej był strawionym

A co gorsza nasz książę  
Bać się zaczął żony  
Gdyż próbując ją posiąść  
Czuł się odrzuconym

A że z tym żadną miarą  
Nie mógł się pogodzić  
Odkrył prawdę iż spieszyć  
Się trzeba powoli

Przykład księcia zaś dla nas  
Dowodem jest na to  
Że rozsądek nie zawsze  
W parze idzie z władzą

**Jarosław Zieliński**  
(1971–2012)

Napisał sto siedemdziesiąt wierszy,  
Czy może więcej.  
Należy to sprawdzić,  
Przejrzeć każdą kartkę,  
Która po nim została.

Sto siedemdziesiąt razy  
Pochylał się nad światem  
I nad sobą.  
Rozszyfrować trzeba to  
Koniecznie.

Może uda nam się  
Ujrzeć Go  
Bliżej niż siebie,  
I powstrzymać się  
Z precyzją wyroku.

Zmarli poeci nie milczą,  
Są naszym sumieniem i drogą,  
Którą należy iść,  
Choćby zawracając i błędząc,  
Iść ku tej samej ciemności,  
Nie czekając na przyptyw  
Ani na świt.

**Na śmierć Tadeusza Różewicza**

Tak długo żyłem w Twoim cieniu,  
Że uwierzyłem  
Jesteś nieśmiertelny,  
Jak słowo, które może wszystko znaczyć  
I może nic nie znaczyć.  
Coś o tym wiedziałeś  
Na gruzach słów  
Gdyś budował mozolnie nowe królestwo.  
Wiem. Brzmi to patetycznie  
Dlatego nic więcej nie dodam,  
Bo nie odnalazłem słów,  
Które byłyby znakiem Twojej wielkości.

24.04.2014

Ameryka strzela do siebie.  
Na ulicy, w szkole,  
w markecie i w kinie,  
na paradzie, w metrze. Wszędzie.

Ameryka strzela do siebie.  
Z karabinu i z pistoletu.  
W odwodzie ma granat.  
Ale wprawdzie strzelała do Indian  
na prerii. W kanionie. W lesie.  
Kowboje strzelali do kowbojów.  
Szeryf do bandytów,  
bandyci do szeryfa.

Zwykli ludzie  
strzelają do zwykłych ludzi.  
Mąż do żony,  
dziadek do babci,  
babcia do wnuczka,  
uczeń do nauczyciela,  
brat do siostrzyczki,  
kibic do sportowca.

Ameryka strzela do siebie.  
Aż się zastrzeli. Wystrzeli.  
Podstrzeli. Ustrzeli.

Ameryka strzela sobie  
samobója.



## Przepraszam

Przepraszam:

Za wszystko to co powinnam powiedzieć  
a nie powiedziałam

Za wszystko to co powiedziałam  
a nie powinnam

Za wszystko czego nie uczyniłam  
a powinnam

Za wszystko to co uczyniłam  
a nie powinnam

Przepraszam:

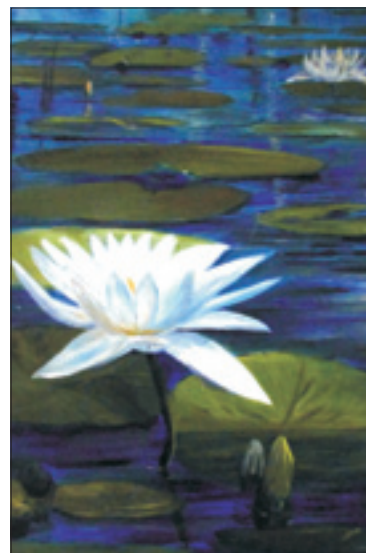
za niewypowiedziane pochwały  
mój upór, przekorę  
za powstrzymany uśmiech, podniesiony głos  
brak cierpliwości, zrozumienia  
każdy nieumyślny cios  
za Twoje wszystkie (o mnie)  
niespełnione marzenia  
za brak codziennej obecności  
stracony bezpowrotnie czas  
za skąpstwo w okazywaniu miłości  
żyjącej w nas

## Przebudzenie

Czym byłby mój świat  
bez radości w Twoich oczach  
uśmiechu Twoich warg  
Bez miłości, ciepła, życzliwości  
napotkanych na mojej ścieżce ludzi  
zachodów i wschodów słońca  
burz i wypogodzeń  
deszczu pojącego wysuszoną ziemię  
zapachu traw i kwiatów, szumu drzew  
nocy gwiazdzistych i marzeń na jawie  
snów o potędze  
upadków, wzlotów, olśnień i uniesień  
poranków... pełnych nadziei  
na lepszy dzień... na przebudzenie

## Pocieszenie

Żal się kiedyś wyzali  
ból... wyboli do końca  
smutek wysmuci  
rany zabliznią...  
A gdy miłość się wypali  
ogrzeje nas ciepło słońca



Marzena Kasprovicz: *Lilia wodna*

## Żrebak

*Adamowi  
Ochwanowskiemu  
i Maryni Juchnowskiej*

Wierzęgam i nie chcę  
żadnej uzdy zakładać  
ja żrebak – wolny!  
skubiący rumianki i ostry  
raz z ciekawości  
innym razem z głodu

nie chcę żadnego  
pachnącego siana  
ani owsa  
szopy cieplejszej  
wolę jesienne szrony!  
podnieca mnie bardziej  
zapach własnych wyborów

Z poplątanych snów  
wyskoczę albo i nie  
gdyż mojej radości to służy  
Cóż mi z radości innych  
kiedy moją zagubię?

Jestem pomiędzy wielkością  
a beznadziejnością  
gdzieś w połowie

Upaść nie upadnę  
Wzbić się również mogę  
Raz odczuwam ulgę  
innym razem trwoję

Z najnowszego tomu autorki pt. *Drzazgi*



## **Szkiełko i oko**

W niebo patrzysz  
szklanym okiem  
teleskopu Hubbla.  
Kreatora szukasz  
Demiurga  
ukrytego w mgławicach  
galaktykach  
obcych Słońcach.  
I myślisz  
że On widzi ciebie  
drobinę  
bakterię  
w trzewiach Lewiatana.

## **Zima na Majdanie Kijów 2014**

Zryw wolności  
na Majdanie.  
Krew przelana.  
Tani towar  
w obfitości płynie.  
Kupczą nim  
za srebrniki,  
za obietnice,  
za nadzieję  
kupcy-blagierzy.  
A przecież raz tylko  
Dawid z procą  
pokonał Goliata.

## **Bezsenność**

Księżyc  
gałązką światła  
puka w okno.  
Spać nie daje.  
Nadal pamięta  
że kiedyś  
moje ciało  
żyło w jego rytmie  
choć ja już o tym  
zapomniałam.

Ręce spracowane  
składasz do modlitwy  
stara kobieto.  
Na kolanach  
błagasz o siłę.  
Nie dźwigasz  
z arogancką pychą  
cennych futer  
i woalek na sobie.  
Myśli masz proste  
pod nakryciem głowy.  
Pomódl się za tych  
co tak podle wykpił  
twój odświętny  
beret moherowy.  
Noś go jak koronę  
dumnie.

## **Kiedyś...**

Na horyzoncie zdarzeń  
spotkamy się kiedyś  
gdzie życie  
rozbite w atomy  
marzeń  
bez bólu uderzy  
w ścianę czasu  
aby sprawdzić  
co jest za murem  
wieczności.

## **Porządki**

Melancholia  
elegancka siostra  
Smutku  
otworzyła ze mną  
szuflady wspomnień.  
Papiery poukładała  
fotografie przejrzała  
stare kalendarze  
spalić doradziła.  
W kącie siadła  
i udaje  
że jej nie ma.  
Nie wiem  
kiedy odejdzie  
wiedźma.

## Perspektywa

Idziemy żabą  
bo tak jest bezpieczniej  
świat zamykamy  
skrzywionym obrazem

za nami tyle  
co chcemy przeskoczyć

przed nami  
krzywa  
żabiej perspektywy

## Wierzby

Idą wzdłuż drogi  
po miedzy do wzgórze  
stoją przy krzyżu  
gromadzą się w ciszy

idą wzdłuż rowu  
przez niebo do źródła  
patrzą zza siebie  
kształtem niepokoju

idą przez noce  
szeregami świadków  
zgadują rano  
nasze pierwsze kroki

idą wraz z nami  
w rozpoznanych słowach  
przeczyć milczeniu  
zadziwiać spotkania

## Trzeba iść

Tak jak się przyszło  
z obłoków  
z doliny  
trzeba iść dalej  
za Chylową Górę  
za lustro rzeki  
w rozstawione drzewa

nieść  
wszystko z sobą  
co się udźwignęło

w gęstwinie znaczeń  
wymieniać obrazy  
dodawać barwy  
składać w strumień światła

zgadywać siebie  
w nieprzewidywanym  
znajdować drogę  
która się nie kończy  
dawać sobie szansę

## Z dzieciństwa

Patrzyłem  
w brzeg świata

po wyrębie sosny  
drzewa przemówiły  
nowym horyzontem

pytałem tatę  
co napisał las

czytane resztki koron  
prowadziły mnie  
do przeczuwanych słów

prześwity nieba  
zapisywały moją ciekawość

## Poety nie stać na okup

Poeta zawsze zaczyna  
od początku  
Każdy jego wiersz  
to nowe odkrycie  
Wymyślone przez niego  
metafory należy chronić  
aby nie wpadły w ręce  
porywaczy  
bo poety nie stać na okup  
a policja odmawia śledztwa  
w sprawie mało szkodliwej  
społecznie  
której wartości nie daje się  
przeliczyć na złotówki

## Spotkanie integracyjne

Chciałem podawać panom  
w białych kołnierzykach  
na integracyjnej kolacji  
białe wiersze  
ale w ostatniej chwili  
zrezygnowałem  
bo poezja moja  
nie nadaje się na biznesowy  
suto zastawiony stół  
choć zapalono na nim  
świece w połączonych lichtarzach  
no cóż wiersze XXI wieku  
są niestrawne dla wodzirejów  
bankowych kont  
dla nich przyspieszenie  
bicia serca  
powodują spadki i wzrosty  
na giełdach

## Koniec egzystencji

Rzeczywistość atakuje nas  
ze wszystkich stron  
my się jej wyrwyamy  
ale wszędzie zastawione są  
pułapki  
w duchu śmiejemy się

z tego  
bo każdy nasz krok  
grozi nam wdepnięciem  
w bagno cywilizacji  
doszliśmy do muru  
którego przekroczyć się nie da  
i zburzyć się nie da  
a to jest koniec naszej  
egzystencji  
gdzie kończy się czas  
a zaczyna czarna dziura  
bezgranicznego kosmosu

## Moi chorzy

Przez wiele lat  
żyłem z nimi  
za pan brat  
Kocham ich  
schizofrenię  
depresję  
i manię  
Zachwycałem się ich  
nie z tej ziemi  
metaforami  
które były  
czasem wesołe  
czasem smutne  
Niekiedy pojawiał się  
wśród nich  
profesor Antoni Kępiński  
który pytał  
jak się czują  
ich urojenia  
Oni pytali jego  
kiedy zostanie  
naprawiony telewizor  
bo nie mogą oglądać  
Dobranocki  
Profesor nagle  
znikał im z oczu  
ale oni nadal  
rozmawiali z nim  
o swojej doli i niedoli  
i pytali go  
kiedy zostaną  
wypisani do domu

*Noc z dnia 20/21.01.2013*



## **Fraszki**

### **Los satyryka**

Satyryka los  
To pisać pod włos.

### **O pewnym polityku**

Populizm i demagogia  
To jego ideologia.

### **Pchła**

Niejedna pchła  
Groźniejsza od psa.

### **O jednym polityku**

Miał dużo dobrych intencji,  
Lecz brakło mu kompetencji.

### **Mickiewicz na Krakowskim Rynku**

Stoi na cokole i marzy,  
Jak by zmyć guano z twarzy.

### **Rada**

Na pisanie powieści czasu nie miałem wiele.  
– Pisz fraszki – poradzili mi przyjaciele.

### **Opozycjonista**

Walczyć z rządem przestał,  
Gdy wszedł na rządowy piedestał.

### **Gniazdko**

Niejeden gniazdko sobie mości  
Z ludzkiej naiwności.

### **Kanciarz**

W życiorysie robi kanty,  
By udowodnić, że był anty.

### **Tempus fugit**

Imiona i nazwiska uciekły z pamięci,  
Pozostały tylko niespełnione chęci.

### **Jest super**

Jest super, tego ukryć się nie da.  
Jest superbogactwo i superbieda.

## **Jednokomórkowce**

Jak po górskiej hali owce,  
Chodzą po ulicach jednokomórkowce.

### **O jednym**

Jego etyka  
Jego nie dotyka.

### **Kolejność**

On rozbierać ją zaczyna...  
Oczyrna.

### **Długa droga**

Długa jest droga  
Do Pana Boga.  
Na cztery nogi kuty  
Idzie na skróty.

### **Chora kacuszka**

Ta kacuszka jest chora,  
Gdy nie ma przy niej kaczora.

### **Świątokrzyskie**

Świątokrzyskie niejednego zmienia...  
W jelenia.

### **Debiutant**

Uderza w konkury  
Do literatury.

### **Mój wybór**

Niektórych grzeszników bardziej wolę,  
Niż tych, co mają aureolę.

### **Selekcja**

Niekiedy władza robi sobie  
Czystki przy żłobie.

### **Śmierć polityka**

Zmarł znany polityk.  
Był nieugięty,  
Zostały po nim przekręty.

### **Czasem**

Czasem i oszołomy  
Robią przełomy.

*Jan Lechicki*

## Dysk

Od rana chandra mi doskwiera.  
Właśnie padł dysk od komputera.  
A ja się snuję wciąż po chałupie  
i coś mi strzyka i coś mnie łupie,  
coś mnie przygina i coś mnie skręca,  
nie mogę sobie dziś znaleźć miejsca.

A kiedyś przecież miło się żyło,  
choć komputerów wcale nie było.  
Ludzie działali i pracowali,  
i na jednego czasem chadzali...  
I nikt niczego więcej nie szukał,  
a dziś od Googla i od Facebooka  
człowiek jest taki uzależniony,  
jak od gorzałki albo od żony.  
A ktoś, kto przed nim sprytnie się kryje,  
to mówią o nim, że już nie żyje.



A ja po cichu wyznam Wam szczerze:  
w magię Facebooka wcale nie wierzę.  
To wszystko dla mnie jest zbyt techniczne,  
nienamacalne, nieromantyczne.  
Bo gdy godziny wieczorne płyną,  
nie mam ochoty gadać z maszyną.  
Po co kontakty mi wirtualne?  
Zapewniam wszystkich – wolę realne.

## Lipostowie

Zapytano raz kiedyś pewnego Filipa  
co też w języku polskim znaczy słowo „lipa”.  
Pierwsze, co bez namysłu do głowy mu wpadło:  
„Drzewo, w którego cieniu chętnie by się siadło”.

Fraszki Kochanowskiego na półce znalazłam,  
ale już od tygodnia głowię się i nie wiem  
czemu tak szlachetnego rodu drzewa nazwa  
oznacza też tandetę, fałsz, chłam i badziewie.

„Gościu, siądź po mym liściem a odpocznij sobie”.  
– stawił Mistrz Jan swą lipę, choć żal serce ściszał.  
I dalibóg, dam głowę, że w ówczesnej dobie  
on strudzonym wędrowcom lipy by nie wciskał.

Lecz jak długo tak w skwarze można podróżować?  
Kiedy już się rozsiedli pod lipą pątnicy,  
dano im było wreszcie z lipy zakosztować  
najzaczniejszego miodu w całej okolicy.

Był to miód najświetniejszy, przez szlachciców pity.  
Z tandetą i badziewiem nie miał nic wspólnego.  
Trunek najwyborniejszy, trunek znakomity!  
A nazwa drzewa – „lipa” – lichy wie dlaczego...

Cóż rzec, nasz naród polski pełen jest sprzeczności.  
Stąd też wiele sprzeczności bywa w polskiej mowie.  
Lipy w sklepie nie kupuj, na miód zaproś gości,  
a gdy siądą pod lipą, wznies toast: „Na zdrowie!”

Rys. Krystyna Guranowska-Stolarz

## Bard

(na motywach autentycznego zdarzenia)

Był już dość późny wieczór. Po obejrzeniu Teatru Telewizji przeszedłem do swojego pokoju, usiadłem przy biurku i zacząłem porządkować jakieś materiały służbowe. Zza ściany dochodziła przytłumiona melodia modnego właśnie szlagieru, przegrywanego po raz któryś z rzędu przez dwie moje nastoletnie córki. Poza tym w mieszkaniu panowała zupełna cisza. Zdawało się nawet, iż dochodząca z drugiego pokoju muzyka tylko tę ciszę potęguje.

I nagle w ten spokój domu, gotującego się powoli do snu, wdarł się ostry dźwięk dzwonka, który po krótkiej chwili powtórzył się po raz drugi i trzeci. Zdawało się, że kolejne dźwięki były jakby coraz mocniejsze i coraz bardziej niecierpliwie.

Niechętnie podniosłem się z fotela i uchyliłem wejściowe drzwi. Wytężyłem wzrok i dostrzegłem w półmroku nieznanego mężczyznę w trudnym do określenia wieku – niewysokiego i szczupłego. Na pierwszy rzut oka wyglądał najwyżej na trzydzieści kilka lat, kiedy jednak nieznamy stanął w ostrym snopie światła, natychmiast wniosłem poprawkę – przybysz wyglądał bowiem na co najmniej piętnaście lat więcej. Jego twarz poorana mocnymi krechami kilku głębokich bruzd i gęstą siecią drobnych serpentyn wokół oczu – świadczyła o jakichś silnych i trudnych przeżyciach, które tego mężczyznę przedwcześnie postarzały.

Zwracały też uwagę jego usta. W ich kącikach błękał się ni to uśmiech, ni to grymas uśmiechu, zaprawionego wyraźną ironią. Zaś mocno zniszczona welwetowa kurtka, wytarte do granic dżinsowe spodnie, a także schodzone buty, dowodziły, że ich właściciel może z przekonania, a może z konieczności – nie przykładał większej wagi do swojego ubioru i to nawet wtedy, kiedy wybierał się do kogoś z wizytą.

Tymczasem zaś obserwowaliśmy się uważnie. Po pewnej chwili nieznamy oderwał jednak wzrok od gospodarza. Zauważyłem, że zachwiał się lekko, choć starał się trzymać prosto na nogach. Do tej chwili nic właściwie nie mówił. Teraz jednak przerwał wreszcie milczenie:

– To tutaj... przepraszam, czy to właśnie tu mieszka pan X? – zapytał.

– Tak, to ja – odrzekłem – słucham pana.

– Mogę wejść? – spytał – i nie czekając na zaproszenie, wszedł zdecydowanym krokiem do pokoju. Byłem trochę zaskoczony tą obcesowością, ale zapraszającym

gestem ręki wskazałem wolny fotel w moim gabinecie. Przybysz skwapliwie skorzystał z zaproszenia i nie wykazując zainteresowaniem osobą gospodarza, o którego przed chwilą pytał, rozglądał się ciekawie wokół. Kilka razy przebiegł wzrokiem – jakby uważniej – po ścianie, przy której stały wysokie regały, wypełnione od podłogi aż po sufit książkami. Po chwili odwrócił jednak oczy od książek i ze zwiększoną uwagą zaczął przyglądać się reprodukcjom obrazów dwu wybitnych malarzy.

– To Chełmoński – powiedział nagle – a to, to chyba...

– ...Monet – wszedłem mu w głos, widząc, że zastanawia się i szuka nazwiska artysty. – *Pole maków* Moneta – dodałem.

– Tak, Moneta – potwierdził półgłosem.

– A ten? Kto jest jego autorem? – spytał, patrząc na niewielki obrazek zawieszony nad kanapą.

– To oryginał – pochwaliłem się. – Mam go od niedawna, a przedstawia kępę brzoź na przedwiośniu, przeglądających się w rwących potoku. Otrzymałem go od zaprzyjaźnionego, malarza – profesjonalisty. Informowałem go o tym dość obszernie, choć nie byłem o to przecież proszony.

Ale nieznamy usłyszawszy to, spojrzał na mnie trochę dłużej i jakby baczniej. Ale już po chwili zmienił pole swojego zainteresowania. Teraz patrzył z ciekawością i to niezwykle uważnie – na mały obrazek bez tytułu.

– To także oryginał. Jestem bardzo dumny, że go posiadam – powiedziałem, choć mój gość o nic nie pytał.

Nie dodałem, że to także prezent i że jego autorka jest artystką po studiach malarskich. Byłem bardzo ciekaw, co w tym obrazku dojrzał intrygującego mój wieczorny gość.

Obrazek zaś przedstawiał wiejski pejzaż w środku upalnego lata. Trzy czwarte jego powierzchni zajmowało pole dojrzałego zboża. Ciepły ugier rozjaśniony jeszcze słońcem skwarne dnia dominował na płótnie. Żółto żniwnego krajobrazu ustępowało jednak w rogu skrawkowi niezwykle soczystej zieleni – zieleni łąki, prześwietlonej promieniami lipcowego słońca.

Granicę pola i łąki stanowiła na obrazie piaszczysta droga, którą fantazyjnymi zakrętami biegła gdzieś w górę – aż poza linię horyzontu. Stała tam mroczna kępa drzew, już bardzo zmęczona upałem, ale kontrastująca jednak ze złotem łanów zboża i z błękitem nieba...

Miałem ten niezwykle obrazek już od paru lat, więc teraz nie obserwowałem go z takim zainteresowaniem, jakie było widoczne na twarzy nieznanego. Obserwowałem raczej twarz gościa. Widać było, że oglądanie niewielkiego obrazka sprawia mu niezwykle przyjemność, a nawet radość i że jego tematyka jest mu niezwykle bliska. On zaś wstał z fotela, zbliżył się do dzieła, po czym cofnął się o krok, stanął nieco z boku i podszedł znowu. Wreszcie –



odwróciwszy się do mnie – z wyraźną aprobatą w głosie ocenił oglądany pejzaż krótko, ale wyraziście:

– To dobre – powiedział – a raczej bardzo dobre... i prawdziwe... A do tego jakieś takie bliskie...

Patrzyłem na mojego gościa coraz bardziej zdziwiony, a nawet zdumiony. Nie miałem zupełnie pojęcia, kim jest ten nieproszony mężczyzna, który zna nazwiska luminarzy malarstwa, a do tego zna się na sztuce i umie ją ocenić. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że najbliższe minuty to moje zdziwienie znacznie spotęgują.

– Z czym pan do mnie przychodzi? – zapytałem, widząc, że gość nasycił wreszcie swoją ciekawość.

– Z czym? – powtórzył dosłownie moje pytanie. Widać było, że dopiero teraz uświadomił sobie, o co pytam i że czas podać nareszcie, jaki jest cel jego wizyty.

– Otóż słyszałem – powiedział wolno – że pan pisze, no, to znaczy: tworzy... Pisze pan poezję i prozę... Wiem, że drukują pana w prasie i w książkach.

I nagle ku mojemu zaskoczeniu wyrzucił z siebie: – Bo ja, proszę pana, także piszę... – tu zatrzymał się na chwilę i powiedział z goryczą: – Ale mnie nie drukowali dotąd, więc...

– Ja nie jestem krytykiem literackim... – zaczęłam niepewnie, ale przerwał mi szybko i twardo:

– Nie o to chodzi, nie o to chodzi. Ja po prostu sporo o panu słyszałem, a nawet to i owo przeczytałem. To dlatego chciałem zobaczyć, jak wygląda poeta, jak mieszka i jak żyje...

Patrzyłem na mówiącego zupełnie zaskoczony. Nie wiedziałem tylko: kpi czy o drogę pyta. W kącikach jego ust wciąż czaił się ni to uśmiech, ni to grymas ironii.

– Więc to tak – rzekłem, siłąc się na żart – no cóż, niech pan sobie mnie ogląda.

– Ja nie żartuję... naprawdę chciałem po latach znów porozmawiać z poetą. I sprawdzić, jak żyje, co myśli, co czyta...

– Po latach... – nawiązałem do jego słów – Czy to znaczy...

– Ale jestem zawiedziony – powiedział, bagatelizując moją ciekawość i ciągnął swoją myśl dalej: Zawiedziony, i to już drugi raz, bo przedtem, zanim do pana przyszedłem, byłem u innego poety, mieszkającego w innym mieście. Ale stwierdziłem, że wszyscy jesteście do siebie podobni, a nieraz nawet bardzo podobni – podkreślił z naciskiem – bo macie takie samo gniazdko domowe, podobne płytki i boazerię, szafy pełne książek, biurko do pracy, a nawet krawat... no i rodzinę – wyliczał dalej wyraźnie ironizując. I dodał:

– Słowem, to jest właśnie ta wasza mała sta-bi-li-za-cja – skandował dobitnie sylaby obcego wyrazu.

– A ja myślałem – ciągnął – że twórcy, a zwłaszcza poeci – uściślił – są jak tamci, których znałem – jak Bursa, Wojacek, Riedel czy Stachura... – wyliczał jednym tchem nazwiska niezżyjących już polskich kaskaderów literatury. – Myślałem, że wy tak jak oni – życie nie dla siebie, ale przede wszystkim dla innych... Ale pan ich nie znał, a ja...

– Pan ich znał? – próbowałem zszokowany dojść do głosu.

– Tak, znałem, ale niech pan nie przerywa – znałem ich wszystkich, zwłaszcza Bursę i Stachurę... A Bursa, panie, co to był za człowiek, co to był za człowiek... – podniósł głos z zachwytem. – Panie, ja znałem go od dziecka i jego rodziców, a zwłaszcza jego wspaniałą matkę... Podobnie jak dobrą matkę Stachury. Zresztą wszystkie matki są dobre – dodał z naciskiem. Po chwili podjął znowu przerwany temat.

– Z Bursą zaś rośliśmy i wychowaliśmy się razem, grałiśmy w palanta i w nogę. A później – ciągnął swą opowieść – później widziałem, jak pisał swoje zbuntowane wiersze i prozę, a nawet powieść *Zabicie ciotki*, jego wizyjne liryki połączone z brutalnym naturalizmem i przeniknięte pesymistyczną obsesją śmierci, która przecież wkrótce przyszła – i to o wiele za szybko...

Otworzyłem usta, zaskoczony nie tylko jego znajomością tych kaskaderów naszej literatury, ale także dużą wiedzą o ich niezwyklej twórczości. Próbowałem tę wiedzę uzupełnić jakimś mało znanym szczegółem i dlatego zapytałem:

– A czy pan wie, że ta powieść Bursy była sfilmowana, a film na ostatnim festiwalu zdobył jedną z głównych nagród?

– Nie, nie wiem – powiedział szybko, jakby niezadowolony, że mu przerwałem opowieść. – Zresztą ja nie chodzę do kina, a filmy oglądam tylko w telewizji. Za mało też ostatnio czytałem, nawet prasy, ale nie można było inaczej...

Wyrzucił te słowa niecierpliwie i szybko powrócił do przerwane go wątku.

– To był naprawdę ktoś... Mówię o Bursie. Czy pan wie, że kiedy pisał to swoje *Zabicie ciotki*, zachowywał się jak szaleniec, jak jakiś maniak. Czytał mi wtedy parę fragmentów, a pewnego razu powiedział: „Patrz i zapamiętaj, bo teraz powstaje prawdziwa klasyka literacka. Ta książka będzie sławniejsza od innych, a nawet, wierz mi, będzie tak sławna jak powieści Dostojewskiego”. No wie pan przecież, że tu i tam są opisane te same stany psycho... – tu przerwał, jakby czekając na odpowiedź.

– Psychopatyczne – dokończyłem automatycznie.

– No właśnie, ale musi pan wiedzieć, że jeszcze większym psychopatą był Stachura. – Jak on żył...

Jak on żył... – powtarzał z autentycznym zachwytem. Zdawało mi się, że jest on ciągle w jakimś niesamowitym i dynamicznym śnie. Ruszył potem w tę swoją Polskę i ciągle szukał „wśród ludzi człowieka”, tak samo jak starożytny filozof – Diogenes. A musi pan wiedzieć, że był to niesamowicie dobry człowiek. Bez mrugnięcia oddawał innym ludziom ostatnie dwadzieścia złotych, nawet swoją ostatnią marynarkę. On najchętniej rozdałby potrzebującym samego siebie... Ale nie wszyscy chcieli go słuchać, chociaż apelował tak żarliwie: „Chodź, Człowieku, coś ci powiem...”.

I niech pan zwróci koniecznie uwagę, że Stachura w swoim utworze pisał zawsze wyraz: „Człowiek” wielką literą. A do spotkanych ludzi modlił się jak pokutnik, biorąc na siebie wszystkie grzechy świata, padając na kolana z prośbą o przebaczenie. Wołał wtedy przejmująco słowami swojego wiersza:

Głodni na ulicach świata – moja wina.  
Zbrodnia i nie widać końca zbrodni – moja wina.  
Zagubieni w dżungli miasta – bez miłości, bez czułości  
– moja wina.  
O Człowieka coraz trudniej – moja bardzo wielka wina...

Patrzyłem coraz bardziej zdziwiony na nieznanego, który nie tylko znał naszych zbuntowanych poetów i pisarzy, ale bez zająknięcia sypał z pamięci fragmentami ich dzieł. Co więcej, mimo zaledwie podstawowego wykształcenia, komentował je bardzo trafnie i recytował z rosnącym uniesieniem. A on chyba dostrzegł to moje niekłamanie zadziwienie, bo ciągnął jak nawiedzony:

– Ale Edward nie tylko pisał. Grał także dobrze na gitarze i śpiewał swoje ballady. Szedł od miasta do miasta, od wsi do wsi i... tego pił, a potem śpiewał. Jednak nie poznali się na nim i posadzili do „wariatkowa”. A on przecież tak w tych ludzi wierzył i tak mówił do nich: „Wiara jest dobra i ludzie też są dobrzy... A świat jest taki piękny, a najbardziej wtedy, kiedy pada śnieg...”. Mówił też, że coraz bardziej trzeba stawać się Człowiekiem, by nieść im miłość i dobroć. A najbardziej nie znosił litości. Ponieważ nie wszystkim się podobało to, co robił i mówił, to wsadzili go naprawdę do tego wariatkowa. I chyba dlatego tak marnie skończył... Dopiero teraz...

– Właśnie, dopiero teraz – wtrąciłem szybko – wydają drukiem jego zbuntowane utwory, np. *Siekierzadę, Całą jaskrawość, Się* albo *Wszystko jest poezja*. Mówią one o takich samych samotnikach jak on, wrażliwych na los drugich, ale nierozumianych i bezsilnych w swoim romantycznym buncie. A teraz wszędzie Stachura: w prasie, radiu, a także w telewizji i wydawnictwach. Nastąpiła

prawdziwa Stachuriada – w języku, w stylu ubierania się, a nawet w sposobie bycia.

– Ale jego twórczość... – próbowałem coś powiedzieć.

– Tak wiem, wiem – przerwał mi – jego wiersze i powieści są jeszcze mało znane. Zna się z reguły tylko niektóre tytuły, a naśladuje przede wszystkim swobodny styl jego życia. Stąd ta ciągła Stachuriada – i do rymu: *Siekierzada*... To dobrze – ocenił – ale za mało, za mało...

Milczał przez dłuższą chwilę i nagle rzucił pozornie bez związku z dotychczasowym wywodem:

– On napisał, że „wszystko jest poezją”, wszystko bez wyjątku – nie tylko słowa, ale i życie... Przede wszystkim życie i to – na przekór wszystkiemu.

Po tym cytacie przerwał i nagle, patrząc mi prosto w oczy zapytał:

– A dla pana, kto jest poetą? I czy pan jest poetą? – nacierał ostro.

– Poetą – odpowiedziałem wolno, jak uczeń złapany na niełatwym pytaniu – poetą jest się chyba zawsze wtedy, kiedy się jest wrażliwym na życie i na jego przejawy. A zwłaszcza wtedy, gdy nie jest się obojętnym na otaczające nas morze zła i brzydoty... A także, kiedy wciąż szukamy prawdy i piękna...

Wyrzuciłem to z siebie, zdając sobie sprawę, że powiedziałem właśnie prawdy powszechnie znane, wytarte frazesy i ogólniki, spotykane często w podręcznikach szkolnych. Czekałem w napięciu, jak mój gość zareaguje. Poczuliśmy nawet pewną ulgę, gdy usłyszałem jego opinię:

– Tak, chyba ma pan rację, nawet na pewno... Chociaż mówią, że poetą się tylko bywa. Ale kto może ocenić, że właśnie w danym momencie byłem nim lub jestem...

Powiedziawszy to nagle się zachmurzył i mówił dalej z rosnącą goryczą:

– Bo muszę panu powiedzieć, że krytycy literaccy zupełnie się na mnie nie poznali... na mnie i na moich wierszach. No, teraz już pan wie, że ja także piszę, bo proszę pana, ja muszę pisać, muszę – podkreślił z naciskiem, dostrzegłszy pytanie w moich oczach. – A musiałem pisać zwłaszcza wtedy, gdy siedziałem w kiciu. Całe trzy lata siedziałem – wyrzucił gwałtownie z siebie.

– Trzy lata – powtórzyłem, jak mi się zdawało z przygnębieniem.

– Całe trzy lata siedziałem – powtórzył twardo. – Aż trzy, tylko trzy, choć dali mi cztery. Ale skrócili odsiadkę za dobre zachowanie...

W jego ostatnich słowach słyszałem kpinę, a może raczej sarkazm. Po chwili ciągnął swoją więzienną opowieść:

– Faktycznie w kiciu nie sprawiałem im kłopotów. Więc oni też nie dokuczali mi. Tyle tylko, że pukali się zawsze znacząco w czoło, gdy prosiłem ich, i to dość czę-

sto, o zeszyt w kratkę, w którym smarowałem godzinami swoje wiersze. Zdarzało się, że gdy „na stanie” zabrakło kajetów, pisałem swoje utwory na marginesach gazet. Kumpie z celi początkowo wyśmiewali się ze mnie i kpili, a nawet wyzywali od wariatów i wysyłali mnie do czubków. Aż pewnego razu jeden z nich nazwał mnie „rymarzem” – i tak już zostało. Czasem czytałem im na głos te moje rymy, choć nie prosili o to.

Więc znowu początkowo wydziwiali na mnie i kazali się zamknąć. Ale z czasem zaprzestali, a nawet coraz częściej zamyślali się i jakoś tak dziwnie cichli. I wtedy, wie pan, byłem najbardziej zadowolony z tej pisaniny.

Czas mijał, aż pewnego razu odważyłem się przesłać kilka swoich wierszy z prośbą o ich wydrukowanie w gazecie. Po długim milczeniu nadeszła wreszcie odpowiedź. Napisali mi wtedy, że wprawdzie każdy może pisać, ale nie każdy pisze dobre wiersze.

Oprócz tego radzili dużo czytać, a póki co czytać te moje wiersze swojej rodzinie i najbliższym. Dowcipny recenzent nie dostrzegł, że dając tę radę – utrafił w dziesiątkę. Bo przecież wtedy moimi najbliższymi byli więźniowie z celi i ze spacerniaka... I to oni właśnie, a nie redaktor z gazety, najlepiej mnie zrozumieli – i to, o czym piszę...

Tu przerwał swoją relację. Po chwili spojrzał odruchowo na wewnętrzną kieszeń rozpiętej kurtki. Zauważyłem, że wystawała z niej połówka „czystej”.

Wtedy mężczyzna spojrzał na mnie i zapytał:

– Napije się pan?

A kiedy odmówiłem, mówiąc że właśnie biorę leki, spojrział na mnie z dezaprobatą i stwierdził z przekonaniem:

– Zmyśla pan... Ale i tak wiedziałem od razu, że się pan ze mną nie napije. Bo to nie jest w waszym stylu – rzekł, przechodząc nie wiadomo dlaczego na liczbę mnogą. Ale nie był zbyt urażony odmową. Nie wyciągnął z kieszeni butelki alkoholu i po chwili znów mówił:

– Wie pan, ja od tamtego czasu popijam. Od „tamtego czasu” – to znaczy od dnia, kiedy przez wódkę znalazłem się w więzieniu. Początkowo rzadko, a po wyjściu z więzienia piję z dnia na dzień, bo teraz mi wolno. Bo jestem teraz wolny jak ptak – dodał, a w jego głosie nie było żadnej nuty ironii. A ja nie dopytywałem się, za co siedział i w jakim sensie alkohol sprawił, że znalazł się w celi.

Zaś on chyba docenił mój takt, bo znowu powrócił do przerwanej wątku:

– Wtedy w kiciu, wie pan, napisałem wiersz pt. *Podanie* i wysłałem go do władz więziennych. Zapamiętałem dobrze jego fragment. Niech pan posłucha:

Uprzejmie proszę o nieuznawanie mnie za zmarłego,  
choć idzie już koniec świata,

ale ten koniec idzie nie po mnie –  
idzie po was...

Byłem oszołomiony wszystkim, co usłyszałem. A on mówił dalej:

– Wróćmy jednak do prozy życia. Otóż ten mój wiersz pokazano prokuratorowi. Podobno nazwał mnie wtedy nieszkodliwym wariatem, dlatego pomyślałem, że oni nic z tego wiersza nie zrozumieli. Uważali po prostu, że mam hopla, a nie chcieli zrozumieć mojego świata, który bez poezji – mówił z przyciskiem – nie znaczył dla mnie nic. I nie pojęli, że poeci nie myślą się nawet wtedy, kiedy głoszą takie herezje jak ja... A tak właśnie myślał i pisał zarówno Bursa, jak i Stachura!

Usłyszałem gorczy w jego głosie, gdy zmienił temat:

– Ale pan i pana koledzy poeci – są inni. Bo uważacie, że najważniejsze są książki i obrazy, praca i dom, rodzina i dzieci, boazeria i kafelki... A ja jestem sam i nie mam z tego nic... Jestem sam – powtórzył. Ale w tejże chwili zaprzeczył.

– Nie, nie – odpowiedział sam sobie w tejże chwili – nie jestem sam – bo mam swój las, swoją rzekę, ptaki i szuwały – no i przede wszystkim mam swoje nieczytane przez innych wiersze. Takim wierszem jest np. ten, który przyniosłem dzisiaj do pana z sobą. Zadeedykowałem go właśnie Stachurze, a nosi tytuł: *Ku czci Steda Stachury*. Chce pan posłuchać – to tylko fragment?

Skinąłem z aprobatą głową, a on zaczął czytać:

Wędrował prosto wciąż dalej i dalej  
tam i z powrotem – by ujrzeć całą jaskrawość  
co się udaje tylko nielicznym...  
Teraz już jesteś za firankami chmur  
z gorącymi oczami,  
a nieprzebyta droga wciąż na ciebie  
czeka...  
Bądź zdrow, przyjacielu!

– Dobrze... – zdążyłem powiedzieć tylko to jedno słowo, bo on powrócił do przerwanej wierszem wątku:

– ...I nie uwierzy pan, jaki czuję się bogaty, kiedy latem budzę się nad swoją rzeką, po krótkim festynie z kumplami i widzę w nadbrzeżnych trawach, kwiatach i zaroślach wielkie krople rosy, piękniejsze niż... niż perły Luizy – dokończył, a ja aż się podniosłem ze zdumienia z fotela, słysząc to porównanie. A mężczyzna ciągnął swoją niezwykłą opowieść:

– A nade mną wtedy, proszę pana, biała i gęsta pierzyna z mgieł, niechętnie ustępująca przed słońcem... I może pan się zdziwi, ale na myśl o tej białej pierzynie z mgły jeszcze teraz robi się tak jakoś ciepło na sercu. Opisałem to dla siebie, tak jak czułem. I niech mi pan



nie mówi, że piszemy dla innych i że to pisanie muszą oceniać krytycy. To nie tak, proszę pana, to nie tak... Bo przecież oni nie przeżyli tego, co ja opisałem i nawet nie widzieli tego na własne oczy. Nie widzieli, jak wschodzi wielkie czerwone słońce. No i jak jest gorąco witane przez rzekę, przez te szuwary i przez ogromne chóry ptaków, które dają wspólny koncert na powitanie nowego dnia. A mnie, proszę pana, najlepiej się pisało w moim zeszyty w kratkę, zawsze o wschodzie słońca, bo czułem się wtedy, jakbym był w jakimś wielkim kościele, którego dachem jest niebo. A w nim niewidzialne chóry ptaków sławią urodę tej mojej rzeki, łąki, kwiatów i lasu, no i tej białej mgły. Panie, jakie to jest piękne... Aż brak mi słów, by to opisać... Ale po co ja o tym panu mówię, przecież pan tego chyba też nie przeżył, więc nie zrozumie. Bo to może przeżyć i zrozumieć tylko bard, tylko b a r d – powtórzył z mocą.

A ja właśnie jestem taki bard, śpiewający z zachwytem o urodzie przyrody – jak tamci trzej, jak Bursa, Wojaczek, Stachura...

Słuchałem tego wywodu wręcz w osłupieniu. A on się podniósł szybko, odruchowo sięgnął po butelkę w kieszeni, odwrócił się i nie pytając, pociągnął łyk alkoholu.

– No, ale nie o to chodzi, nie o to – mówił teraz dość nieskładnie, pokazując na kieszeń kurtki. Wyciągnął przy tym rękę, a ja podałem mu swoją.

– No, dobranoc panu, mimo wszystko cieszę się, że pana poznałem, choć ja jestem i n n y niż pan i pana koledzy. Inny jestem, bo ja jestem bard – podkreślił raz jeszcze silnie akcentując wyraz „bard” i jakby chętnie.

Odprowadziłem go do drzwi, a on już z klatki schodowej rzucił: – Dobranoc.

I wyszedł. A ja stałem jeszcze chwilę, po czym wszedłem do pokoju, chodziłem po nim oszołomiony, myśląc o zakończonym dopiero co spotkaniu z dziwnym nieznanym i powtarzając bezwiednie: „bard”, „bard”, „bard”...

Henryk Morawski

Opowiadanie z książki *Kalejdoskop pamięci*

Stanisław Nyczaj

## Kalejdoskop poranionej i wdzięcznej pamięci

Z dalszych kart ciekawej, wciągającej nas coraz bardziej książki, poznajemy bliżej Białobrzegi, powiatowe miasto z bogatymi historyczno-kulturowymi tradycjami,

w którym Autor mieszka i z którym czuje się od wielu lat mocno związany, dając mu z siebie bardzo dużo. Bywałem tam na spotkaniach literacko-muzycznych i z satysfakcją obserwowałem, jak go – jako literata, publicystę i działacza-regionalistę za wkład myśli i serca – cenią. Kiedy wszedłem na jego osiedle, poczułem się swojo, znalazłszy się w miejscu zadbanym, estetycznym. Z opowiadań dowiaduję się więcej „od wewnątrz”, zwłaszcza o różnych postawach i zachowaniach mieszkańców osiedlowych bloków. W lekturowej peregrynacji zaglądamy i do mieszkania samego pisarza. Wchodzimy doń w bardzo szczególnej okoliczności: wizyty przygodnego barda, który bywał w otoczeniu Bursy, Stachury, Wojaczka – dwu ostatnich miałem szczęście bliżej poznać. To ci, którzy wnieśli do poezji bunt i niepokój, nadto realizowali przesłania swych wierszy w życiu, prowokowali ekscytujące sytuacje. Powołując się na nich, bard chce zjednać sobie przychylność Autora dla swojej literackiej sprawy. Przypatrujemy się uważnie wraz z dziwnym gościem obrazom na ścianach mieszkania, z rozpoznaniem znanych malarzy. Otoczenie obrazów, książek tworzy inspirującą do rozmowy i własnej twórczości atmosferę.

Coraz więcej okazji do wtajemniczenia się, zżycia z naszym poetą, prozaikiem i zamilowanym regionalistą. Odwiedzamy Stromiec, nazwany przez Henryka Morawskiego „gniazdem tkliwości pełnym”, gdzie w rodzinnym domu „mieszkają dobre duchy”. Poznajemy Autora coraz pełniej i wszechstronnie: na niwie zawodowej jako filologa polonistę, nauczyciela logopedę i pełnego pasji społecznika-regionalistę, działającego od wielu lat dla dobra swojej „małej ojczyzny”.

Co znamienne – we wspomnieniowych opowiadaniach każdej sprawie towarzyszy uczucie: nic nie dzieje się bez emocjonalnego przejęcia. Zaangażowanie w podjęty temat ma wymiar osobisty i wiąże się na ogół z określonym moralnym przesłaniem. Jest to wymiar świadomości zasadzającej się na wskazaniach Dekalogu i tradycji wyniesionej z rodzinnego Domu. Domu pojętego jako ostoja najcenniejszych wartości. Autor to wciąż podkreśla, mówi metaforycznie (w „wierszowych przedmowach”) i niemal wprost, np. w reportażu bądź opowiadaniu poprzez dialog i komentarz odnarratorski.

Ze słowa wstępnego do książki *Kalejdoskop pamięci* wydanej ostatnio przez Oficynę Wydawniczą „STON 2”

## Miarka samotności

1.  
Punktualnie o 9:45 czekało na mnie. Wizyta po roku bez zapowiedzi. A ono jak gdyby nigdy nic i bez skrępowania powtarzało swoje autorskie brzmienie. Miarowo naprężyło się membranę tympani i spinało z brzegiem. Stałam z nim ramię w ramię, potem tak szliśmy donikąd, krok przed nami – samotność godzin. Jednoosobowa obecność nie peszyła nikogo. Na wyciągnięcie wzroku ani żywego ducha, choć nad samym duchem można by się jeszcze zastanowić. Uciekałam w niepamięć bez wzajemności. Wyrzucało z trzewi swoje rękopisy, nieuczestny ostatek portu. W splątanych wodorostach zapodziata butelka po rumie dawno wypitym. Niezbity dowód na istnienie morza.
2.  
Dopiero ten sznur z węzłem, który nazywają gardyjskim, uświadomił mi tymczasowość każdego trwania. Morze powiesiło się. Przełała się miarka samotności. Wreszcie powięzła dwa końce świata w jedno. Nie miałam przy sobie miecza, by odciąć go od gardła. Więc to mara idzie teraz ze mną, a ten huk i ta woda są jedynie do złudzenia wierną atrapą wygnaną przez przyływ na miłąk ziemię. Liżę palec, jest słony. Zaistniało podejrzenie, że to jednak scenografia przygotowana na wszelką ewentualność. Już tylko w wietrze, w tym otwartym przeciagu przechadza się nieustanność.
3.  
Sypią się przez palce i zatrzeć nie potrafią, choć same są śladem i ziarnem, bezużyteczną klepsydrą. Piach nieskończony. Wystarczy lekki podmuch, a na jaw wychodzi odcisk stopy, która szła tędy donikąd i nie wiedzieć kiedy. Może to morzem wzdłuż przechadzała się pojedynczość, zapewne Robinson. Resztkami myślę o wczoraj, dal nie zdołała zmasać jeszcze poszlak, zagłuszyła jedynie telefon.
4.  
A jednak tu był. Kilka desek z potrzeby domu skrzyżowanych na znak. Zbity z płyt stolik i taboret. Musiał tak siedzieć godzinami na wprost scenerii i wpatrywać się w odległe oko, które jest zaledwie wstępem do przepaści. Potem gwałtownym odjazdem osierocił brzeg, pozostawił rytą chwilę: 30 września 2013 roku. Plaża leży teraz martwa z wyplutym mięsem foki, od której rybiwy natychmiast pożyczły sobie oczy. Dopiero ślepotą otworzyła ją na prawdziwe morze, ono skryło się w zimnym odtąd łonie.
5.  
Migawkę utrwalam swoją nieludzką zdobycz, a kilometr dalej w kierunku donikąd – kolejną; to focza matka rzuciła się

na piach z rozpacy. Już nie rwie sobie włosów z głowy, nie wyje z odrąbania krwi z krwi, wokół niej zleciało się na wspólny obiad czarne stado skrzydlatej codzienności. Spójrz, dokąd zawiodła mnie miłość albo jej brak. I znalazłam dowód na istnienie fok w moim morzu, morzu bez końca.

6.  
Pora usiąść i pomilczeć nad topieniem żarzącego się krążka, przecież jestem tu dla lekcji samotnienia, a nie pisanie poematów.

23 czerwca 2014

## Sweet focia

Znów kura odezwała się we mnie. Nie dziobałam sama. Były tu [nieloty różnej płci, albowiem nie płeć decyduje o przynależności, tylko samo usposobienie wyrażone czynnością niezwykle przyziemną. Owszem, patyk był potrzebny, ale w pierwszej fazie rozgarniania. Potem [to już tylko chwytająco-podnoszący ruch. Brrr, stadne zwiedzanie grzywo gnoju utrefionych w fale, w nich oble robactwo, nadpsucie i posunięty [pod paznokcie rozkład skrywały w stajni Augiasza miód ziemi. Spijać chciało wielu, po kropelce. Na twarzach skan wykupionej oferty przeplatał się ze ślepym trafem, oczy bez słów, bowiem grzebanie w nabrzeżnej mierzwie jest tu dla pamiątki znad morza, a nie dla poematów. Żywiczne krople zamarły, wyrwał je z przyczyny ruch podnoszący. Mijała godzina zgjętego karku.

23 czerwca 2014

## Po co nam zmierzch lata nad morzem

Łudzilaś się, że nie powróci.  
Tymczasem szum morza i schylek lata odnowiły się w tobie. Jak tęskny brzeg, na który powracają i oni.  
Stają z nim oko w oko, a w powietrzu utlenia się już zmierzch. I mewy, i milknące grupki ludzi, kępy szorstkich traw pochylane w jedną stronę.

Ludzie jak żeglowne ptaki zbijają się w gromadki. Łatwiej im wtedy zaprzeczyć głębi morza.

Choć w tę otchłań i tak każdy sam musi –

16 lipca 2010

Wiersze z tomiku *Ja, o jednym imieniu*

## Haiku

Złociste lato  
dla chromego biednego  
czyż to jest złoto

\*

Nie może młody  
zażyć swobody wiatru  
więzi go stary

\*

Nie ciesz się kotku  
ty myszkę zjesz ciebie zje  
głupoty kołtun

\*

Starzec nie wierzy  
już swej młodości-baśni  
z prozą się mierzy

\*

Samotnie stoję  
nad głową słowa krążą  
chwytam je w dłonie

\*

W bliźnich agresji  
zginiesz choć się nie ugniesz  
brutalnej presji

\*

Stara kobieta  
na Bardotki-kokietki  
stale wyrzeka

\*

Zły uśmiech gości  
na złej twarzy probierzu  
podejrliwości

\*

Głupi ludzki śmiech  
mnie nie trąci gdy zmąci  
prymitywu śpiew

\*

Odważny kocie  
na lwa uważaj lecz idź  
śmiało w stulecie

\*

Gdzie są dwa zdania  
miej trzecie bo przecież  
chcesz pojednania

\*

Światowida wzrok  
utkwiony w cztery strony  
od pokoleń w mrok

\*

Króliczku marzeń  
chcę cię złapać otoczyć  
siatką skojarzeń

\*

Pieski małe dwa  
nad rzeczką wąską ścieżką  
nie znalazły dna

\*

W jeziorze toni  
strach chcesz utopić złowić  
zacisnąć w dłoni

\*

Jesteś podległy  
gdy twój los wrzuca swój głos  
w świat równoległy

\*

Twojemu ego  
czas zakończyć złe dąsy  
ile dobrego!

\*

To były wczasy  
gdy w pamięci cię kręci  
w hotelu basen!

\*

Gdy władza kala  
Puszkina piękny język  
ty nie pozwalaj!



\*

Zrób zdjęcie morza  
w nim słońce śpi gorące  
a my na plaży

\*

Morze przywabia  
daje swą dłoń wciąga w toń  
bracie uważaj!

\*

Wiatr fryzjer robi  
morzu balejaż złoty  
pięknie je zdoła

\*

Muzyka ciszy  
kompozycja na liście  
czy ją usłyszysz?

\*

Pies biegnie drogą  
szuka człowieka czeka  
ma łapę chorą

\*

Zły humor dręczy  
gdy człowieka nie czeka  
arkadia tęczy

*Irena Nyczaj*



Kolaż I. Nyczaj

## Cios w serce ciszy

Jak odemścić się ciszy –  
nieprześląganej,  
z którą się nie pogada  
i niczym o czymkolwiek nie przekona?

Jest i trwa,  
jakże cierpliwa  
ponad wytrzymałość nieugiętych skał.  
A właściwie to, nic zupełnie nie robiąc,  
doszczętnie je kruszy,  
wystawiwszy na urągliwe żalu pośmiewisko.

Kto przetrzyma tę jej gnuśną,  
niewidzialną harówkę? –  
tak w beczynności niedostępną,  
że aż kornik, zazdrosny, potulnie się wstydzi  
swojej nieomal krzykliwej dyskrecji  
i niepomiernie dziwi,  
jak cisza wiekuiście zdołała przechytryć  
jego znikliwą obecność...

Wszak gdy do tej pory,  
dociekałem uparcie sedna rzeczy,  
naigrawały się ze mnie cierpliwe korniki,  
którym chodziło przecież o to samo.  
Tyle że one  
mogły się z tego dosytnie wyżywić,  
a ja tylko marniałem,  
odchodząc od rozumu i zmysłów.

Aż w końcu raz,  
przytulony u szczytu do zimnego głazu,  
wybagałem skądś siły na skuteczny cios:  
że dla bezlitosnej  
najboleśniej będzie  
jej przemilczenie!

I zadałem, opętanej sobą, wielkiej ciszy  
całą z głębi mocą bezgłośnej myśli  
ten cios – ostateczny –  
nieomylnie?

Adam Ochwanowski

Z cyklu: *Trzyście zmysłów*

## **A ja widziałem...**

*Czesławowi Nowakowi*

Mały profesor z siwą głową  
W doczesność wchodząc jak w kobiety  
Płacze przy wódce do poety  
Że całość klęczy przed połową

Że mu za mądrość płacą mało  
Choć nie pieniędzy szuka w życiu  
Gardzi nauką po przepiciu  
Gdy krew się nie chce zmienić w ciało

A ja widziałem belkę w oku  
I krok ostatni w pierwszym kroku  
A ja widziałem...

## **A ja widziałem...**

*Stanisławowi Żakowi*

Stary profesor z młodą twarzą  
Ciągnie przez miasto wieś na grzbiecie  
Ubrany w słowa, co w poecie  
Dawno odcięty się od marzeń

A miasto ciężkie z zimnym dreszczem  
Kurczowo uczone chwili  
Zmęczonym nogom kroki myli  
Gdy „już” odcina się od „jeszcze”

A ja widziałem stare Kielce  
Jak rozbijały się w butelce

## **A ja widziałem...**

*Czesławowi Siekierskiemu*

Świeca się pali, bije druga  
A w Pieczonogach ojciec stary  
Kiedy się Bóg wypiera wiary  
W starej stodole szuka ptuga

W Brukseli cicho po północy  
Śpi Europa w chłopskim sianie  
Cud kamienieje, nim się stanie

Bo odzwyczaił się od nocy

A ja widziałem w Europie  
Na strasznym dworze króla w chłopie

## **A ja widziałem...**

*Andrzejowi Żądło*

Nerwowy muzyk przy pianinie  
Na klawiaturze ostrzy palce  
Plejada nut w nierównej walce  
Zanim się wybrzmi, w uchu ginie

Małość wielkości grzech wytyka  
W wodzie zdrojowej topi smutki  
Choć wielki pociąg ma do wódki  
Zgubiona fraza i muzyka

A ja widziałem w pędzie owce  
Gór szczytowanie i manowce

## **A ja widziałem...**

*Adamowi Ziemianninowi*

Znudzony sobą Tylicz śpiewa  
Przy Ogrodowej – agrest stary  
I nawet cud nie daje wiary  
Że się wyparły ziemi drzewa

W skrzynce plik bez adresu listów  
Na brudnej ścianie drży makatka  
W pamięci płacze stara Matka  
I pochwalony Jezus Chrystus

A ja widziałem piętno znowy  
W figowym liściu Adamowym

## **A ja widziałem...**

*Lidii*

Mam czujność sarny i węch wilczy  
Ze snu spłoszona – Lidka krzyczy  
Zegar w zamiarach się przeliczył  
Miał bić godziny, głośno milczy

Deszcze zmywają ślady świata  
Pegaza zgubna pieśń kulbaczy

Psia gwiazda pocałunki znaczy  
A słońce za księżycem lata

A ja widziałem czern w jasności  
I roztargniony ból miłości

### **A ja widziałem...**

*Michałowi Imosie*

W Nowym Folwarku kogut pieje  
Jazgocze w uszach psia muzyka  
Lis się zakrada do kurnika  
Wstają zaspani kołodzieje

W palety wnętrzu plama biała  
Krzepnąca kropla krwi na wardze  
Nie może sprostać zwykłej skardze  
Kiedy tężeje kruchość ciała

A ja widziałem, jak skowronka  
Zabiła podpalona łąka

### **A ja widziałem...**

*Adamowi Jarubasowi*

Wszyscy jesteśmy z jednej wioski  
Z obory i pięknego sioła  
Odświętni w lustrze, które woła  
Że nie odbije w oczach troski

Młodość na starość z boku patrzy  
Durna i chmurna, wianki wije  
Koń kopytami we mnie bije  
I Jeremiasza śpiew rozpaczy

A ja widziałem w plecach brony  
I włócznię wbitą w bok ikony

### **A ja widziałem...**

*Wiesławowi Myśliwskiemu*

Pęknięta szyba w pustym oknie  
Mylące drogi – widnokreśli  
Na suchej Wiśle – siódme kręgi  
A w sadzie naga jabłoń moknie

Dzień nie przyznaje się do nocy  
Rozum upiornie śpi w kabale

Czas rozsierdzony na detale  
Księżyc sierp do gardła skoczył

A ja widziałem twarze puste  
Zakłęte w Weroniki chustę

### **A ja widziałem...**

*Andrzejowi Lenartowskiemu*

Bóg stracił miarę i zamiary  
Skarlała miłość w biednym Bogu  
Wiara potyka się na progu  
Klepie godzinki zegar stary

Na horyzoncie naszych myśli  
W jastrzębia się przemienia kura  
Obcina głowę czarna chmura  
Pulsuje w żyłach – co się wyśni

A ja widziałem w nieboskłonie  
Świętych klęczących na zagonie

### **A ja widziałem...**

*Gosi Gołqbek*

Kończy się przedostatni taniec  
Chowa się przeszłość w złotym rogu  
Zgubiona igła szuka stogu  
I rozsypuje się różaniec

Żeglarze móż nieopisanych  
Ćmy ogarnięte światłowstrętem  
Znikają w kręgach za okrętem  
Demiurdzy pieśni wyśpiewanych

A ja widziałem arki wiosła  
Kiedy legenda ją przerosła

### **A ja widziałem...**

*Ryśkowi Miernikowi*

Modli się do sosnowej belki  
Przydrożnych świątków wierny czciciel  
Właśnie opuścił go Zbawiciel  
Dni rozbijając na kropelki

Historii drwina noc rozprasza  
Wspomnienia tka rzeźbiarskim dłutem



Śpiewają za kolczastym drutem  
Zdradzeni chłopcy „Barabasa”

A ja widziałem targ krzykliwy  
Gdy chlebem dzielił Frasośliwy

### **A ja widziałem...**

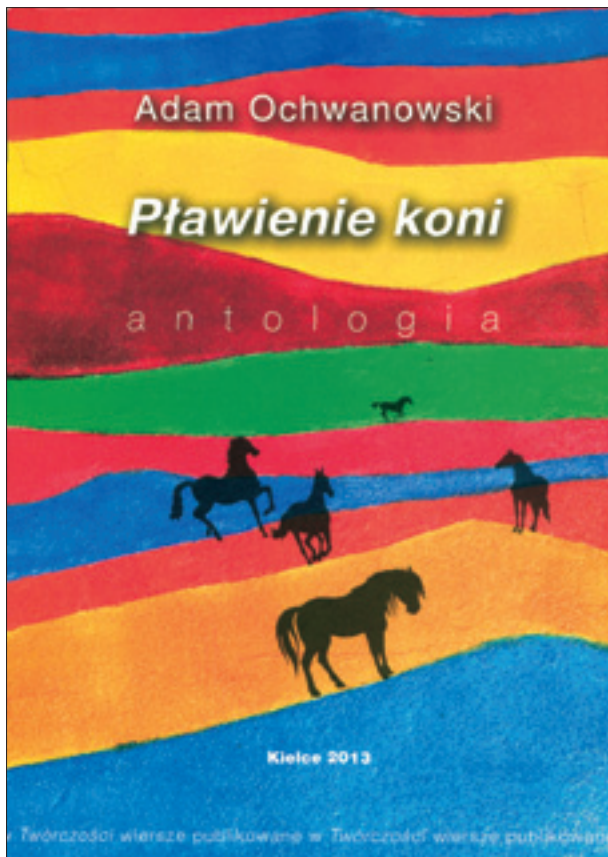
*Adamowi Ochwanowskiemu*

Wieczny powiernik cudzej troski  
Przebiegły badacz alfabetu  
Kompan dla chamów i estetów  
Nowak, Jarubas, Ochwanowski...

Sternik bez steru, bo w topieli  
Stracił kotwicę, żagle, wiosła  
Myśl, co nie uszła, lecz poniosła  
Od poniedziałku do niedzieli

A ja widziałem w sobie siebie  
Kiedy oszalał wóz na niebie

Cykl z tomu *Pławienie koni*, będącego antologią  
wierszy opublikowanych w „Twórczości” w latach  
1978–2013 (nr 8 z 2013 r.)



Bogusław Pasternak

### **Duch czasu**

Nie stawiałem  
Człowieka na piedestale  
I nie będę go zdejmował  
Może sam spadnie

Rozglądamy się dokoła  
Przyszłość nie obiecuje  
Nic dobrego  
Nie wiemy co się zdarzy

Życie to hierarchia wartości  
Tylko śmierć jest demokratyczna  
Próbuję nadążyć za duchem czasu  
Trochę się spóźniam

Wicher postępu  
Wrywa z korzeniami  
Nasze tradycje  
Oraz pobożne życzenia

Dawno nie było wielkiej wojny  
Od lat czai się w umysłach  
Wydarzenia nabierają rozpędu  
Potop wisi w powietrzu

### **Gdzie kwitną magnolie**

W dzikim sadzie  
Na kamiennych schodach  
Rozliczam się z Bogiem  
Mam swoje zasługi  
Poproszę niech mnie dopuści  
Na swoje ogrody

Grzechów nazbierałem  
Wór nie byle jaki  
Mocno zawiązałem  
Zarzucam na plecy  
Do naszej zaniosę rzeki  
Utopić w głębinach roztoki

Bogactw mi nie dałeś  
Szczęścia miałem tyle  
Co kot napłakał  
Otwórz złotą bramę

## Nad morzem

Znów stoję nad brzegiem  
Tysiące spraw odplynęły  
Czarnych chmur wagony  
Ciężnie zmęczone niebo

Dokąd wszystko tak pędzi  
Patrzę i oczom nie wierzę  
Morze zielenią fal zakwitło  
Jakby łąki nad Świśliną

Dokąd tak śpieszysz chwilo  
Dostrzegam twarde ściany  
Gdybym je nawet pokruszył  
Kto czeka po drugiej stronie

Przyjdzie biały sztorm  
I statek odplynie  
W niezbadane odmęty  
Zawsze czułem ich obecność

## Przepowiednie

Biegnę bez wytchnienia  
W nogach odczuwam zmęczenie  
Nie wolno stać w miejscu  
Gdy świat szaleństwem opętany

Wypijmy czarę cierpkiego wina  
Popłynemy jeszcze raz  
Pod nieba lazurowy dach  
Gdzie gwiazdy żarem nadziei płoną

Nostradamus przepowiedział  
Że w naszym wieku  
Świat dobiegnie do mety  
Co potem nie rzekł ani słowa

Idę nadzwyczaj ostrożnie  
Sprawdzam co mam pod nogami  
Ogień piekielny w kotłach wybucha  
Czy zdążę choć mrugnąć okiem

*Bogusław Pasternak*

## Dla Ł.

Trzymała za klamkę i nie wiedziała, czy jak ją puści, upadnie, czy będzie w stanie zrobić krok do przodu. Trwała przez chwilę, aż wreszcie zdecydowała się oderwać prawą nogę. Przekroczyła próg przychodni i zatoczyła się. Obracając się, odruchowo złapała żelaznego pręta z ogrodzenia należącego do sąsiedniej posesji. Był zimny i chropowaty. Przywarła do niego rozpalonym czołem, potem przykleiła się do niego całym ciałem. Chciała tam pozostać na stałe. Do końca, do samego końca aż... Nie mogła o tym myśleć. Jak wyobrazić sobie koniec... swój koniec.

Prawą rękę coraz mocniej zacisnęła na nierównym pręcie. Krusząca się rdza wbijała się jej w palce. W lewej ręce trzymała kliszę zwiniętą w rulon i zapakowaną w gazetę. Niczego w tej chwili nie czuła. Przypominała drzewo, które nagle wyrosło z chodnika na ulicy Hipotecznej 14, tuż przy Przychodni Przeciwwgruzliczej. Kręciło się jej w głowie tak samo jak wtedy, gdy Józek, nie całkiem trzeźwy, podał jej kieliszek i powiedział „pij”. Co miała go nie słuchać. Przecież to starszy brat. Naśladując go, wlała alkohol do gardła i poczuła potworne pieczenie. Skrzywiła się. Zapewne niepięknie wyglądała, bo Józek zaczął się śmiać. Ojciec zaszedł go z tyłu i uderzył w plecy. Krzyczał na Józka. Paliło ją i nie słyszała, co mówił ojciec. Przytrzymała się stołu. Jej nogi zrobiły się miękkie, a myśli zaczęły płatać figle. Nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Upiła się. Po raz pierwszy w życiu piła alkohol. „Widocznie tak samo można czuć się, gdy ktoś zaskoczy cię informacją, która... która” – nie dokończyła myśli. Potężny szloch wyrwał się z jej piersi.

– Stało się coś? – Zatrzymał się przy niej starszy człowiek z laską. – Tu obok jest przychodnia. Jeśli panienka zasłabła pomogę dojść.

Pokręciła głową. Coś niewidzialnego utkwilo jej w gardle i nie mogła wydobyć z siebie ani jednego słowa.

– Pomogę – nalegał staruszek. Pokręciła głową i dodała szeptem:

– Umieram.

– Dziecko drogie. Jesteś młoda. Tacy jak ty mają dużo życia przed sobą. To do mnie kostucha puka i kiedyś nadejdzie moment, że sama sobie drzwi otworzy nie czekając na moje przyzwolenie.

– Ja umieram – powtórzyła ocierając łzy ręką, w której trzymała kliszę. – Niech pan zobaczy.

Mężczyzna rozwinął kliszę. Wypadła z niej kartka. Podniósł ją i długo się jej przyglądał. Lucia miała nadzieję,

że przeczyta coś innego, nie to, co jest tam napisane. Nie to, co powiedziała jej kobieta w recepcji. Dziury w płucach tak wielkie, że żadnego ratunku dla niej nie ma.

– No tak – rzekł przeciągle. – Wynik nie najlepszy, ale dla czego panienka ma zaraz umierać. Są lekarze. Lekarstwa. Gruźlica to nie wyrok śmierci.

– A co? – spytała zaczepnie. – Zna pan kogoś, kto z gruźlicy się wywinął?

– No... może akurat takich znajomych nie mam, ale przecież są różne przypadki. Słyszałem...

– Co pan słyszał? – Lucia puściła pręt ogrodzenia i zwróciła się twarzą w kierunku mężczyzny.

– No... to... że teraz po wojnie można gruźlicę leczyć i są pozytywne efekty.

– Nie dla mnie.

– Nie wolno tracić wiary.

– Wiara nie ma nic do rzeczy. – Lucia schyliła się i głośno zakaszła. Przysłoniła usta. Na jej ręce pojawiła się krew. Nie miała jej czym wytrzeć. Mężczyzna podał jej swoją chusteczkę.

– Weź. Później też ci się może przydać.

Najwyraźniej wyczerpał słowa otuchy, bo nie mówiąc niczego więcej, został jeszcze przez chwilę i odszedł.

Lucia poczuła się lepiej. Odwróciła się w kierunku placu Wolności i przytrzymując się ogrodzenia, próbowała zrobić kilka kroków. Nie szło jej dobrze. Nogi miała jak z waty. Nie słuchały jej. Zachwiała się. Podniosła głowę i starała się zebrać w sobie siły, które przecież gdzieś musiały w niej być. Może tylko się schowały? Musi je z powrotem odzyskać, bo jak dotrze do domu? Ma przed sobą kawał drogi. Pięć, sześć kilometrów. Ważne, żeby przebrnąć przez plac Wolności. Tam nie będzie miała o co się oprzeć. Upadnie i co? Nie dosyć, że umiera, to jeszcze sobie kolana poobija.

Wypowiadała w myślach, po raz nie wiadomo który, słowo „umieram”, a nadal brzmiało ono obco, jakby nie do niej należało. Ktoś inny umiera, nie ona. Ona ma tylko osiemnaście lat.

Oderwała plecy od ogrodzenia i zrobiła kilka kroków w kierunku placu Wolności. Szło jej całkiem nieźle. Zaczęła liczyć kroki... dziesięć... piętnaście... dwadzieścia... Przy setnym znalazła się przy schodach. Skrzywiła się. Zdoła wejść czy spadnie? Na czworakach będzie bezpiecznie.

Obejrzała się. Nikt za nią nie szedł. Na placu stała tylko jedna furmanka. Targ się skończył jakiś czas temu. Wszyscy się rozeszli. Kiedy szła do przychodni, niewiele osób kręciło się po placu. Teraz panował tu złowroźny spokój. Czy taki sam ją ogarnie, gdy umrze? Znowu łzy napłynęły jej do oczu, ale zacisnęła je mocno i nie patrząc przed siebie zaczęła na czworakach wspinać się po scho-

dach. Kiedy się skończyły, próbowała się wyprostować, ale zakręciło się jej w głowie i przykucnęła. Czowała się tak, jakby zaczynała rozpląwać się w powietrzu. Wydawało się jej, że wiatr, który nagle poderwał do lotu zgnieciony kawałek papieru, przelatuje przez nią. Dziwne, ale papier znalazł się też po jej drugiej stronie. „Czy to oznacza, że już umarłam?”.

Podniosła się i otrzepała sukienkę. „Jeśli sukienka istnieje, to znaczy, że jeszcze jestem”. Ta myśl na tyle ją pocieszyła, że pewnym krokiem przeszła przez jezdnię i znalazła się przy budynkach należących do wojska. Magazyny czy coś w tym rodzaju. Do wnętrza prowadziła żelazna brama, mocno zardzewiała z odpadającą farbą. Poczowała to, bo przytrzymując się muru, mocniej oparła się o nią i przeciągnęła po niej ręką. Czerwone krople zmieszały się z rudą rdzą. Nie czuła bólu. Fizycznego. Ten psychiczny, który rozsadzał ją od środka, był sto-kroć gorszy.

Zatrzymała się i głośny jęk wyrwał się jej z ust, chociaż mocno je zaciskała. Miała ochotę krzyknąć, ale dławiła go zatykając ręką usta. Czyżby zależało jej na tym, aby nikt na nią nie zwracał uwagi i nie pomyślał, że zwariowała. A ona przecież jest świadoma i przytomna, bo wie, że umiera. Za ile miesięcy jej nie będzie? Nie powiedzieli tego, ale jak to będzie możliwe, że jej nie będzie, a świat będzie istniał. Matka znowu będzie gotować obiad, ojciec będzie zaprzęgnie siwego konia do wozu, a Burek znowu będzie ujadł w nocy i wszystkich budził. To będzie się działo bez niej. Ona tego nie będzie ani widziała, ani słyszała. Gdzie wtedy będzie?

Szła, co jakiś czas się zatrzymując. Przywieriała do cudzych płotów i żalność ją dopadała tak wielka, że w żaden sposób nie mogła opanować łkania. Nie wie, ile czasu zajęło jej pokonanie tych pięciu czy sześciu kilometrów.

Kiedy minęła trzy grube jesiony i zobaczyła rozległą łąkę z krzyżem pośrodku, a nieco wyżej domy, a wśród nich jej rodzinny, upadła na ziemię i zaczęła krzyknąć. Wydawało się jej, że wiatr wiejący od łąki Klisiów rozumie ją i podwaja jej łkanie, zanoszi wszystkim wiadomość, że ona, Lucia, umiera. Wiedzą, że była w przychodni odebrać wyniki z prześwietlenia płuc, a na nich jest wypisany wyrok śmierci. Wiatr musiał ich powiadomić o tym zanim dotarła do domu.

Płacz wstrząsnął nią tak silnie, że nie miała siły dłużej utrzymać się w pozycji stojącej. Padła na kolana i podpierając się rękami, dotarła do krzyża, który stał na szczycie łąki. Był ogrodzony niewysokim płotem. Zawsze w maju kobiety przychodziły tutaj i śpiewały pieśni wielbiące Maryję. Ona też przychodziła. Śpiewała najgłośniej i Helka Kądziołów zawsze szturchała ją w bok, aby przestała się tak wydzierać.



Uklęka pod krzyżem. Mocno, obiema rękami złapała się wątych sztachetek: — Jezu! Dlaczego ja? Dlaczego mnie wybrałeś? Mam osiemnaście lat. Zabierz te stare baby. One zasługują na śmierć. Co ja ci zrobiłam? Dlaczego mnie karzesz? Przecież w każdą niedzielę chodzę do kościoła i przed Wielkanocą spowiadam się. Czemu mnie wybrałeś? Chcę żyć. Wyjść za mąż, mieć dzieci. To nieważne, że Tadek Kmieciov zdradził mnie i zrobił dziecko Hance Olejarczyków. Miał się za mną żenić, a musiał z Hanką. Odwołuję wszystko, co wtedy powiedziałam o nim i o Hance. Ja się poprawię. Przyrzekam ci, Panie Jezu, tylko daj mi wyzdrowieć. Spraw cud.

— Lucia! Lucia! — usłyszała głos matki. Dochodził gdzieś z daleka, ale nie chciała się oglądać za siebie. — Co ci jest? Dlaczego klęczysz pod krzyżem? Zaziębisz się i jeszcze coś złego się przyplącze.

Wstała. Nieprzytomnym wzrokiem ogarnęła całą okolicę. Łąka Klisiów, potem baraki, gdzie mieszkała ciotka Zofka, strumyk płynący z Patry, dom starej Kłębiny, płot Kumorów i szeroka droga, na końcu której była studnia, a wcześniej jej dom. Rzuciła kliszę pod nogi matki.

— Lucia! Zaczekaj!

Nie patrzyła na nią. Minęła zataczając się. Biegła pod górę. Dom Kądziołów, Cymbalaków. Wpadła na własne podwórko. Burek zabiegł jej drogę, ale kopnięciem odegnęła go od siebie. Stała w drzwiach zdyszana. Nie mogła złapać powietrza. Oburącz złapała niebieską bluzkę, jaką miała na sobie i ciągnąc na boki, rozerwała haftki. Upadła na kolana akurat wtedy, gdy matka, dopadła drzwi. Trzymała w rękach kliszę i osobno kartkę z opisem. Jej zbolęła mina wskazywała na to, że już wie. Przeczytała.

— Umieram! — krzyknęła Lucia łapiąc się za włosy. — Chcę żyć! Nie mogę umrzeć, a umieram! Ratujcie mnie!

Lucia umarła pięć miesięcy później, gdy poczerwieniały korale jarzębiny rosnące w kącie podwórka. Józkowi urodziła się córka. Tylko raz wzięła ją na ręce.

Czy tak było, ciotko, której nigdy nie poznałam?

*Irena Paździerz*

## Kwiecień w Gwoźnicy

Stąd babka i dziadek wypatrywali nieba  
[między wzgórzami:  
niosło plon lub głód.

To miejsce widzę dziś w obłoku.

Białym i pachnącym namiętym pragnieniu  
przyszłości

jak kwietny pyłek tak ulotnej,

że zapach mocniejszy od widzenia...

i późniejsza soczystość śliwek na języku trwalsza,  
choć dopiero szorstkość pestek w ziemi

[utwierdzonych

zrodzi trwałą nadzieję...

i widzę w tej chwili

— znaczę —

prawdę odstoniętą obłokiem:

aż forsycja jak sam szczyt płomienia

rozjarzyła radość

nie-i-istnienia.

## Oksymoron

pada deszcz

jest i zimno

i bezwiersznie

„smutny maj”

wbija się oksymoronem

aż choruję na półpasiec

na półczucie

bylejakość

czy coś warto?

literami rozstrzeliwać n i e u c h w y t n e  
nieczytane

kot mi tylko puszyścieje na kolanach

jednak maj jest no i ptaki...

jestem jeszcze

choć niestownie

## Markowe haiku

Bywa dziedziczny  
już od wieków w człowieku  
duch patriotyczny

\*

Są nienormalne  
jak wiecie na planecie  
stany zapalne

\*

Nie znoszę kłamstwa  
na trzy pudy obłudy  
niecnego chamstwa

\*

Mąż odstawiony  
po rozwodzie niegodzien  
jest piersi żony

\*

Rząd głowa boli  
choć silny jest bezsilny  
wobec eboli

\*

Sen mi się spełni  
gdy się szczerze rozbierze  
a księżyc w pełni

\*

Za rodzicami  
tęskno i bez nich ciężko  
jest nam latami

\*

Głosy cymbałów  
się słyszy w ciszy choć hen  
do karnawału

\*

Zwykle już do dnia  
młoda para się stara  
mieć próbę ognia

\*

A w dniu zamęścia  
co chciała to dostała  
złudnego szczęścia

\*

Zamiast się zmienić  
to ten dziwak na opak  
chce świat odmienić

\*

Zwiedzając Poznań  
bliski krewny jest pewny  
niezwykłych doznań

\*

Idź do apteki  
jedynie wtedy kiedy  
tanieją leki

\*

W górskim potoku  
baca pstrągi zawraca  
miast być na stoku

\*

Wierzą owieczki  
potrzeba iść do nieba  
gra warta świeczki

\*

Wierny zasadom  
człek nigdy przenigdy nie  
zhańbi się zdradą

\*

Ten by nie ustał  
ubogi co ma nogi  
nie na piedestał

\*

Ławka parkowa  
biednemu bezdomnemu  
łożkiem polowym

\*

Choćby dwa razy  
osobie co już w grobie  
przebacz urazy

\* \* \*

*Ani Kajtochowej*

rozdawała garściami  
najcenniejsze perty  
choć niejedna  
utraciła blask  
tocząc się w szarość  
ostrych kamieni

z ulgą opuściła  
muszlę perłopławu  
która uwierała tak bardzo

na nieznanym brzegu  
rozpoznaje sny  
zatopione w bursztynach  
wpatruje się  
w oczy przeszłości  
i często cofa taśmę

spogląda obojętnie  
jak obce ręce  
robią ostatni makijaż

## **Przemieszczanie**

szare trzewiki utknęły  
w rozpadlinie czasu  
bosymi stopami kaleczysz mchy  
coraz głębiej w korę jesionu  
przez chwilę przynależysz do drzewa  
wyrastasz świeżymi pędami  
składasz przysięgi  
za które rozlicza cię ciemność  
rozsypujesz się w węgiel  
i smużki dymu

w pęknięciu słońca  
pachniesz nową obietnicą  
wyczekiwaniem nienarodzonego  
przenikasz krzyk  
stawiasz wilgotne stopy na wierszach  
przeskakujesz ciężkie otoczaki  
w kapryśnym nurcie  
zdjęcia rozsypują się ze starości  
mech porasta  
krzyż

## **Granice**

Dziecko miasta  
zatraca granice  
w imadle presji  
wśród dusznych pubów  
jazgotu dyskotek  
ciężarnych autobusów  
w lepkich plastrach  
wielkomiejskiego ula

a kiedy kończy się asfalt  
grzęźnie w markowych czółenkach  
cierpi na rozliczne alergie i fobie

Dziecko natury  
patrzy wilkowi w oczy  
księżycem przyświeca  
w czerni lasu  
jest okiem jastrzębia  
szamanem płodozmianu  
szelestu wrzosów  
misterium narodzin

a kiedy potyka je  
wygodniały smog  
traci instynkt

Spotykają się  
na wiszącym moście  
pomiędzy snami

## **Historia**

Jest zaledwie wyblakłą pamięcią  
losów i zjawisk  
o które zaciekle spierają się naukowcy  
karmi się jazgotem dziejów  
dziedziczonych migawkami  
utrwała lub puszcza w niepamięć  
niekiedy przeobraża i gloryfikuje  
kłamliwym piórem  
czasem oprawców zamienia w ofiary

Dyskusja z historią  
prowadzi do absurdu  
polityczne zawłaszczanie  
zamazuje obraz

Jednak  
cała prawda i tak istnieje  
w odwiecznym archiwum



## Zamknięci w skale (Fragment powieści)

Dwa dni wcześniej przypadkiem wpadliśmy na siebie w księgarni w centrum miasta i po dokonaniu zakupów [w mojej przepastnej torbie umościła się opasła „Jednoroczna wdowa” Johna Irvinga, Sławek kupił najnowszy tom wierszy Roberta Winiarskiego] na chwilę wstąpiliśmy do pobliskiej kawiarni. Sławek pochwalił się swoim drugim tomikiem poezji. Po odebraniu oczekiwanej porcji słów uznania i szczerych gratulacji, z zainteresowaniem wysłuchał opowieści o stosunkach panujących w mojej redakcji. Chyba nawet poskarżyłam się, że się tam czuję jak outsiderka. Nie jest to dalekie od prawdy, bo w gruncie rzeczy nie udało mi się w „Obiektywie” z nikim [poza Ewelina, ale jest to przyjaźń oparta na zasadach: księżna i wasalka] nawiązać bliższych kontaktów... Przypuszczam, że wynika to z mojej powściągliwości. W tym środowisku nikt tak się nie zachowuje, chyba że są to osoby wrogo nastawione do siebie. Dziennikarze na ogół są obcesowi. Do każdego zwracają się po imieniu i nie mają oporów przed zwierzeniami [dotyczy to również spraw intymnych]. Szybko nawiązują przyjaźnie, które w mgnieniu oka potrafią się przerodzić w gorącą nienawiść. Podobnie jest z seksem, który nie ma nic wspólnego z miłością i najczęściej służy jako trampolina do kariery. Coś więcej mogłyby powiedzieć o tym ambitne i bezpruderyjne dziewczyny, które są gotowe na wszystko, żeby dostać etat w telewizji. Nawet te, które ukończyły studia, starają się o posady gońców czy hostess [tym ostatnim, nie bez powodu starzy telewizyjni wyjadacze nadali ksywkę „hostytutki”]. Najważniejsze to zahaczyć się w Firmie. Potem wystarczy się „zaprzyjaźnić” z kimś, kto ma wpływy... Pewnego dnia w redakcji pojawiła się Tereska, która objęła odpowiedzialne obowiązki gońca. W chwili szczerości Tereska zwierzyła się, że liczyła na coś więcej, na przykład – możliwość statystowania w jednym z programów rozrywkowych, ponieważ jej zdaniem jest to znacznie bliższe gwiazdorstwu... Zdaje się, że taka opinia panowała na wsi, z której odprowadzona przez mniej rezolutne koleżanki – wyruszyła na podbój świata show

biznesu. Dziewczę uzbroiło się w mocny makijaż, sztuczne rzęsy oraz przeźroczytą koronkową sukienkę, która miała nie tyle zdobić, co niczego nie ukrywać. Śnieżna biel koronki znacząco kontrastowała z ciemnymi brodawkami sutek, a te – nieskrępowane stanikiem – swobodnie dyndały, kołysząc się jak wielkie dzwony na wieży kościelnej.

Zamiast roznosić redakcyjną pocztę, godzinami przesiadywała na parapecie okiennym w długim korytarzu ciągnącym się przed studiami telewizyjnymi. Tęsknie wypatrywała swojej szansy w postaci przystojnego reżysera albo operatora. Czas jednak nieubłaganie mijał i nic się nie działo. Usiana piegami, wąska twarz, podobna do pyszczka wygłodniałej jaszczurki, coraz bardziej się wydłużała. Godziny zamieniały się w dni, miały tygodnie, a ona nic nie wysiedziała. Żaden z interesujących ją panów nie zwrócił uwagi na wyczekujący w korytarzu gwiazdorski potencjał. Wreszcie poddała się i postanowiła pożegnać z redakcją. Potem dowiedzieliśmy się, że jednak udało jej się urządzić w mieście, bo poderwała na dyskotecę studenta Akademii Medycznej i teraz puchnie z dumy jako Pani Doktorowa...

Te, które mają więcej szczęścia, przechodzą z rąk do rąk podszywających się pod reżyserów lub redaktorów – techników i innych podrzędnych pracowników studyjnych. Niektórym udaje się załapać na etat asystentki w którejś z redakcji, ich dalsze losy będą zależały od indywidualnych predyspozycji, inteligencji i umiejętności wchodzenia w nieformalne układy.

– W Firmie seks jest jak podanie ręki... – wbija mi nieustannie do głowy Ewelina, która w wolnych chwilach lubi sobie pogawędzić i zdarza się jej często wygłaszać tego rodzaju arbitralne opinie.

Kiedy przychodzi do mojego pokoju, rozsiada się w obrotowym fotelu i – przypuszczam, że świadomie naśladuje bohaterów amerykańskich filmów – wyciąga na biurko długie, na mój gust trochę zbyt umięśnione nogi [jest dużą kobietą, po czterdziestce, ale atrakcyjną] w różowoczarnych półbutach od Benettona. Patrząc na mnie z góry, z rękami zaplecionymi z tyłu szyi, od niechcienia kręci fotelem, jakby chciała z różnych perspektyw obserwować, jak reaguję na jej zwischenruffy. Celem tych zabiegów jest zrobienie wrażenia kogoś, kto ma dystans, potrafi wnikliwie analizować rzeczywistość i bez

wątpienia musi mieć wysoki wskaźnik IQ... Ale na pierwszy rzut oka widać, że niewolniczo ulega stereotypom o hollywoodzkim rodowodzie. U niej wszystko musi być trendy: minimalizm... jakuzzi... Woody Allen... long drinki... masaże erotyczne... Gretkowska... kiełki i wegetariańskie, meksykańskie albo chińskie żarcie... „Cząstki elementarne”... markowe ciuchy za bajońskie sumy, wahadełka... Niewątpliwie bardzo utalentowana, inteligentna i wrażliwa, jest jednak sztandarowym okazem celebrytki i tylko w jednej dziedzinie wydaje się absolutnie szczerą. W sprawach seksu. Wygląda na to, że nie boi się eksperymentów. Zdaje się, że próbowała również z kobietami, bo czasem zdarza mi się ją przyłapać na taksujących spojrzeniach – mam wtedy uczucie, że jakiś owad obmacuje mnie wrażliwymi czułkami...

Podczas naszych „intelektualnych sesji” okazało się, że Ewelina Zarzycka zna intymne nawyki, szczegóły anatomiczne i – zdaniem niektórych pań – istotne wymiary wszystkich ważniejszych person w „telewizorze”. Potrafi scharakteryzować ich co do centymetra... Prawdopodobnie wspomnianym doświadczeniom empirycznym zawdzięcza swoją obecną pozycję – dość intratną funkcję kierownika działu rozrywki w „Obiektywie”. Ma jeszcze stałą chałturę [jest to źródło dodatkowych dochodów oraz innych, znacznie cenniejszych korzyści]: telewizyjny magazyn o modzie. Dzięki niemu nawiązała bliskie kontakty z kobietami o wyrobionych nazwiskach: prezenterkami telewizyjnymi, gwiazdami filmu i show biznesu. Nawet żony polityków zajmujących najwyższe stanowiska w państwie zabiegają o jej przyjaźń, a ona zręcznie to wykorzystuje, zawierając znajomości z ich mężami. Chyba chce wypłynąć na szersze – polityczne – wody...

Czasami Ewelina zabiera mnie do któregoś ze snobistycznych pubów w śródmieściu, gdzie pojawiają się znani dziennikarze i artyści. Po kilkugodzinnej nasiadówce i kilku drinkach ja wracam do domu, zostawiając w pubie Ewelinę uczepioną ramienia jakiegoś przystojniaka [nazywa ich „jednorazówkami”], z którym spędzi najbliższą noc. Kolekcjonuje facetów z tą samą pasją, jak inni zbierają znaczki, kapsle od butelek albo starocie. Chciałaby zdobyć każdego napotkanego na swojej drodze mężczyznę i prawie jej się to udaje. Byłam świadkiem, jak w ciągu niespełna piętnastu minut uwiodła taksówkarza.

Dwuznaczne spojrzenia, półśłówka, zachęcające uśmieški. Ktoś powiedziałby: zdzira. Ale z jaką klasą! Kiedy wysiadałam z taksówki, zdążyłam zauważyć, że wyraz totalnego ośpienia, jaki cechował tego blondasa ustąpił miejsca bezwstydnemu chuci...

Dzisiaj spędzam samotnie wieczór, chociaż planowałyśmy wypad do miasta. W ostatniej chwili Ewelina odwołała spotkanie – zadzwonił jej aktualny „stały” chłopak, którego żona pojechała z wizytą do rodziców i – chwilowo – jest do wzięcia [dobrze zbudowany brunet. Czarujący wąsik. Twarz bezradnego intelektualisty w okularkach. Kobiety z apodyktycznym charakterem, a Ewelina do nich należy – zazwyczaj tracą głowy dla tego rodzaju osobników].

Ewelinie obce są rozterki moralne z tak prozaicznego powodu, jak rodzinne zobowiązania kochanka, obarczonego żoną i dwójką dzieciaków... Trudno mi wyobrazić siebie na jej miejscu, a już na pewno nie przyszłoby mi do głowy robienie kochankowi scen zazdrości o jego własną żonę... Dlatego moje relacje z Eweliną można nazwać jedynie „prawie” przyjaźnią.

*Ewa Serafin*



## Wiosna Jazzowa w Zakopanem

budzi się ziemia  
Do Białego podgłosił  
podwyższył poziom  
spadając kaskadami  
zapienił zapory głazów

na odcinkach spokoju  
kaczeńce zaglądną do lustra  
topią wierzchołki iglaste  
otwierają się kwiaty górskie  
na słońce

Jazz Summie w Zakopanem  
pod flagą Wiosny Jazzowej  
United Europe Jazz Festiwal  
Gala Jazz Top

specjalny gość –  
Michael „Patches” Stewart – trębacz

jakby obudził wiosenny trend  
wysoką temperaturą dmuchnął w trąbkę  
i rozeszło się ciepło  
podkreśliła błyskawica nad Giewontem  
puszczając prysznic obficie

strumyki gruchnęły aplauzem

obudziliśmy się wszyscy  
klaszcząc wiośnie na szlakach  
wartkość wody jakby piłowała zieleń  
rozlały się zatoczki pod fioletem krokusów

a ze szczytów schodzi śnieg  
by pokłonić się wiośnie

Gali Jazz Top  
zawtórowały ptasie szczebioty

Zakopane, 05.05.2013

## Łączność

miasto zgubiło zapach ziemi  
beton chodnik asfalt bruk

spaliny i dymy  
hałas szum opon i zgiełk  
ziemia ogłuchła i otępiła

wypad na wieś  
jak przypomnienie podłoża kroków  
zapach powietrza trawy i drzew  
i skiby roli podczas orki  
pachną  
prawie tak jak chleb  
i pachnie czas  
odgrzebany w pamięci  
że już kiedyś że ten zapach  
że znaczy  
łączność z ziemią

## Od miłości aż po zachwyty

I

kiedyś zapaliło się słowo  
płonie krwiobiegiem  
stuka w piersi  
wytyka wskazówkom zegara  
od sekund po lata  
wchodzi jak napęd w zmysły

II

od świtu mierzę krokami ziemię  
przekroczyłam południe  
słońce intensywnie lśni  
schodzi w dół mojego dnia  
jakby rodziło ukłon dla istnień

kiedy zaślubia horyzont  
mrugają gwiazdy  
światłem natury  
rozjaśniają nieuniknioną noc

spożywam ziemię by życia zasmakować  
ziemia spożywa mnie by trwać

III

gdybyś wiedział  
jak smakuje barwa róży martwej  
płatki skruszone w kopercie  
w proch zamieniony był  
rylcem pamięci we mnie



nasze dni i noce  
wspólne plany  
jak kloce przywiązane  
zginają kręgosłup w pokłonie –  
przeszłości wielka  
jeszcze płoniesz młodością  
w albumach niedosyt

teraz także są kwiaty – żywe  
słowa w bukiet składane

### **Gorzka słodycz**

szłam do ciebie  
okaleczona słowem  
w inną stronę trudno było  
z tobą przeznaczone  
wszystko piękne

bez ciebie  
gorzko smakuje nawet słodycz  
wzięła się sama mimo woli  
nieskonsumowana  
bo taka jakaś  
nieswoja nie moja nie twoja

tkwi  
sama w sobie  
szczególnie egzotycznie  
zasila mnie  
ARTYSTYCZNIE

### **Dziecko Ziemi**

w bezbronną dłoń dzieciątka  
wkładamy własne troski  
Boże Narodzenie  
uwielbienie odnawiamy odświeżamy  
niewinność przyjmuje  
nasze prośby nadzieje

bezzadny człowiek –  
dziecko Ziemi

### **Szczeńliwe miejsce**

tam powtarzają się księżyc i gwiazdy  
jakby jasność ukradkiem

podczas snu ludzi  
albo  
jakby w stronę ziemi  
przeciekało niebo

Anioły po smugach światła  
ześlizgują się w białych szatach  
doglądają cieni śpiących istot

stępała ostrość widzenia  
noc ukrywa wady przyziemności

tam powtarzają się księżyc i gwiazdy  
iskrzy miejsce  
urodzajne szczęście

### **Furty**

ognie galaktyk – rozpalona miłość do życia  
tam... wchodzimy i wychodzimy  
jak z pokoju do POKOJU  
tylko furty bywają różne

huragany chwil świetlnych  
wyrrywają drzwi spoczynku  
cisza  
jak wypalony płomyk galaktyki

zapewnia wieczność

### **Wyrwa**

wejście zatrzasnął huragan  
runęły schody  
ciepło zmieniło kolor  
marzenia utonęły w snach

nurt czyni wyrwę ścieżek

jeszcze tylko światło istnieje  
jasność prowadzi  
pokazuje drzwi  
dłoń klamce przyjazną

tam gęstnieje wyraziste

*Kazimiera Szczykutowicz*

## Requiem dla artysty

„Ta chwila nie zdoła sięgnąć  
pomnika twoich wierszy  
Przyjacielu Pieśni i Miłości”  
Rafał Orlewski

*Pamięci Henryka Jachimowskiego*

kolejna **PIEŚŃ** Twoja  
już w grudzie wyciszona  
i kości w ogniu wypalone  
już opadła zastona **MGLY**  
na listopadowe epitafium

odszedłeś w pół słowa  
drogą w jedną stronę  
jakbyś się spieszył do tej  
co w jasnej świeci bramie  
i **ŚWIĘTA PRZY NIEJ CHWILA**

już **IDZIESZ PO DNIE RZEKI**  
płosząc **JASZCZURY** naszego smutku  
a na osieroconych sercach **SKAZA**  
bo jeszcze **PIEŚNI (NIE)WYŚPIEWANE**  
i **MITY POWRACAJĄCE** nie dadzą zapomnieć  
że opadła na zawsze c z a r n a kurtyna  
**AUTORSKIEGO TEATRU**

26.11.2014

## Względność

szczęście nie potrzebuje zegarów  
nie liczy godzin i lat  
ono mknie jak szalone  
jakby sekundniki życia  
popychał kosmiczny  
wiatr losu

ból złorzeczy czasowi  
godziny i daty  
nie zapobiegają niczemu  
one toczą satelity łoż  
po orbitach oczu

ból jest samotny  
jak kołek w płocie  
rajskiego ogrodu

szczęście pławi się w czasie  
w bólu czas przybliża  
godzinę ostatnią  
ale on jest przewrotny  
jeszcze się może wydostać  
z podziemi krążenia  
i wedrzeć ostrym bólem  
w niejedno ludzkie  
szczęście

12.07.2014



Władysława Szproch: *Anioł 2*, suchy pastel

## **Magiczne gniazda**

Wiersze to tylko słowa.  
A słowa jak ptaki stworzone są do lotu.  
Ściągnięte na ziemię,  
Nie ukażą skrzydeł rozpiętości barwnej,  
Gdy łącząc się swym kluczem otwierają przestrzeń.

Wiersze magiczne gniazda kołyszą w przestrzeni ptaki,  
Co wzniosły się ponad własnych skrzydeł miarę i czas,  
Gdy lot ostatni 2} BŁĘDNY OGNIK

Poezja zdarza się czasem pomiędzy słowami, Pełza jak  
błądny ogień, Oświecła obrazy.

Albo jak iskra elektryczna  
Przeskakuje,  
Wybucho,  
Zapala.  
Mnie poraziła, gdy ciebie ujrzałam.  
Powiedziałam – poezja  
To miłość – myślałam

## **Eros i thanatos**

Jest takie światło  
W obrazach El Greca,  
W powietrzu nasyconym  
Najczęściej przed burzą,

W ogniu, który nie płonie,  
W płomieniu, co gaśnie nagle  
Jak życie lub miłość.

Eros i Thanatos  
To prawie to samo,  
Bo nic się nie zmienia.  
Może tylko światło,  
Gdy w oczach twych nieodbite,  
Blask traci.

## **Pejzaż**

Kolejna przestrzeń drzwi otwartych  
Na szatę bóstwa w mgłę wtuloną.  
W mych ramach spojrzeń kwitnie pejzaż  
Zbudzonych oczu raj wyśniony.

Zamglony werniks kruszy słońce.  
Otwartych powiek dar rozjaśnia.  
Fibrów szarego płótna szukam,  
Błękit Inu kwiatów się wyłania

## **Płynące dźwięki**

Słowa są płaskie jak powierzchnia wody  
Z lustrem, co obraz czasami odbija;  
Optykę głębi zmienia jednak zawsze  
I dno najczęściej ukrywa.

jak mam do Ciebie modlić się słowami?

To tylko dźwięki płynące po fali,  
Pod nimi głębie wszystkich oceanów  
Rafy koralowe czyste i zmurzałe statki  
Ty widzisz, Panie.

Ty widzisz wszystko. Boże Nieskończony,  
Bez słów rozumiesz moje myśli.  
Przyjmij modlitwy próbę nieudolną,  
Amen słów najcichszych

## **Zacumowana kra**

Ciało moje przezroczystym lodem,  
Zimno chroni moją egzystencję  
Słońca lękam się jak kiedyś Ikar  
Ciepło topi mnie i zmienia w wodę

Resztką ciała swojego się rzucam  
W wodę zimną, co ze mnie powstała.  
Lecz nie tonę, gdyż krą tylko jestem,  
I nie płynę, przy brzegu zostałam

## **Ze słów nie rozbieraj**

Nie poszukuj mnie w wierszu  
I ze słów nie rozbieraj.  
Nagość raczej przystoi malarzom.

A mnie w listku figowym  
Chyba bardziej do twarzy.  
Każdy własne ma środki wyrazu.



## W jesienne wykopki zdarzył się cud

To był zwyczajny, wyjątkowo gorący październikowy dzień, gdy nagle spokojny, zmęczony i senny nastrój przerwał przejmujący krzyk matki: – Gdzie jesteś? Wracaj do domu, Polak został papieżem...!

Zostawiłam płonące ognisko, motykę, wiklinowy kosz, niedopieczone ziemniaki i dym unoszący się nad rzeką. Jak zając biegłam susami przez miedzę, klucząc w ciemności.

Chwilę postąłam w drzwiach otwartych na oścież. W pokoju aż dudniło od nastawionego na cały regulator telewizora. Sześć par oczu wpatrywało się w mało znaczące obrazki. Widać było jednak, że to, co przed chwilą usłyszeli, odebrało im mowę. Dziadek drapał się po łysinie, ciotka Natałka złożyła ręce jak do pacierza, Alina, jej córka, wzdychając szeptała „O Matko Boska, o Matko Boska”, sąsiadka Władzia wznosiła oczy do świętych obrazków na ścianie, brat Adam stał oparty o kaflowy piec, a mama co rusz nerwowo wygładzała fałdy na niebieskim fartuszk. W pewnym momencie wydukała: – Jeśli to prawda, powinni powtórzyć w *Wiadomościach*.

Nagle pojawił się najmłodszy, 9-letni brat Szczepan, który tak jak stał, chcąc skupić na sobie uwagę, dał nura w pierzynę. Nikt oprócz niego nie ruszał się z miejsca, ciszę przerywały jedynie westchnienia i pytania bez odpowiedzi: Jaki Karol Wojtyła, skąd się wziął? E, to chyba bujda. Ciotka kręciła głowę z niedowierzaniem.

– W kościele na mszy dowiemy się od księdza – odezwała się sąsiadka.

Sadowiąc się blisko telewizora pomyślałam o tym, że pewnie jutro w szkole będzie głośno o wyborze, więc nie będę dzisiaj odrabiać lekcji. Mogę dostać następną dwóję z matematyki, niech się dzieje co chce, rozpromieniona wpatrywałam się w ekran.

Tuż przed wiadomościami robiło się coraz bardziej uroczyście. Choć mama wspomniała o krowach zamkniętych w oborze od południa, nikt o nich nie myślał, bo to, co się wydarzyło w Watykanie było wręcz niepojęte. W pewnym momencie wszyscy nawzajem zaczęli się uciszać, gdy na ekranie telewizora pojawił się biały dym nad Kaplicą Sykstyńską zwiastujący wybór pa-

pieża. Spiker wymienił nazwisko Wojtyły, a my wszyscy za nim powtarzaliśmy – Mamy papieża Polaka, Karola Wojtyłę z Krakowa. Patrzyliśmy na siebie szczęśliwi, czując jedynie w podświadomości wiejskich umysłów, że wydarzyło się coś, co ma znamiona cudu... Każdy z nas czuł i wiedział, że to, co teraz się stało w stolicy Piotrowej, zmieni jego i nasze życie.

Nie było z nami ojca, który pracował na Węgrzech i tam dowiedział się od gospodyni o papieżu Polaku, najstarszy brat studiował w tym czasie na Śląsku, siostra po ukończeniu kieleckiego plastyka rozpoczęła pracę w fabryce firanek koło Tarnobrzega, ale oni też odczuli ten wyjątkowy moment i wyjątkowy wybór.

Z poniedziałkowym dniem 16 października 1978 roku będzie mi się jeszcze kojarzyło zachodzące na czerwono słońce i znany czterowiersz Juliusza Słowackiego:

A trzeba mocy, byśmy ten pański  
Dźwignęli świat:  
Więc oto idzie papież słowiański,  
Ludowy brat.

To był taki niby zwyczajny, a przecież nadzwyczajny dzień.

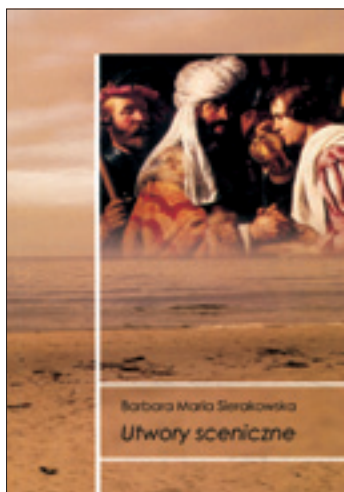


Władysława Szproch: *Ptak*, tech. komputerowa

Krystyna Cel

## Dramaty pobudzające do refleksji

Ciekawym wydarzeniem literackim była promocja książki Barbary Marii Sierakowskiej *Utwory sceniczne*, wydanej w roku bieżącym. Autorka, znana już ze swoich tomików poetyckich, także prozatorskich dokonań, zmierzyła się z trudną sztuką dramatu. I, co ciekawe, niektóre z nich, jak np. *Czy tylko Piłat?* powstały aż trzydzieści lat temu w surowych, jak sama pisze w słowie odautorskim, warunkach stanu wojennego.



Książka B.M. Sierakowskiej zawiera cztery utwory dramatyczne: *w s p o m n i a n y* już *Czy tylko Piłat?* (wyróżniony w ogólnopolskim konkursie literackim w 1983 roku) oraz *Skandal, Co tam, panie, w polityce?...* i *Skrzat*. Pierwszy z tych

utworów zaprezentowany został właśnie w czasie promocji w Domu Środowisk Twórczych i spotkał się z uznaniem zebranych, którzy nagrodzili młodych uzdolnionych wykonawców z IV Liceum Ogólnokształcącego gromkimi brawami. Jak wiemy, dramat zgodnie ze swoim przeznaczeniem najlepiej realizuje się na scenie. Otwiera się tu bowiem pole zarówno dla aktorów, jak i reżysera, od którego w dużej mierze zależy, w jaki sposób przedstawi, wykreuje to, co jest przesłaniem czy ideą utworu. Dlatego ogromne słowa uznania należą się pani Jadwidze Kuchince, świetnej polonistce i opiekunce teatru szkolnego w IV Liceum.

Sztuka B.M. Sierakowskiej rozbudziła emocje i dyskusję, bo – przeniesiony we współczesność biblijny i zarazem historyczny wątek Poncjusza Piłata – okazał się niezwykle aktualny. Można powiedzieć, że dramat ten ma w jakimś sensie wymiar paraboliczny, gdyż mieści się w odwiecznej problematyce dotyczącej władzy i władców

oraz tych, którzy im podlegają albo też są na nich skazani, bo to określenie jest chyba właściwsze. Sztuka otwiera przed czytelnikiem (w teatrze widzem) mechanizmy funkcjonowania władzy. Piłat umywa ręce, ale przecież to nie tylko on jest tu sprawcą niegodziwości, zła i okrucieństwa, nie tylko on dba o swoje prywatne interesy, o umocnienie władzy i utrzymanie jej za wszelką cenę.

Faktem jest, że dramat B.M. Sierakowskiej nie może mieć optymistycznego przesłania, bo przecież w zakresie sprawowania władzy nie aż tak wiele zmieniło się od tych czasów najdawniejszych. Broni nas wprowadzie demokracja i musimy jej usilnie strzec, bo tylko ona może uchronić nas przed zakusami polityków czy politykierów. Jest więc utwór ciekawą konfrontacją tego, co współcześnie wiemy o władzy, o polityce, o względności takich pojęć jak prawda, sprawiedliwość, wolność, z tym sprzed wieków, wydawałoby się, że tak już oddalonym, innym, a jednak jak bardzo podobnym.

W książce B.M. Sierakowskiej znalazły się jeszcze trzy utwory sceniczne. Zaintrygował mnie jeden z nich, zatytułowany *Skandal* z podtytułem *Współczesna komedia obyczajowa w dwóch aktach*. Całą akcję kreują tu zaledwie cztery osoby i zamykają ją w kręgu rodziny. Mamy więc młode małżeństwo – to Paweł i Agata oraz ojca Pawła – Ryszarda i matkę Anny – Barbarę, którzy stają się teraz niezwykle ważni dla młodych, bo opiekują się ich maleńkim dzieckiem sygnalizującym od czasu do czasu swoją obecność. Scenografia dramatu jest w zasadzie prosta, może rozgrywać się w jednym pokoju. Ale najciekawsze jest to, że te cztery osoby stwarzają pełną dramaturgicznego napięcia akcję, która z każdą sceną narasta, bo też przedstawiciele starszego pokolenia, ludzie wolni, samotni, jeszcze pełni życia i atrakcyjni, zakochali się w sobie i, co więcej, Barbara jest... w ciąży. Szykuje się więc w tej rodzinie coś na miarę skandalu. Rodzice boją się reakcji dzieci, tym bardziej że ci młodzi to już trochę obca im generacja. Dla nich liczą się: kariera, układy znajomości, pieniądze, wyjazdy za granicę. Może to ci z wyścigu szczurów?

Autorka buduje atmosferę pełną obaw i niepokoju. Czytelnik może się spodziewać nawet ostrego konfliktu między rodzicami a dziećmi, czegoś, co może zakłócić te dotąd tak dobre relacje. Tym bardziej że Paweł sugeruje nawet aborcję, co budzi zdziwienie Agaty, bo zna jego poglądy i poglądy stronnictwa, do którego należy. Czy ta krótka scena nie obnaża jakże często spotykanej dziś hipokryzji? Poglądy można głosić, ale w stosunku do siebie samego czy do swoich bliskich nie muszą one mieć zastosowania.

Ale przecież utwór B.M. Sierakowskiej to komedia. Czekaj więc czytelnika nieoczekiwany zwrot akcji – młodzi staną jednak na wysokości

zadania. Ostatnia scena jest więc szczęśliwym rozładowaniem napięcia – można wziąć głębszy oddech po narastającej fali złych przeczuć. Sądzę, że gdyby ten utwór został wystawiony na scenie, taka właśnie byłaby reakcja widzów.

Dobrze się stało, że B.M. Sierakowska wydała (po tylu latach) swoje utwory sceniczne ukazujące wiele problemów naszej współczesności. Są też one dopełnieniem ciekawej i różnorodnej twórczości autorki.

Barbara Maria Sierakowska, *Utwory sceniczne*, Wydawnictwo Pisarze.pl, Warszawa 2014, s. 179.

## Dwugłos o poezji Barbary Białowąg

### Wiersze z przesłaniem

Barbara Białowąg w kolejnym, już szóstym, tomiku wierszy napisała: „poezja ma moc rozsuwania zasłon”. Obcowanie z utworami poetyckimi, czytanie różnych poetów jest coraz to nowym „rozsuwaniem zasłon”, by ujrzeć świat zaproponowany nam przez twórcę, świat jego doznań, przemyśleń, refleksji, wartości. Możemy więc podążać za wszystkim, co w swoim istnieniu przeżywa podmiot liryczny wpisując się w odwieczną wędrówkę „bezkresnym szlakiem”, którego horyzont ciągle ucieka, a droga choć ta sama, to jednak dla każdego inna i nie do końca poznana. Dzielimy więc niejako wspólny los, ale czy współistniejemy razem. To chyba jedno

z ważnych pytań, które pojawia się w tym najnowszym tomiku. Pytanie to wyrasta nie tylko z obserwacji współczesnego świata, ale przede wszystkim z wrażliwości wyrażającej się w pragnieniu widzenia naszej rzeczywistości w humanistycz-

nym wymiarze, na który składałyby się: wzajemne zrozumienie, poszanowanie godności człowieka, kierowanie się miłością i sercem. W tych poetyckich przesłaniach B. Białowąg często zwraca się do czytelnika, by, nie zrażając się trudnościami życia, szedł swoją wybraną, prostą i szlachetną drogą. Możemy doszukać się tu świadomych nawiązań do poezji Herberta, który, jak wiemy, stawiał przed człowiekiem tak wysokie moralne cele. Wiersz *Na progu dnia* kończy autorka właśnie cytatem z autora *Przesłania Pana Cogito*: „Bądź wierny. Idź!”. Poetka zdaje sobie sprawę, jak wysokie są to wymagania, stąd pyta: „Jak wpleść w codzienność to trudne zadanie?”. Szerzej rozwinie tę myśl w wierszu *Głosy wieczoru*, gdzie, jak wskazuje tytuł, pojawiają się przyplływające ku nam „szarość, zniechęcenie, pretensje, nieukozone zgryzoty”, a przecież na progu dnia mieliśmy zgoła inne zamiary. Pojawia się refleksja, że być może nie potrafimy odnaleźć siebie nawzajem, że gubimy ten największy dar – życzliwość, że może to nasz egoizm bierze górę i „każdy sam sobie się śni”. A to już słowa z wiersza *Donikąd*, które tu przytoczę:

zgestniała niemożność  
obezwładnia bezradnością  
pozostawia rzeczy i czas w bezruchu  
osiada na kształtach zaczętych  
lecz niedokończonych

wśród pędzących donikąd dni  
deszcze wypłukują z sensów pamięć





zasypane śniegiem powrotne drogi  
nikt na nikogo nie czeka w tę zamieć  
każdy sam sobie się śni

Ale to jeden z niewielu wierszy o pesymistycznym wydźwięku, bo poezja B. Białowąg przynosi dużą dawkę optymizmu i wiary, że człowiek spełni pokładane w nim nadzieje, stojące przed nim wyzwania, bo „życie warte jest by być”.

Utwory o tak głębokim przesłaniu to tylko jeden z kręgów tematycznych w tym tomiku, bo przecież są tu wiersze o miłości, niektóre z nich napisane z myślą o ich wokalne realizacji (autorka opatrzyła je podtytułem „piosenka”), jak np. utwór *Zostań ze mną*, którego każda strofa rozpoczyna się wersem mogącym stanowić melodyjny refren. Dobrze, że tomik porusza tak wiele tematów, bo każdy czytelnik może odnaleźć tu utwory będące dla niego tymi najbliższymi albo też takie, które „rozsuwając zasłony” otworzą przed nim nowe spojrzenie na świat, na człowieka i na własne życie. Dla mnie ciekawymi utworami są w tym tomiku dwa: *Przyspieszona lekcja dojrzewania* i *Co mnie łączy z mrówką?* Wybrałam tylko te dwa, bo w tak krótkiej wypowiedzi nie sposób analizować i inne, równie interesujące.

Włodzimierz Kłaczyński

## Horyzonty poezji

Utwory literackie albo dają się całkowicie zamknąć w krytycznym opisie, albo – co stanowi ich wartość – temu krytycznemu opisowi wymykają się. Te, o których można mówić i ciągle nie być sytym, nie dochodzić do ostatecznej konkluzji, bo autor ukazuje nowe światy, stanowią jedną z wartości literatury. Ja ciągle odnajduję coś nowego w wierszach Barbary Białowąg zebranych w sześciu tomikach (pierwszy wydała w 1997 r., najnowszy w bieżącym).

Odkrywam w autorce „naprawiaczkę świata”, nowego świata, pełnego chaosu, nepotyzmu i trwogi: „w pierwszym szeregu głośno klaskać, by zauważyli mnie”, „a w środku duszyczka lękliwa, siermiężna i na podórzedziu komunalów wór”, „klaskałem bo się bałem”. Prostem słowem, prostym rymem (ale nie częstochowskim) toczą się rozważania autorki nad mentalnością współczesnych. Widać też troskę o kraj, której raczej nie spodziewałbym się w tomikach, gdzie wiersz jest tekstem piosenki. „Jest

W obu wierszach odnajduję bardzo ładne pod względem artystycznym opracowanie ciekawego tematu, nazwałabym go pomysłem na wiersz. To chyba najważniejsze w poezji – mieć ciekawy pomysł i poetycko, artystycznie go opracować. W pierwszym utworze pomysłem jest podpatrywana przez nastolatkę miłosna ekstaza, kiedy to „z muzyki dzieciństwa nagle wytrącona/ stanęła przed nieznanym” i „rozpalona widokiem/ płonie teraz cała”. Poetka doskonale oddaje całą gamę uczuć przenikających młodzieńką dziewczynę, bo przecież to podpatrzone burzy spokój niewinności. Z kolei w drugim wierszu pomysł zasadza się na ukazaniu podobieństw między wystraszoną mrówką biegającą tam i z powrotem po powierzchni ogromnej dyni a człowiekiem, czującym „całą swą osobą/ kulistość ziemi/ jeżdżąc latając chodząc”. Odpowiedź na pytanie postawione w tytule przynosi puenta zrównująca mrówkę i człowieka do zaledwie maleńkiej cząstki wkomponowanej w ogrom przestrzeni. Oba te utwory świadczą o umiejętności obserwacji, widzenia tego, co czasem uchodzi uwadze innych i oczywiście nadania zaobserwowanemu poetyckiego kształtu.

taki kraj, gdzie swojsko pachną łąny”, w którym jednak „wspólnoty już nie ma”. A dalej jest już filozofia czasu, przestrzeni i tego, co jest poza przestrzenią i czasem, bo pyta: Przez kogo? Po co? Dlaczego?

Lektura tej poezji jest przygodą i odnosi się do wszystkich poetyckich jej wypowiedzi. Przygodą, po doznaniu której widzi się nowy horyzont, bo autorka wraca do wiosny uczuć i lęku oczekiwanego spełnienia. Jest filozofią miłości i rozłąki, czyli „muzyką ukrytą w drzewie” oraz wymiarem przestrzeni i czasu, które trzeba pokonać, aby dotrzeć do przystani. Autorka nawiązuje do wartości takich, jak wolność, ukazując bezowocność wtłoczenia wolnego życia w sztampe sztywnych reguł.

Poezja Barbary Białowąg jest wielowymiarowa, zaskakująca, to znowu wciągająca w rytm muzyki czytania i zmusza do ciągłego wracania, szukania, znajdowania i odkrywania.

Barbara Białowąg, *Bezkręsnym szlakiem*, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, Kielce 2014, s. 79.

## Marek Grechuta – genialny poeta i piosenkarz

*Gdy płomień świec ogrzewa myśli chłód  
idziemy tam, gdzie raj, płyniemy tam, gdzie cud...  
Gdy syren gwizd symfonię bólu gra,  
biegniemy tam, gdzie krzyk, na zatracenie zła*  
Marek Grechuta: *Krajobraz pełen nadziei*, 1989

W moim życiu muzyka odgrywa bardzo ważną rolę; w muzyce dostrzegam nie tylko dźwięk, ale przekaz w nim zawarty. Treści zawarte w nutach, tekstach i harmonijnej melodii, wzruszają mnie, bawią, a czasem zasmucają. Przez muzykę wykonawca może wyrazić swoje emocje i podzielić się z innymi swoimi obawami i odczuciami. Zawsze lubiłem muzykę. Przez moje długie życie słuchałem różnych jej rodzajów: od jazzu klasycznego, poprzez bossa novę, muzykę pop, rap, po różne rodzaje rocka. Muzyka pomagała mi w walce z ciężką chorobą nowotworową, w chwilach smutku i zwątpienia. Słuchałem wówczas piosenek moich ulubionych wykonawców – głównie Grechuty.

Grechutę odbieram jako niesamowite zjawisko, wrażliwego i genialnego artystę. Absolutna szczerłość i otwartość jego piosenek pozwala się w nich głęboko zatopić. Uwielbiam go – nie zdając sobie z tego sprawy – zwłaszcza wtedy, kiedy słucham największych przebojów z pierwszych lat jego twórczości.

Spotykałem się z oceną Grechuty, w której częściej określano go jako poetę, niż jako kompozytora. I choć początkowo nie mogłem pogodzić się z takim jego zaszeregowaniem, wydaje mi się, że w pewnej przerośni jest to doskonałe określenie. Bo właśnie poeta, a nie muzyk czy malarz, jest jakby najpełniejszym wyrażeniem dla słowa „artysta”. Grechuta kochał poezję. Z jego twórczości i tego, co dowiedziałem się od niego podczas spotkań autorskich, koncertów, audycji radiowych czy też telewizyjnych, wyciągam wnioski, że Grechuta kochał poezję całym sobą. Muzyka była dla niego zupełnie inną Muzą, a jednak potrafił swoim śpiewem doskonale wyrazić najwyższe piękno, które dostrzegał w poezji. W swojej piosence śpiewał: „*Jesteś zielenią mą, jesteś błękitem mym, dobra*

*poezjo, słuگو życia, ponad światem złym...”*. To właśnie osobliwe uwielbienie składane przez artystę – poezji.

Jego geniusz wyrażał się w absolutnym słuchu zarówno do muzyki, jak i do poezji, w umiejętności takiego łączenia i tworzenia syntezy tekstu poetyckiego z muzyką, że każdy z tych elementów wspierał drugi i jakby jeszcze dodatkowo podkreślał jego piękno. W Grechucie dostrzegam niespotykany talent tworzenia. U niego każda płyta to było nowe objawienie, nowa przygoda. (...) *gdybyśmy słuchali tych płyt osobno, nie mając świadomości, że tworzył je jeden artysta – moglibyśmy śmiało przyjąć, że to zupełnie różni ludzie w różnym czasie*.

Jednym z głównych aspektów twórczości Grechuty jest miłość do żony Danuty. Piosenka, pt. *Nieoceniona*, z jego późniejszego okresu, to moja ulubiona piosenka. Również utwór *Będiesz moją panią*, i to, czy śpiewane przez zakochanego młodego Marka, czy później, po latach, przez dojrzałego mężczyznę, zawsze mnie wzrusza, chwyta za serce i wywołuje mimowolny, szeroki, rozrzuwniony uśmiech. Bo słowa piosenki są proste, kiedy jej słucham – słowa i melodia – trafiają wprost do mojej duszy i serca. Słowa o tym, że „*jesteś najpiękniejsza ze wszystkich*”, „*to było przeznaczenie*”, „*jestem szalonym szczęściarzem*”, „*kocham cię*”, są banalnie proste, a przecież wyrażają niewyobrażalnie dużo. Tylko mistrz poezji ze zdania: „*Będę z tobą tańczyć, bajki opowiadać*” potrafi uczynić coś, co jest autentycznie piękne. Temat miłości zawsze był w jego twórczości bardzo ważny; uważam, że był genialnym wykonawcą piosenki miłosnej. „*Będziesz zbierać kwiaty, będziesz się uśmiechać, będziesz liczyć gwiazdy, będziesz na mnie czekać...*”. Tej samej kobiecie, bodaj po dwudziestu latach śpiewał: „*Na pewno się spotkamy – miłość drogę zna*”, „*Kiedy mnie pytasz, czym jest miłość, mówię – tobą jest...*” albo „*Cicha jak sen, dobra jak ten promyk jej ciepłych oczu, Wierna jak cień w pogodny dzień...*”.

Niewątpliwie jego piosenki poświęcone ukochanej zawierają tysiące przemilczeń oraz obraz żony widziany przez Marka w chwilach poetyckiego uniesienia. Ale artysta miał to do siebie, że zawierał w utworach to, co najważniejsze, czyniąc je czytelnymi i tak bardzo rozgrzewającymi serce. Cokolwiek by to nie było, pisał szczerze, czemu nikt, kto słyszał choćby tylko jego piosen-

ki, nie potrafiłby chyba zaprzeczyć. Miał w sobie to, się nazywa charyzmą!

*Pieśń wigilijna* to z kolei osobista modlitwa. Tytuł nawiązuje do tragicznego wprowadzenia stanu wojennego podczas przygotowań do Wigilii 1981 roku. Wprowadzono go trzy dni po 36. urodzinach artysty. Ale jest to jedyna tego rodzaju aluzja – Grechuta skupia się tu raczej na metafizycznym wymiarze ludzkiej pracy, „*Codziennie się staramy, by zrobić podobny cud...*”, na pokornej prośbie o „*mały gest*” od Boga „*Niech nas nie poszarza trudów codziennych trans, niech się czasem zdarzy nam tych kilka szans*”.

Wspomnieć należy jeszcze utwór sławiący pracę ludzi, którzy klęczą „*na kolanach w polu grudek, by wypełnić stołów krąg*”. Artysta wyraża szacunek dla tych, którzy wykonują tak prostą, ale jakże ciężką fizycznie pracę, na którą inni często patrzą z pogardą – „*Składam pieśń do rąk spękanych, rozmodlonych w żyznej glebie*”. Słyszymy zaskakujące w ustach artysty-intelektualisty porównanie: „*Tak jak ci, co nocą ślęczą, by dokonać nowych czarów*”.

Utwory, które rozkochały mnie w poezji i muzyce Grechuty, to wiersze do muzyki Pawлуśkiewicza: *Tango Anawa*, *Nie dokazuj*, *W dzikie wino zaplątani*, *Dni, których nie znamy*, *Świecie nasz*, to utwory, które rozstały Grechutę, od początku pełniły ważną rolę w repertuarze piosenkarza. Tutaj należałoby jeszcze wspomnieć takie szlagiery, jak: *Jeszcze pożyjemy*, *Godzinę miłowania*, *Muzę pomyślności* czy *Dni których nie znamy*. Dla mnie utwory te mają w sobie coś bardzo przekonującego – a muzyka i śpiew czynią z nich małe arcydzieła. I choć wiersze napisane są prostym językiem, zachwycają głębią poezji. Oczywiście nie znaczy to wcale, że teksty są banalne albo głupie – to właśnie ich poziom „intelektualny” czyni z piosenek takie szlagiery. Grechuta nigdy nie zatracił ciepła ani otwartości na innych ludzi.

Jedyną piosenką mającą „programowo” dość pesymistyczny wydźwięk jest *Najdłuższa pora dnia*, opowiadająca paradoksalnie o... nocy. Uduchowiony artysta cierpiał na tak prozaiczną, acz straszliwą przypadłość jak bezsenność i tu daje wyraz owej „tęsknocie za snem”, który niesie często tak cudowne, a trudne do osiągnięcia wyzwolenie. Śpiewa o smutku, ale i o cudownych przeżyciach czy oczekiwaniu, które nie pozwala-

ją zasnąć. Pojawia się dość gorzkie i, jak mi się wydaje, nieco ironiczne stwierdzenie: „*Życie nie sen, a więc nie prześpij go – bezsenność wielu godzin wydłuża życie to...*”.

„*Na moje koncerty przychodzi pewien gatunek ludzi, szukających chwili zadumy, chętnych do wysłuchania dobrej poezji, oprawionej odpowiednią do tych wierszy muzyką. Przychodzą na recital, który pozwoli im na chwilę refleksji*” – mówił Grechuta.

Bywałem na koncertach Grechuty. Obserwowałem, jak w skupieniu podchodził do fortepianu, jak spod palców wybuchała mu burza dźwięków, mocnych, niecierpliwych, targanych niespokojnym rytmem. Muzyka wypowiadała wyraźniej duszę grającego, niż spętane więzią taktu utwory.

I nagle zrozumiałem, co Grechuta chce wypowiedzieć swoją muzyką. Przebiegł mnie dreszcz. Marek grał z niesłabnącą energią. Widziałem jego podniesione ramiona i odsunięte na zewnątrz łokcie. Raz po raz odrzucał do tyłu głowę. Czułem, jak w melodię przelewają się wewnętrzne uczucia tego człowieka, bolesne, gorzkie doświadczenie, jak walczy ze swą słabością. Chciał sięgnąć aż do dna rzeczywistości, chciał odnaleźć sens – prawdziwy sens życia, który zdawało się być wszelkiemu sensowi obce.

Ogarnęło mnie wzruszenie. Łzy napłynęły do oczu i zbiegły kroplami po policzkach. Nie obcierałem ich. Ileż spraw jest pomieszanych ze sobą na tym świecie. I czym jest życie? Nieustanną walką między życiem, miłością a śmiercią. Ludzie przychodzą i odchodzą, miłość wybucha i gaśnie.

Dla mnie przejmującym jest jego ostatnie nagranie *Niech będzie imię twe błogostawione* do słów Karola Wojtyły. W najtrudniejszym okresie mojej choroby, w głębokiej depresji z przejęciem słuchałem tej piosenki, w której Grechuta z ufnością zwraca się do Boga, który już wkrótce miał go przyjąć. To ostatnie wyznanie wiary bardzo doświadczonego przez los człowieka, które zamyka jego karierę, stało się moją swoistą modlitwą o powrót do zdrowia. I zostało wysłuchane.

Izabela Okrój o Grechucie w swoim artykule napisała: „*Ten skromny i niesłuchanie wrażliwy człowiek był kimś znacznie więcej niż tylko piosenkarzem – był kimś, kto stał się przewodnikiem po świecie emocji, nazywając z delikatnością*



uczucia, stawiając pytania. Nie ulegał modom, czarował słowem i dźwiękiem jakby z innego świata. Nadawał przez lata codzienności zapach, nastrój. Opisywał tęsknoty szlachetnym, prostym słowem i ogromnym ładunkiem wrażliwości, ale i charyzmy”.

Dla mnie Grechuta jest jednym z najbardziej oryginalnych artystów polskiej muzyki popularnej. Interpretował zarówno własne teksty, jak i wiersze polskich poetów od przełomu poprzednich wieków do współczesności, współpracował

Emil Biela

## Odkrywanie tajemnic codzienności

Nowa książka poetycka *Słowem w nurcie* Kazimiera Szczykutowicz dowodzi autentyczności talentu i powołania autorki. Lektura tego tomu wierszy skupia uwagę na odkrywaniu tajemnic codzienności, której nurt jest nam tylko pozornie dobrze znany. Liryczna „lornetka” poetki ukazuje „zapasy marzeń” oraz ukryty optymizm spod znaku metafizycznego Słowa. Oby one nigdy się nie wyczerpały! Słowo, które było i jest ciągle żywe, młode i aktualne oraz potrzebne. To znak firmowy tej książki. Kazimiera Szczykutowicz o tym pamięta i swoją wiedzę w tej kwestii czytelnikowi hojnie przekazuje, podkreślając ważność miłości, która nie umiera.

Zapomniany poeta, Seweryn Goszczyński (1801–1876), napisał kiedyś, że „poezja jest wszędzie, w każdej chwili, jak bóstwo, nikomu nie wzbrowiona, jak zbawienie, jak uczciwe słowa”. Pod tymi słowami podpisać się może Kazimiera Szczykutowicz.

Zamykając ten tom *Słowem w nurcie*, nie przeoczmy wiersza *Pośród ścieżek*:

otwieram dłoń  
wewnątrz porwane ścieżki  
poprzecinane niespodziankami

gdzie teraz

zamykam dłoń  
niech trzyma co mam

miłość  
ma wiele imion

z wieloma wybitnymi instrumentalistami. Łączył elementy rocka progresywnego i nowoczesnego jazzu z elementami muzyki etnicznej czy klasycznej. Wpisal się do największych indywidualności polskiej sceny muzycznej, pozostając jednak zawsze poza jej głównym nurtem.

Warszawa-Wesoła, 26.06.2014

Jan Chruśliński

bliskich choć daleko  
pamięć sięga  
odnawiam  
jak odkurza się mieszkanie  
zamykam odwiedziny  
zmiany powymiatane poukładane

radzą sobie  
na szczęście  
wracam do siebie  
do szczęśliwych snów  
układam spokój

Zapamiętajmy ten wiersz. Bo każdy z nas ma dłoń ze ścieżkami. Niech prowadzą one do miłości, jak radzi poetka.

Słowo wstępne do tomiku Kazimiera Szczykutowicz, *Słowem w nurcie*, Kielce 2014, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 109.



## Znaki i moc pamięci

Aleksandra Petruszewicz znana była dotychczas jako poetka, fraszkopisarka i autorka książek dla dzieci, lubianych przez najmłodszych czytelników. Obecnie oddaje do rąk czytelników dorosłych tom nowelistyczny, składający się z czterech dłuższych opowiadań. Poznajemy ją więc jako prozatkę; dodam: prozatkę od razu z dobrym, zdumiewająco wyrobionym stylem – obrazowym, poruszającym wyobraźnię.

Tytuł *Echa tamtych lat* zdradza wspomnieniowy charakter tych opowiadań, które dzięki walorom kreacyjnym są jednak czymś więcej niż pamiętnikiem. Są głębszym wniknięciem w dusze bohaterów i pełniejszym przedstawieniem zdarzeń z ich udziałem.

Najwrażliwiej zarysowane są postaci polskich Żydów w dramatycznych dla ich losu latach wojny i hitlerowskiej okupacji. W pierwszym opowiadaniu, *Namydło*, widziane są oczyma dziecka, niespełna 6-letniej dziewczynki-narratorki. Świat w jej oczach jest kalejdoskopem osobliwości, jakie utrwaliły się w pamięci z zabaw dziecięcych i tu odtworzone zostały niczym film kadr po kadrze sugestywnie. Plastyczny opis ukazuje barwne sylwetki Żydów zamieszkałych w najbliższym sąsiedztwie współbohaterki-narratorki: jej rówieśnika Lejzorka, który „Jest pięknym, rudowłosym kędzierzawym i czarnookim chłopczykiem”, stuletniej jowialnej prababki rodu wyrokującej w sprawach rodziny, wujka Lejzorka „z długą czarną brodą, pejsami przy uszach i mycką na głowie”.

W trakcie beztruskich wspólnych zabaw dzieci polskich i żydowskich powtarzane jest przez Lejzorka tajemnicze dla małych rówieśników słowo „namydło”, którego groźny sens rozszyfrowany zostaje dopiero w złowrogo brzmiących wyrażeniach o ciałach Żydów przerabianych w obozach zagłady na mydło. Tragiczny finał akcji udostępnia taką możliwość. Nie udaje się uratować rodzin żydowskich, wyprowadzanych bestialsko przez gestapo z mieszkań, wpędzanych na samochodowe platformy do wywózki z wiadomym zamiarem. Obraz wystraszonych dzieci, próbujących ukryć się w spowiciu w swetrówką kulę, jest niezwykle wzruszający i wprost

wstrząsający, kiedy nieroztropnie zawołany przez władczą staruszkę z platformy Lejzorek posłusznie wypłątuję się z tej zbawczej kryjówki na straceńczy exodus.

Opowiadanie tytułowe, *Echa tamtych lat*, ukazuje sytuację z czasów okupacyjnych polskiej rodziny. Jest bardzo osobiste, gdyż dotyczy losów osób jej najbliższych – rodziców. W akcję opowiadania wpleciony zostaje motyw pajaków, budzących lęk, ale też ukazanych jako owady ludziom przyjazne wbrew obiegowej opinii, że niebezpieczne. Atawistyczny lęk niesprawiedliwie krzywdzi reputację tych stworzeń, jakie w newralgicznych warunkach potrafiły ocalić chałupę przed złym lokatorem, przywracając ją bezlitośnie wypędzonej mieszkance.

Ten leitmotiv pełni paraboliczną funkcję: wyrównania międzyludzkich porachunków. O ileż bowiem trudniej ludziom wypłatać się z sieci, jakie na siebie zakładają. Demaskują te powikłania, okrucieństwa z ponurej okupacyjnej rzeczywistości, której nie zdołał przetrwać ojciec rodziny, która zraniła matkę i córkę-narratorkę bestialsko jako bezbronne dziecko kopniętą w bok przez esesmana. Jak trudno było wypłatać się z sieci zniewolenia, by ocaleć.

Opowiadanie *Grusza* z lat tużpowojennych przenosi nas do Międzyrzecza, na ziemię odzyskane, gdzie przesiedleńcy z Sannik otrzymują dom do zamieszkania. Dom okolony wspaniałymi drzewami, które przybyszom pomagają oswoić się z nowym otoczeniem. Dla narratorki takim opatrnościowym drzewem okazuje się ogromna, rozłożysta grusza. Zachęcona przez brata, wchodzi niemal na wierzchołek, mimo zagrożenia upadkiem, przełamując w sobie deprimujący dotąd lęk wysokości. Drzewo pozwoliło jej stać się dzielną i odważną. W chwili zagrożenia jawi jej się przed oczami obraz ojca jako Anioła Stróża, który choć zginął w Buchenwaldzie, jest obecny w pamięci jego najbliższych.

Coś z magii ma w sobie ostatnie opowiadanie *Świątokrzyska kropla szczęścia*. Magii płynącej z piękną, barw i zapachów bujnej natury. Rok 1956. Bohaterka-narratorka jest już osobą dorosłą. Szczęśliwym przypadkiem trafia do Masłowa i w okoliczne łąkowe zbocza, doliny. Zaproszona na świętokrzyską wieś, poznaje rodzinę młodego lekarza stażysty, jej przyszłego męża. Jest upojona tutejszą przyrodą, wonią kwiecica i ziół, która oszałamiała.

Pamięć ma swoje znaki, momenty szczególne. Ma miejsca czułe – bolesne i te wywołujące radość, satysfakcję. To rezerwuar, do którego wciąż się sięga, czerpiąc inspirację. Ważne, że tu zostały w niemałym stopniu przez autorkę wykorzystane.

Przeżycia z czasu dzieciństwa i młodości mają też swoją moc, udzielający się wyobraźni klimat. Sprawiają to szczerłość pierwszoosobowej narracji, uczciwa wierność zapisu spraw z otoczenia, sąsiedztwa i tych głęboko osobistych, niemal intymnych. Spraw współczujących w cierpieniu Żydów i Polaków gnębionych wojną i okupacją, i czasu zadomawiania się w nowych miejscach po wojnie.

We wszystkim uczestniczy przyroda, bliska ludziom, jakby wychodząca im naprzeciw. Autorka kreuje jej różnorodność z inwencją, przejęciem. Przepęnia całość autentycznością swego talentu, skłaniając Czytelnika do zadumy, zanurzenia się we własną pamięć – na ile dla innych ocaloną?

Stanisław Nyczaj

Słowo wstępne do tomu opowiadań Aleksandry Petruszewicz *Echa tamtych lat*, Kielce 2014, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 121.



## Pytania i pragnienia

Pytania towarzyszą człowiekowi przez całe życie. Jest ich tym więcej, im bardziej dana osoba została obdarzona wrażliwością i refleksyjnością. Wśród takich ludzi są poeci – na pewno ten dar posiada poetka z Kielc, Krystyna Cel, prezentująca oto kolejny (po czterech poprzednich oraz wyborze wierszy, wydanych w latach 1996–2010) zbiorek wierszy pod pozornie deklaratywnym tytułem *Niewygasłe znaki zapytania*.

Owe znaki są tu tożsame z pytaniami. Kiedyś, w beztróskim dzieciństwie i wczesnej młodości, pytało się często o coś oczywistego. Takie pytania niemal natychmiast stawały się retorycznymi. Dojrzałość życiowa i analityczność myślenia, zwłaszcza wobec przekonania o kruchości życia, o przemijaniu, „nie bawi się” już w pytania o doraźność, lecz o tzw. sprawy ostateczne, o nieuchronny kres doczesnego żywota z podtekstem, w którym – jakże by inaczej! – pozostaje jednak marzenie: co po nas, co po życiu, jaki ślad siebie pozostawimy? W tym aspekcie można rzec, iż poezja tu zawarta dotyka sfery metafizyki.

To jednak nie znaczy, że na dręczące pytania poetka znajduje odpowiedzi. Owszem, to się zdarza, gdy mowa jest o problemach znanych ludzkości od zarania, bo doświadczanych zawsze i przez wszystkich. Ale to są odpowiedzi na pytania o zjawiska i zdarzenia jeszcze fizycznego typu: „Wszystko, co żyje, ma swój kres” – jeśli żyje dosłownie, a nie metaforycznie. Natomiast już pytanie „Gdzie jesteś rzeko Zapomnienia” (*Lete*) pozostaje bez odpowiedzi nie tylko dlatego, że chodzi o mityczną Lete, ale także dlatego, że poetka (czy, jak kto woli, podmiot liryczny jej wierszy) pragnie czegoś niemożliwego: „byś wystąpiła z brzegów / i zabrała z mej pamięci / niedobre sny”. Nie da się wyselekcjonować z pamięci tego, co dobre, a pozbyć złych korników tę pamięć dręczących czy choćby tylko je zignorować.

Dlatego powracają i będą powracać te „niewygasłe znaki zapytania” – po to, by od nowa je przeżywać i nad nimi się zadumać. To proces najczęściej bolesny, lecz wciąż





się generujący, raczej rzadko prowadzący do duchowego i intelektualnego katharsis. Jego rolą jest nękać – pytaniami. Poetka zadaje je sobie i tym samym – czytelnikom w wierszach. Nikt bowiem, kto myśli i czuje, nie jest od nich wolny, zaś poszukiwane i czasem znajduwane odpowiedzi mają wpływ na nasze, zwłaszcza wewnętrzne, życie. Autorka potwierdza to np. cytowanym aforyzmem: „Nie mam już sił poddawać się”. Toteż – pisze – „Moje rozmowy z sobą / trwają coraz dłużej”, bo pytania się mnożą. Czasem są konkretne – o coś sprawdzalnego, kiedy indziej znów niemożliwe do zweryfikowania empirycznego, metaforyczne, np. „Co jeszcze jest w ciszy / oprócz tykania zegara”?

Trafnie dostrzegł – przy innej okazji – Jan Z. Brudnicki, że utwory Krystyny Cel łączą liryczne obrazy z refleksją. Trudno byłoby wyważyć oba te obszary poetyckie, który z nich: liryka czy refleksja dominuje. One są raczej zrośnięte z sobą, stanowią jeden całościowy kształt. Na pierwszy rzut oka szalą pełniejszą wydaje się retoryka myślowa, ale gdy się zagłębić w te wiersze, to znajdzie się, robiący większe wrażenie, czysty nurt liryki.

Nie ma jednak potrzeby dzielić włosa na czworo, rozczłonkować dane utwory w sposób szkolno-akademicki, pomocny może teoretykom poezji. Tu bowiem liczy się przejmujący, choć często mile brzmiący, dźwięk dzwonu poezji lirycznej, jej kunszt nie tyle formalny, ile wnikaający w duszę i serce. Filozoficzne pytania i wątpliwości temu wrażeniu nie przeszkadzają, przeciwnie – czynią lekturę poważną, skłaniającą niekiedy do wiwisekcji własnych odczuć i doświadczeń. Ot, choćby taki fragment wiersza *Rejs*:

ileż to dziś pytań  
wrzucam w bezmiar kosmosu

gdy nad moją głową  
zamyka się powoli  
mroczna kopuła nieba

Życie ludzkie nie składa się jednak tylko ze świata wewnętrznego. Cieleśnie i duchowo żyje się tu i teraz. A czasy są bardziej szalone niż spokojne, zatem targające każdą wrażliwością, a także logiką. Toteż poetka nie ucieka li tylko w siebie, we własne dywagacje i spory z sobą, z własnymi znakami zapytania. Poezja prawie zawsze była czułym sejsmografem, więc i tutaj natkniemy się na gorzki wiersz o współczesnym człowieku. To rozumna bestia, która „odbiera zaufanie / do człowieka// gdy z mroku dziejów / wyłania się on jako okrutna / dzika bestia”. I kolejne pytanie bez odpowiedzi: „co jeszcze wymyśli / ta skądinąd / istota rozumna”?

Poetycka wrażliwość każe czuć boleśnie, gdy widzi się zdeformowaną dziś tradycję, która zamiast – jak przez wieki – stanowić podwalinę dla tworzenia nowego dobra,

„przesądem / zamyka nas jak w klatce [...] z fanatycznym uporem / dokonuje zbędnych podziałów”, „każdy powiew wolności / gotowa stłumić w zarodku”. Brawo, Poetko, ale *mon Dieu* – kto kiedykolwiek, zwłaszcza z rządzących, słuchał poetów?

Niewygasłe zatem są nie tylko znaki zapytania o tzw. kwestie głębsze, nawet metafizyczne. Jest współczesna rzeczywistość, są i – także refleksyjne – obrazki obyczajowe, jak np. z poczuciem humoru napisany wiersz *Ucieczka*, w którym dochodzi do konfrontacji analogicznych doznań tej samej osoby, ale w młodości, a potem w dojrzałym wieku: „Niegdyś zobaczyłam na plaży / skoszarować starość [...] starcze nogi ręce brzuchy [...] w popłochu uciekałam”. Dziś to wspomnienie śmieszne i rozbiera, ale „na plażę chodzę tylko i wyłącznie / indywidualnie”. Obrazek dowcipny, a przecież smutny w swojej wymowie, bo jeszcze raz przypomina o przemijaniu. Podobny w swojej wymowie, choć co innego obrazujący, jest wiersz *Bunt róż*.

Czytając ten zbiorek, można by ulec złudzeniu, że są to wiersze o tonacji przygnębiającej. Byłaby to jednak iluzja wywołana w efekcie powierzchownej lektury. Znalazłbym tu niejedną cytowaną zaprzeczającą tezie o ponurym widzeniu świata przez poetkę lub nawet o jego mroczności. Sądzę jednak, że wystarczy przytoczyć w tym celu wiersz, który świadczy o optymizmie i szerzej – o tym, że poeci, a z nimi poezja, mają jeszcze dar marzenia oraz chęć jego spełnienia. Oto wiersz:

### Pragnienie

Okiełznać niespokojne myśli  
zamknąć je w niedostępnym kręgu

a potem zdjąć z nieba słoneczny promień  
i zatrzymać go w swoim wnętrzu

niech rozświecili je na nowo

Życzę Krystynie Cel, by to pragnienie się spełniło nie tylko w znajdowaniu coraz to więcej trafnych odpowiedzi na niewygasłe pytania, ale także, aby ta poezja spełniała się tak samo w sercach i duszach odbiorców. Albowiem to właśnie czytelnik dopełnia istotę i piękno każdego wiersza, każdej dobrej – jak ta – poezji.

Piotrków Trybunalski, listopad 2013

Rafał Orlewski

Postawie do tomu poetyckiego Krystyny Cel *Niewygasłe znaki zapytania*, Kielce 2013, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 68.

## Dojrzałość poetycka

Najnowszy, opublikowany w bibliofilskiej serii Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, tomik Edwarda Zymana *Poemat współczesny* jest książką w dorobku pisarza istotną. Stanowi ona bowiem z jednej strony kontynuację wątków, tropów i pytań znanych z jego wcześniejszych zbiorów „emigracyjnych” (*Z podręcznego leksykonu*, 2006 i *Jasność*, 2011), z drugiej zaś – jest udaną próbą pogłębienia prowadzonego przezeń poetyckiego i filozoficznego dialogu ze światem. O ile w książkach wcześniejszych, wprowadzających do poezji Zymana motywy nowych (właśnie „emigracyjnych”) doświadczeń egzystencjalnych, refleksja filozoficzna, czy wręcz metafizyczna ujawniała się raczej nieśmiało, o tyle *Poemat* poświęcony jest praktycznie w całości rozważaniom poety o istocie i sensie życia. Co prawda i tutaj, podobnie jak w książkach poprzednich, mamy do czynienia z precyzyjnym definiowaniem przypadłości ludzkiej kondycji stanowiących konsekwencję cywilizacyjnych deformacji, jednak główna uwaga poety zmierza wyraźniej w kierunku transcendencji. To już nie jest spór tylko, czy przede wszystkim, ze światem zewnętrznym, ograniczającym wolność jednostki, ani tym bardziej z tak silnie eksponowaną w początkowym okresie tej twórczości rzeczywistością społeczno-polityczną. Przedmiotem poetyckiej wiwisekcji staje się natura człowieka, ułomność międzyludzkich relacji, iluzja proponowanych przez inżynierię społeczną rozwiązań i – co najbardziej charakterystyczne – zakwestionowanie komunikacyjnych możliwości języka.

W tym sensie otwierający tomik wiersz *Stary Bóg czeka* niesie dodatkowe sensory i znaczenia. Pisze poeta:

Pogrzebano  
Go już dawno

wczoraj  
przedwczoraj  
kilka wieków temu

mimo wysiłku  
bardzo mądrych  
uczonych

umarł jednak  
niezupełnie

dlatego  
fanatyczni pionierzy  
postępu  
mają pełne ręce  
roboty

(...)

nie ma boga  
krzyczą  
przez małe b  
a On jest  
przygląda się im  
z ironicznym spokojem



I to jest jedna z najważniejszych konstatacji tej poezji. Jej zapowiedź niósł piękny, przesycony głęboką refleksją eschatologiczną wiersz *Nad wielką wodą*, zamykający tom poprzedni o wiele mówiącym tytule *Jasność*. To w nim, w dialogu z „dumnym oceanem”, poeta stawiał pytania dotyczące sensu i celu ziemskiej wędrówki. Wiersz ów był co prawda hołdem złożonym zmarłemu w 2007 roku w kanadyjskim Vancouver znakomitemu poecie Bogdanowi Czaykowskiemu, ale czytelnik nie miał wątpliwości, iż jego ukrytym bohaterem jest także sam autor. Poetycko-filozoficzną kontynuację tych rozważań przynosi między innymi zawarty w *Poemacie współczesnym* wiersz bez tytułu, który otwiera *incipit* „Umrzeć można wszędzie”. Kreśli w nim poeta przenikliwą wizję ludzkiej samotności, która wszakże jest nie tyle karą, co wybawieniem. Wczytajmy się z uwagą w zawarte w wierszu uzasadnienie tej tezy:

pozwała wnikliwiej  
dojrzeć przewrotną  
ironię losu

i samego siebie

bez kostiumów  
i masek

być bliżej  
tego  
co nigdy  
niepoznane

ledwie muśnięte

bałamutnym  
zmysłem

Nieprzejrzystość świata jest, można by rzec, jego cechą ontologiczną. Byłoby jednak uproszczeniem gdybyśmy, opisując egzystencjalne problemy jednostki (a także grup społecznych, społeczeństwa), abstrahowali od sprawczych działań człowieka, na przykład od dominującej we współczesnej sferze publicznej polityki. To wobec niej, porównanej do kurtyzany, zwrócony jest ostry, moralny protest wiersza bez tytułu (str. 14), w którym czytamy:

nie ma w tobie krzty prawdy,  
żywisz się kłamstwem ud bezwstydnie rozwartych,  
które tyłu naiwnym  
wciąż się kójarzą  
za znakiem victorii

Świat współczesny jest swoistą wieżą Babel. Jak powie poeta w jednym z wierszy: „milczymy pięknie/ w wielu językach”. Język, naturalne narzędzie międzyludzkiego porozumienia, od dawna utracił swą podstawową funkcję. Miast nazywać, „jak dziwka/ łąsi się/ do rzeczywisto-

ści/ pokracznej/ jak on/ otwartej/ na każde/ głupstwo/ świata”. Słowa „przymierzają znaczenia jak sukienki”, „gonią za modą”, „pudrują rzeczywistość jak nastolatki dokuczliwy trądzik”. Dlatego „język ojczysty staje się coraz bardziej obcy”, a „upragniona wolność kłamie jak z nut”.

I choć w tej sytuacji status poezji nie jawi się w zbyt optymistycznych barwach („jest śmieszna/ i godna współczucia”), autor, wzorem przywołanego w tomie Tadeusza Różewicza, ma świadomość, że słowo „(...) które/ dzisiaj nic nie znaczy” jest dla poety, ale także dla każdego z nas, „(...) zarazem wszystkim/ co mamy/ czym jesteśmy/ i co po nas/ zostanie”.

Szukając najbardziej przystającej definicji dla *Poematu współczesnego*, zdecydowałbym się na słowo: dojrzałość. Jako stanu ilustrującego poetycką autoświadomość autora, która nie stroni od prawd najbardziej w swej wymowie okrutnych. Co więcej, która prawdy owe czyni dla jego poezji źródłem ważnej inspiracji.

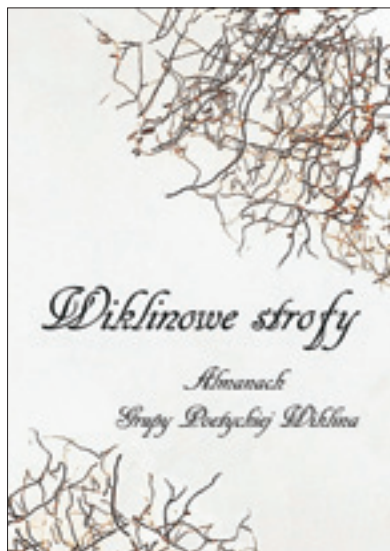
Andrzej Piskulak

Edward Zyman, *Poemat współczesny*, Toronto 2014, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, s. 20.

Władysława Szproch

## 25 lat Grupy Literackiej „Wiklina”

5 listopada 2014 roku w Miejskim Centrum Kultury w Skarżysku-Kamiennej odbyła się piękna uroczystość 25-lecia Grupy Literackiej „Wiklina”. Jubileusz rozpoczął się spektaklem teatralnym pt. *Pełnia* w wykonaniu młodych aktorów zrzeszonych w teatrze „Bez Maski”, działającym przy MCK w Skarżysku. Opiekunką teatru jest Jagoda Juch-



niewicz. Licznie przybyłych na Jubileusz gości przywitani: Krzysztof Szczygieł – dyrektor MCK i Elżbieta Jach – aktualna opiekunka „Wikliny”. Całą uroczystość poprowadził Hubert Gluza, który na początek przedstawił kolejno członków Grupy Literackiej „Wiklina”. Podczas uroczystości odbyła się promocja almanachu Grupy pt. *Wiklinowe strofy*, wydanego w Oficynie Wydawniczej „STON 2” w Kielcach. Książkę zdedykowano pamięci Bożeny Piasty – założycielce i długoletniej opiekunce „Wikliny”. W almanachu pomieszczono wiersze i noty biograficzne 25 autorów – członków „Wikliny”. Wybrane wiersze recytowała młodzież z gimnazjum w Mircu. Gościem honorowym Jubileuszu był krytyk literacki z Warszawy – Zdzisław Brudnicki, który w swoim wystąpieniu omówił nie tylko wiersze z almanachu, ale też swoje związki z GL „Wiklina” na przestrzeni 25 lat. Związek Literatów Polskich Oddział Kielce reprezentowała pisząca te słowa – poetka i plastyczka, wiceprezes Oddziału, która odczytała List Gratulacyjny od prezesa Zarządu ZLP O/Kielce – Stanisława Nyczaja i złożyła



w imieniu Zarządu, a także własnym, serdeczne gratulacje przyjaciółom z „Wikliny”. Zwieńczeniem uroczystości był koncert zespołu kameralnego ARCO. Jubileuszowi towarzyszył kiermasz książek członków GL „Wiklina”. Na zakończenie uroczystości były wystąpienia członków władz miasta i przyjaciół poetów. Osobiste gratulacje i wspomnienia odbywały się długo jeszcze przy konsumpcji słodkich ciast i lampce szampana.

To była piękna uroczystość. Aż żal, że nie doczekała tej chwili ta, która dała początek wszystkiemu, śp. Bożena Piasta.

## Dobry kierunek twórczości „Słowniaków Świętokrzyskich”

„Jeszcze się z tobą nie żegnam, poezjo”  
(Katarzyna Szychowska)

### Rys historyczny

Nieformalna Grupa Literacko-Artystyczna **Słowniaczy Świętokrzyscy** powstała w 2006 roku przy Civitas Christiana w Kielcach. Członkowie działają na niwie literackiej i aktorskiej, a także rysują, malują, rzeźbią i zajmują się ceramiką. Piszą wiersze, prozę, scenariusze, recenzje i eseje. Uczestniczą w życiu literackim regionu, biorą regularny udział w slamach poetyckich, organizowanych przez Dom Środowisk Twórczych w Kielcach i Kieleckie Centrum Kultury. Zajmują w tych konkursach czołowe miejsca. **Słowniaczy** biorą też udział w plenerach literacko-plastycznych. Na przestrzeni 8 lat przez grupę przewinęło się ponad 40 osób. To ludzie młodzi: uczniowie szkół średnich i studenci. Od roku 2009 Grupa prowadzi bloga w internecie. Opiekunką **Słowniaków** jest **Anna Błachucka** – poetka, animatorka kultury, członkini ZLP O/Kielce. Doradcami merytorycznymi młodych twórców są: Zdzisław Antolski – poeta, Daniela Kowalska – poetka, Antoni Dąbrowski – poeta, wydawca, redaktor, Andrzej Skorupski – instruktor teatralny, Jerzy Daniel – redaktor. O **Słowniakach** pisali: Antoni Dąbrowski, Danuta Parol i Zyta Trych. Mówiło też o nich Polskie Radio Kielce (w audycjach Marii Bednarskiej, Magdaleny Smożewskiej). Zainteresowała się nimi Telewizja Kielce. **Słowniaczy Świętokrzyscy** wystawili trzy własne sztuki teatralne: *Nadzieja*, *W pociągu* i *Poeta pod*

*krzyżem*. Do tej pory wydali trzy almanachy: *Pogłębnym drukiem* (2010); *Powiązane gesty* (2013) i *67 kroków*.

### O almanachu poetyckim *67 kroków*

W almanachu poetyckim *67 kroków*, wydanym w roku 2014 przez Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Oddział Okręgowy w Kielcach pomieszczono 67 tekstów siedmiu autorek, w tym pięciu debiutantek (**Magdalena Banaś, Katarzyna Klimczak, Katarzyna Lesiak, Aleksandra Pięta, Katarzyna Szychowska**) i dwóch poetek, które przynależą do Grupy od początku i stanowią mocne filary **Słowniaków Świętokrzyskich**. Są to: **Katarzyna Macios** i **Karolina Bugajska**. Na almanach składa się siedem cykli, to tyle, ile jest autorek. Każdy cykl poprzedza słowo odautorskie. O czym piszą te młode wiekiem autorki? Mówiąc najkrócej, piszą o swoim życiu: o miłości, o radościach i smutkach, o przemijaniu, o odejściach i powrotach, o drugim człowieku. Poetki z almanachu to młode wiekiem, ale „dojrzałe piórem” kobiety, wrażliwe, myślące i analizujące nie tylko człowieka, ale i świat „tu i teraz”. To miłośniczki przyrody, zadumane nad losem bycia i trwania człowieka na Ziemi. Posługują się wierszem białym, choć zdarzają się też zapisy wierszem klasycznym. Warto zwrócić uwagę na staranne opracowanie edytorskie almanachu, na nietypowy, a ciekawy projekt okładki, na szatę graficzną autorstwa poetki i plastyczki – **Katarzyny Macios**. Warto i trzeba przeczytać słowo wstępne **Anny Błachuckiej**, wieloletniej opiekunki **Słowniaków**, która w swojej pisemnej wypowiedzi charakteryzuje Grupę, własną pracą z twórcami, a także recenzuje wiersze autorek almanachu.

Gratuluje **Słowniakom Świętokrzyskim** kolejnej wspólnej książki. Gratuluje twórczego rozwoju i wierzę w ich dalsze sukcesy na niwie literatury. Życzę wszystkim własnych tomików, bo tylko własny dorobek książkowy otwiera realne szanse wstąpienia w szeregi Związku Literatów Polskich. Pierwsze kroki w tym kierunku już podjęli. To bardzo dobry kierunek.

Władysława Szproch

## Znaleźć iskrę w skale...

Z pewnością powieść *Zamknięci w skale* Ewy Marii Serafin stanowić będzie nie lada niespodziankę oraz swego rodzaju wyzwanie-prowokację i zachętę do dyskusji dla czytelników. Tych najbardziej znużonych zarówno miałką komercyjnością zawartości licznych dziełek reprezentujących tak zwaną literaturę kobiecą – wydawanych czasami w niebotycznych nakładach – jak też i dla krytyków literackich, zniesmaczonych pretensjonalnością „utworów poszukujących”, w intencjach ambitnych, a tylko na pozór nowatorskich.

Debiutancką powieść Ewy Marii Serafin można ulokować gdzieś pomiędzy tymi dwoma wymienionymi nurtami. E.M. Serafin dość szczęśliwie udało się ominąć rozmaite niebezpieczeństwa i pułapki czyhające na początkujących autorów powieściowych fabuł. Jej prozatorski debiut wolny jest od typowych narracyjnych „niedoróbek”, mimo że niekiedy daje tu o sobie znać zrozumiąły brak literackiego doświadczenia. Rekompensuje to w dużym stopniu jej wcześniejsze doświadczenie dziennikarskie oraz widoczne odczytanie w dwudziestowiecznej prozie polskiej i światowej. Zaskakuje wręcz niekiedy jej dojrzałość intelektualna oraz to, co można by określić jako pisarską „samoświadomość” warsztatową.

Niełatwe jest zdefiniowanie tej książki? Bo mimo zachowanego niezbędnego dystansu do aktualnej rzeczywistości społecznej (notabene, koniecznego, jak zawsze gdy mamy do czynienia z dobrą literaturą, a nie doraźną publicystką), powieść zaskakuje sporą dawką autentycznych realiów. Zaleca się intensywnością emocji, ciekawymi obrazami z codzienności i żywym potocznym językiem. Wiele tutaj niemal naturalistycznych scen z życia warszawskiej „bohemy” malarsko-literackiej ostatnich lat. Poznajemy bardzo surowo potraktowane przez autorkę własne środowisko dziennikarskie, a – z drugiej strony – tworzy ona dla niego jaskrawy kontrast poprzez niemal poetyckie krajobrazy subiektywnych przeżyć powieściowej bohaterki. Pokazuje jej wrażliwość, obolałą po starciach z nową, wyłaniającą się w bólach rzeczywistością, będącą

plodem tzw. transformacji ustrojowej, w której z trudem udaje się jej odnaleźć. Wrażliwość granicząca z nadwrażliwością, o czym świadczy niekiedy nawet mocno surrealistyczne widzenie spraw świata.

Ta książka jest po części swoistą spowiedzią „dziewczęcia współczesności”, a po części próbą wewnętrznej autoterapii powieściowej bohaterki poprzez rozmowę, wewnętrzną dialog z samą sobą. Ale też niemal do bólu w kościach przypomina nam o tym, co nas dziś dręczy i niepokoi w rozbitym przez politykę życiu społecznym. Pokazuje świat, który niby doskonale znamy, taki, jaki jest „naprawdę”, czyli rozchwiany, niespójny i drażniący. Często kroć staramy się go nie dostrzegać, gdy jest dla nas niezbyt przyjazny (w psychologii nazywa się to „wyparciem”), żeby nie tracić dobrego samopoczucia. I na własne życzenie – jak powiedziałyby autorka za wielkim Szekspirem z *Burzy* – zamykamy się w skale.

Mimo wszystko nie jest to powieść pesymistyczna czy ponuracka. Od tego piętna ją uwalniają: daleko posunięta autorska autoironia, dystans i poczucie humoru oraz kropla optymizmu niczym jakaś „iskierka nadziei”, którą autorka potrafi dostrzec nawet w owej społecznej „twardej skale” otaczającego świata. Ukojenie, jakie niesie kontakt z naturą, katharsis pod wpływem przeżywania prawdziwej sztuki, wreszcie – mimo wszystko – wiara w ludzi, zwycięstwo dobra nad złem i w miłość – tę jedyną, która, wedle niej, może uczynić nas „nieśmiertelnymi”. Dlatego tę tak na pozór banalną opowieść o samotności w tłumie artystów, dziennikarzy i celebrytów czyta się jednym tchem. A po lekturze – jak po skosztowaniu dobrego wina – pozostaje słodko-gorzki smak, nadzieja i ochota na kolejne spotkanie z nową prozą Ewy Marii Serafin.

Janusz Termer

Ewa Maria Serafin, *Zamknięci w skale*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2013, s. 255.

## Pod siódmym zębem

Jeśli poeta powiada, że „Gołąb uderzył zbląkanym skrzydłem w niebo/ i otworzył je” – i że ten właśnie moment przebicia niebieskiej skorupy „To nasz wielki wybuch”, jest to propozycja poważnego dyskursu eschatologicznego. Taką sugestię wysnuła Elżbieta Musiał w poetyckiej książce *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych*. Celowo podkreślam, że nie jest to klasycznie podany tomik wierszy, a poetycka książka, bowiem zawiera ona szczególnego rodzaju poemat, będący jednocześnie poetyckim traktatem.

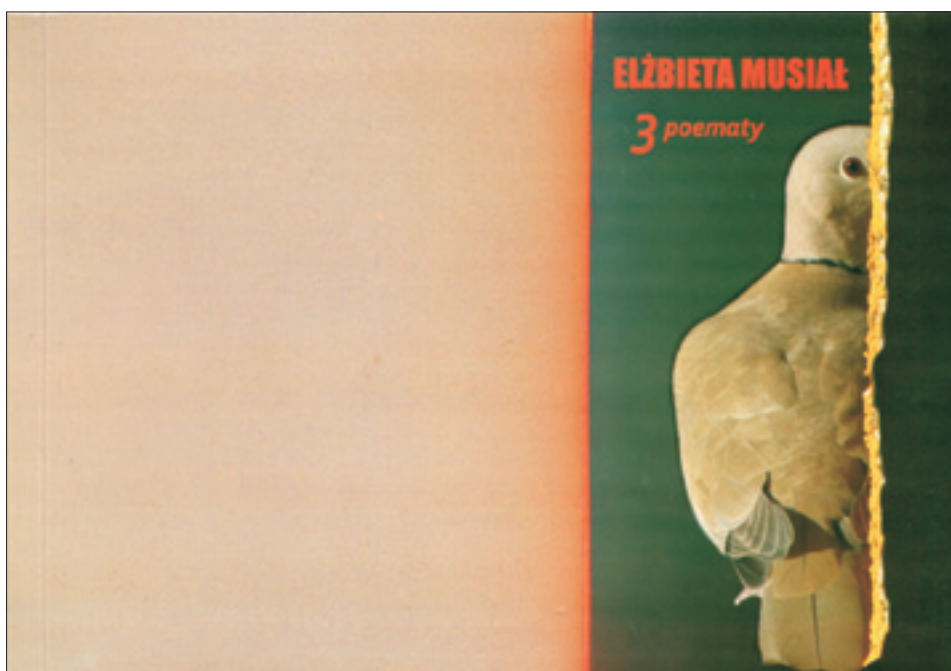
A to nie pierwszy poemat Elżbiety Musiał, wcześniej powstał utwór *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód*, następnie *Na zdjęciu wciąż żyjemy*. Poematy te mają swoją linię spajającą je w – jak dotąd – pewien tryptyk. Owa triada, kreśląc bardzo umownie, dotyczy pytań zwanych ostatecznymi. Bo chodzi tu o pojęcie czasu, ludzkiego trwania, czyli nowego żywota i umierania. Dosłowniej – sztuki umierania. Ponieważ poetka jest również znakomitą malarką, może warto pokusić się o wyobrażenie sobie tego tryptyku jako dzieła plastycznego również? Zatem centralnie niechaj pozostanie Czas, niewyobrażalne constans, z lewej strony tajemnica życia, zaś prawym skrzydłem zarządza śmierć z zanikającymi rytuałami. Które poetka –

o paradoksie – wskrzesza. Ale to pozorny paradoks, to synkretyzm osobliwej wagi. Zatem owe skrzydła to jakby dwie strony medalu, pewnie awers należy uznać za pierwszy głos.

Temporalne kwestie i tak muszą pozostać obecne w obu tych skrzydłach. Nie sposób mówić o życiu, pytać o jego sens, o ludzką kondycję, pomijając wartość czasu; nie sposób również pominąć Czas, czyli ziemski kres człowieka w obliczu śmierci. Tytuł *Na zdjęciu wciąż żyjemy* już sam w sobie zawiera konkluzję, ale przecież przewrotną – na zdjęciu uchwycony zostaje nie tyle ułamek Czasu, co raczej jego pozór, zawarty w niby-realistycznym obrazie; dobry portret malarza to podobnie „zatrzymany” czas. I o tym Elżbieta Musiał chce czytelnikowi powiedzieć, tymi pytaniami z nami się dzieli.

Czymże jest śmierć? Oto refleksje poetki, którym musimy ulec; *bo jest jedyna i raz przychodzi. I bez prób udaje się wszystkim*. Bo śmierć jest faktem i aktem nieodwołalnym. *Nosisz jej ziarno* – mówi poetka. Owszem, już nasze poczęcie nosi w sobie śmierć, która jest tak straszliwie niewiadomą. Jest równie niewiadomą, jak każda śmierć. Idąc drogą, miedzą, zadajemy śmierć drobnym stworzeniom, i nie ma chyba na to rady, możemy jedynie po franciszkańsku westchnąć, jak autorka rzeczzonego poematu: „*nieopatrzenie nadepnęłam/ na całe życie chrząszcza*. Całe życie? A tak”.

Nasz ziemski czas przypomina niekiedy krążenie w przestrzeni, jakby zamkniętej; stąd zapewne odwoływanie się do postaci malowanych przez mistrza z Witebska; bohaterowie obrazów Chagalla jakże często płyną w powietrzu, a i pejzaże nie mają stabilnej pozycji. Czyli Czas jest „wciąż”? Trafne spostrzeżenie i porównanie „trwałości” czasu ze wstęgą Möbiusa daje nam jakiś pozór ujarzmienia mijających chwil. Lecz to pozór, i ta świadomość bohaterkę liryczną boli. Utwór ten ofiarowany został *pamięci Babci Stefanii*. Do grona tych,





którzy są już naszym ziemskim czasem, autorka zalicza kilka innych osób, pewnie jej bliskich z wielu powodów. Pojawiają się Miłosz, Szymborska i jej kot, Jonasz Kofta; ci pomarli co teraz mogliby nam powiedzieć? Właśnie – i czy mogliby? Thanatos to nie Morfeusz, aczkolwiek wiele ich przymiotów wskazuje na ich związek: snu i śmierci. Jeżeli Orfeusz poszukuje Eurydyki w zaświatach, należy jej szukać (wiersz Kofty) *piętro niżej od piekła*. Czy to odniesienie do kręgów „Piekła” dantejskiego? Elżbieta Musiał stwarza szeregi punktów odniesienia, asocjacji, które możemy spożytkować podczas lektury. Zatem to liryka nasycona pojęciami i obrazami, a obrazy *sensu stricte* świetnie współbrzmiają z refleksją. Oto Thanatos Jacka Malczewskiego. Śmierć w konwencjonalnym, by nie rzec – plebejskim pojęciu: Kobieta z kosą. U Jacka Malczewskiego to dorodna dziewczyna, jakiś dziwny, niemal prząsny erotyzm tej postaci pozwala poetce nazwać ją śmiercią „rózanopośladką”. Motyw ten można przyjąć jako podważanie stereotypu kosa – atrybutu śmierci osobowej. Bo równie dobrze śmiercionośny kres może zadać „paralizator” – mówi poetka i pozostawia nas z konstatacją: czemu u nas śmierć to wciąż rodzaj żeński? Nie „ten” – Thanatos?

To genderowe podejście do śmierci jest szczególne, jest nowym widzeniem problemu nigdy nieskończonego, którego nie daje się rozwikłać, zdefiniować. Przywoływany tu zostaje i Albert Einstein z jego teorią związaną z przestrzenią i czasem:

Albercie, mów, Tobie uwierzę. Nawet  
jeśli mi szepniesz do ucha, że duch też ma płeć.  
A moje wzgórze na tę wieść spłonę.

Zatem dochodzi tu również element erotyzmu, owe płonące wzgórze – uroczy moment, trochę z Dalego (*Płonąca żyrafa...*). Skojarzenie jak najbardziej na miejscu, przecież to Eros przy Thanatosie; interferencja fal życia i śmierci. Lustrzane odbicie ludzkiego trwania – Eros to na swój sposób narodziny życia, zatem czyha na nie ostrze Thanatosa. Kosa wydzierzawiona od „rózanopośladkiej” Malczewskiego czeka w pogotowiu. Ten dualizm powtarza się często w poezji Elżbiety Musiał, w której fotografia zastępuje niekiedy plan malarskiego obrazu, bywa środkiem dokumentującym przedświt obrazu na

płótnie. Ponadto zdjęcie to negatyw i pozytyw, *Dwa światy równoległe*. Malarskim motywem wpasowanym w ten poemat jest obraz na okładce, autorstwa poetki: czy możemy mówić przy tym obrazie o konwencji teatru Tadeusza Kantora? Jakkolwiek intencje mogły być inne, okładka zyskuje odniesienie do tego teatru, w którym Thanatos odgrywał istotną rolę. To utrwalony epizod z *Umarłej klasy*, choć takiej sceny tam nie było (miałem szczęście oglądać to przedstawienie w jedynym dla niego miejscu, w Wielopolu Skrzyńskim, skąd Kantor pochodził).

Aby mówić o samym poemacie *Ars moriendi...*, istnieje konieczność opuszczenia wielu ważnych wątków, utwór ten kipi od epizodów go wspierających. Już sam tytuł opatrzonej quasi komentarzem: *czyli poradnik czynności nieużytecznych* domaga się jakiegoś odniesienia, niekoniecznie komentarza do tej łagodnej przekory „nieużyteczności”.

Otóż traktat ten ma wiele odniesień, wszak od 1415 roku, kiedy powstało dzieło *Ars moriendi* napisane przez anonimowego dominikanina, co jakiś czas odżywa w różnych postaciach. Można wnosić, że skoro obecnie to śmierć ludzka jest anonimowa, najczęściej dopada człowieka w samotności szpitalnego łóżka, Elżbieta Musiał poprzez swój poetycki głos pyta o *Ars bene moriendi*. Jakże to ważna kwestia: sztuka dobrego umierania; dobrej śmierci. Charon nas przewiezie do Hadesu, lecz czy dostaniemy pod język obola? Czy wierzący otrzyma ostatnie namaszczenie? Czy każdy z nas będzie mógł ucisnąć „na odchodne” dłoń bliskiej i najbliższej osoby? Będzie miał możliwość rozliczyć się z życiem na tym padole? Ta eschatologia ma wymiar uniwersalny, bywa także poza kategoriami wiary i niewiary. Tak było dawniej. Świetnie koresponduje z tym poematem wiersz Emily Dickinson (w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka), oto pierwsza z dwu strofa utworu *Umierający – dawniej*:

Umierający – dawniej –  
Wiedział – że wnet się znajdzie  
Tam – w Prawej Dłoni Pana –  
Dziś – Pan się ukrył – Dłoń –  
Amputowana –

Właśnie również, może głównie, o to pyta Elżbieta Musiał, jakby po wieku znów zaistniał problem śmierci dobrej, godnego umierania.

Gotowanie się na śmierć nie ma w sobie pierwiastka masochizmu, jak ktoś cynicznie chciał nam wmówić. *Ars bene moriendi* to kwestia humanizmu, choć może nie chodzi o natrętne *Memento Mori*, gdyż żyjemy by żyć, nie żyjemy „ku-śmierci”. W ikonografii funeralnej średniowiecza osławianie śmierci miało w sobie często intencję obrzydzenia ludzkiego ciała, które jest jedynie przejściowym siedliskiem duszy, co znosiła epoka humanizmu. Przykład dobrej śmierci to obraz Juan Vicente Masip *Męczeństwo św. Agnieszki*, która śmierć przyjmuje z pogodą, już widzi królestwo niebieskie. To przykład wielu męczenników, którzy na śmierć byli gotowi. Lecz tu nie chodzi o śmierć w skrajnych przypadkach, lecz o śmierć „codzienną”, naturalną. O takiej śmierci mówiły również m.in. dzieła takie, jak *Księga Umarłych* czy *Tybetańska Księga Umarłych*.

W utworze Elżbiety Musiał, prócz owych „ostatecznych” pytań, występują pewne wzorce zaczerpnięte z ludowej tradycji. Bo oto w sukurs przychodzi wspomnienie domu dziadków, przy którym rosły *Bzy czarne w trzech rogach domu* – były pielęgnowane, *by odganiały śmierć*. Lecz śmierci nie uniknie żadne stworzenie, więc chodzi tu o uniknięcie – jak w głosie liturgicznych Suplikacji – śmierci „nagłej i niespodziewanej”, która nie pozwala człowiekowi porachować się z tym światem, nie stwarza szans na umieranie godne, dobre. Może warto przy tej okazji sięgnąć po Martyrologium...

Aldona Borowicz napisała (na okładce tomu): „W poemacie Elżbiety Musiał centralne miejsce zajmują zasady etyczne i sprzeczności świata, z którego odchodzi babcia poetki” i jest to pełna racja. Wszak poetka stwarza szeroki kontekst, o czym Borowicz wspomina wcześniej, wymieniając traktaty eschatologiczne św. św. Ambrożego i Augustyna.

Ważnym głosem jest tu szkic Marka Wawrzkiwicza, zamykający książkę. Otóż ten świetny poeta przypomina, że forma poematu istnieje obecnie niemal śladowo, że *Ziemia jałowa* Eliota jest w wielkiej mierze „fundamentem współczesnej poezji”, zaś przypisy do tego literackiego kształtu stanowią nieodzowny element utworu. Fakt, to przypisy w dziełach Eliota decydują o właściwym odczytaniu dzieła. Celność – jak zawsze zresztą – interpretacji liryki przez także świetnego poetę Leszka Żulińskiego – sprowa-

dziła się do stwierdzenia, że przypisy (*Na zdjęciu wciąż żyjemy*), „ten z pozoru formalny zabieg skutkuje nową jakością: poemat staje się jednocześnie esejem” (cyt. za M. Wawrzkiwiczem). Tak jest również w poprzednim poemacie. Poetka posługuje się zresztą wewnątrz *Ars moriendi...* różnymi formami wypowiedzi. Na przykład pomija konwencję zapisu wiersza stroficznego na rzecz prozy, lecz to proza poetycka, nasycona liryzmem w stopniu podobnym do pozostałych części, a dzięki temu rozwiązaniu nadaje utworowi dodatkowej lekkości w obrazowaniu, także i w lekturze.

Wartością równą innym są w tym poemacie również pytania z gatunku – pozornie – naiwnych:

Podobno ci umarli,  
choć nie wiadomo, co to właściwie znaczy, wciąż są  
obok nas  
(...)  
Czy życie ich śni, czy oni śnią życie?

Otóż wspomniana w innym miejscu „alchemiczność” innego świata wcale nie uległa zmianie od czasu alchemii średniowiecznej (i od jej zarania). Nadal współczesny już człowiek (właściwie naiwnie!) myśli o umieraniu, które – no właśnie: „co to właściwie znaczy”...

Cóż, będziemy wraz z Elżbietą Musiał nadal pytać, „co to znaczy”. I niekiedy powtarzać *Ars bene moriendi*. Bo skoro *Świat i jego ogrom/ zebrał się pod siódmym żebrem?* – jak konstataje poetka.

Jan Tulik

Elżbieta Musiał *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych*, Kraków 2013, Wydawnictwo SIGNO; przedruk w tomie *3 poematy*, Kielce 2014, Oficyna Wydawnicza „STON 2”.

## Spotkanie w Zespole Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie

W Zespole Szkół im. Stanisława Staszica w Staszowie – w ramach cyklu spotkań akcentujących 30-lecie istnienia Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich – odbyło się spotkanie z poezją Benedykta Kozięła. Wiersze oprowadzone w muzykę i śpiew prezentowali Wiktoria Pikul i Kamil Kondek, recytowali uczniowie szkoły oraz czytał autor. Sylwetkę poety przybliżyła Władysława Szproch, wiceprezes Oddziału ZLP, a Romuald Bielenda dzielił się refleksjami z literackich pobytów w Staszowie.

Spotkanie było również szczególną okazją, by po raz kolejny serdecznie podziękować obec-

nemu na spotkaniu Izydorowi Grabowskiemu – dyrektorowi Zespołu Szkół za coroczne, od sześciu lat, podejmowanie i goszczenie literatów w internacie szkoły podczas organizowanych tu plenerów literackich.

Podziękowania składano również władzom miejsko-gminnym i powiatowym, dyrekcji Staszowskiego Ośrodka Kultury i Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Staszowie oraz przedsiębiorcom wspierającym finansowo i organizacyjnie literackie przedsięwzięcia.

*Red.*



Od lewej: Benedykt Kozięł, Romuald Bielenda, Władysława Szproch



Recytują uczniowie Zespołu Szkół im. Stanisława Staszica





Benedykt Kozieł oraz Kamil Kondek i Wiktoria Pikul



W pierwszym rzędzie siedzą: Romuald Garczewski i Izydor Grabowski



Elżbieta Musiał: *Z cyklu Manekiny, scena 4*, grafika komputerowa, wym. 50 x 67 cm



Elżbieta Musiał: *Z cyklu Żywioty III*, grafika komputerowa, płyta, wym. 44 x 66 cm





Elżbieta Musiał: Z cyklu *Żywioty I*, grafika komputerowa, płyta, wym. 66 x 44 cm